

Status quo

Filip Grubb

Część I

„To były czasy, kiedy ludzie zmieniali tożsamość i odwiedzali obce galaktyki... dzięki narkotykom i wódce. Nie potrzebowali do tego Internetu ani baagle.com. Bo ich nie było. Komuniści zaś trzymali wszystkich krótko za mordę. To były piękne czasy...”

Gerald P. Fitzroy, baagle.com

1

18 listopada 1980 roku, 23:54

Znów wyciągnął dzbanek z ekspresu do kawy zbyt szybko. Urządzenie zasyczało nieprzyjemnie. Był to zwykły ekspres przelewowy, jaki świat znał od pięćdziesięciu lat. Żadnych cudów. Z wyjątkiem metalowej płytki w podstawce. Jej zadaniem było nieustanne pod-

grzewanie zawartości dzbanka. Miało to gwarantować serwowanie ciepłej kawy przez cały czas. Przynajmniej według zamierzeń twórców. W praktyce płytka rozgrzewała zbyt długo, zaś szklany dzbanek bardziej był izolatorem niż przewodnikiem ciepła. Dlatego serwowana kawa była co najwyżej ciepła.

— Dobrze i to... — pomyślał pułkownik L.

Inne ekspresy nie oferowały nawet tego. Z innych już po najdalej godzinie trzeba było pić zimną lurę. Posiadanie magicznej płytki miało też złą stronę. Zbyt szybkie wyjęcie dzbanka, gdy w sitku powyżej znajdowały się jeszcze resztki kawy, powodowało, że gorący płyn, skapujący na rozgrzaną płytkę, natychmiast odparowywał. Wydając przy tym nieprzyjemne dla ucha syknięcia. Zostawiał też osad, który od czasu do czasu trzeba było wycierać. I to jeszcze — samodzielnie! Bo przecież żadna sprzątaczką nie miała prawa znaleźć się w tym pomieszczeniu. Nigdy! Karą za niesubordynację była śmierć...

Pułkownik bezszelestnie obszedł dookoła stół konferencyjny, nalewając gorącą kawę do filiżanek wszystkich obecnych. Każda osoba — ze zgromadzonych na spotkaniu w środku nocy — siedziała od dłuższego czasu w zupełnym milczeniu, przeglądając własne notatki lub tępo gapiąc się na innych. Nalał kawę również do swojej filiżanki. Zapowiadała się długa noc. Odstawił dzbanek z powrotem na miejsce, uciszając tym irytujące syknięcia. Zajął swoje zwyczajowe miejsce — stenotypisty. W milczeniu czekał na sygnał od generała.

Generał J., jak zwykle zachmurzony, zatopiony we własnych myślach i jednocześnie pogrążony w licznych dokumentach, leżących przed nim na stole, zdawał się jednak czytać w myślach pułkownika.

— Jeszcze chwilkę... — rzekł półgłosem. — Zaraz zaczynamy.

Pułkownik rozparł się wygodnie w fotelu i rozejrzał dookoła.

Rokada była bliźniaczym obiektem do Orkady, ulokowanej nie- daleko Porąbki. Obie budowle były praktycznie w całości budowlami podziemnymi, miały podobne założenia, dość zbliżony rozkład pię- ter i pomieszczeń oraz identyczny poziom tajności. Różniły je tylko dwie kwestie. Rokada była zlokalizowana głęboko „na leśnym zadu- piu”, z dala od jakiegokolwiek drogi, czy większego skupiska ludz- kiego. Orkadę zbudowano w niewielkiej wiosce w Beskidach. Była podziemną częścią zapory wodnej. Dawało jej to niezależne źródło energii elektrycznej z hydroelektrowni. Oraz możliwość błyska- wicznego zalania całego kompleksu, gdyby zaszła taka potrzeba.

Druga różnica leżała w odległej przyszłości. Po upadku komu- nizmu Rokada miała zostać rozgrabiona i powoli zniszczyć. Orkada zaś wykupiona przez baagle.com i zamieniona w najnowocześniejszy ośrodek informatyczny świata. Ale to wszystko miało dopiero nasta- pić. I tego pułkownik nie miał prawa wiedzieć. Teoretycznie...

— Zaczynamy... — rzekł generał J., wrywając go z rozmyślań.

L. w milczeniu kiwnął głową i nacisnął klawisz włączający nagrywanie na urządzeniu rejestrującym.

— Romanie, przedstaw wszystkich — rzekł sucho generał.

— Po co cały ten cyrk? — zaproponował generał K. — Jest środek nocy, jesteśmy wszyscy zmęczeni... No i dobrze się przy tym znamy...

Generał J. spojrział na niego pozbawionym emocji wzrokiem. Za- trzymał go dłużej na nim, ale nie odezwał się słowem.

— To... dla protokołu — rzekł cicho pułkownik, uśmiechając się dyskretnie i przepaszając zarazem w stronę generała K. Gar- dził nim, podobnie jak generał J., ale nie miał prawa tego okazać.

Wstał, by lepiej było go słyszeć. Właśnie w tym momencie do- tarło do niego, że oprócz będącego tuż przed pięćdziesiątką pana B.,

pozostali byli mniej więcej w tym samym wieku, między pięćdziesiąt trzy a pięćdziesiąt osiem lat. Wliczając w to jego samego. Potoczył szybko wzrokiem po wszystkich zebranych wokół długiego prostokątnego stołu, wyłożonego zielonym suknem. I zaczął prezentację.

— Generał J., minister obrony narodowej, naczelny dowódca sił zbrojnych na wypadek wojny.

Generała nie trzeba było nikomu przedstawiać. Tylko w tym miejscu i tylko dla tych ludzi znany jako „Wojtek”. Generał armii, pięćdziesiąt siedem lat. Miał dyniowatą głowę oraz bardzo wysokie i mocno już łysiejące czoło. Zanikające ciemne włosy zaczesywał do tyłu i chyba nawet odrobinę brylantynował. Miał wielkie wyraźnie odstające uszy i kalafiorowaty nos. Na wszystkich oficjalnych fotografiach i w zdecydowanej większości sytuacji widać było pozbawioną emocji twarz, z wąską linią ust, zaciętą w niemalże idealną poziomą kreskę. Z pewnością towarzyszył temu również lodowaty wzrok. Lecz tego nie mógł wiedzieć nikt. Cechą charakterystyczną generała były bowiem okulary w rogowej oprawie, o naprawdę wielkich szklach i grubych, rozpoznawalnych z daleka zausznikach.

W dniu owej nocnej narady generał J. ubrany był w jasnoszarą koszulę, z zielonym krawatem, na którą nałożył, jak zwykle z resztą, generalski mundur. Mundur posiadał pozbawione korony orły na klapach kołnierza, cztery generalskie gwiazdki na epoletach oraz sześćdziesiąt baretek na lewej piersi. Zaczynając od oczywiście orderu Virtuti Militari, przez Order Odrodzenia Polski i Order Budowniczych Polski Ludowej idąc, na medalu jubileuszowym „60 lat Sił Zbrojnych ZSRR” kończąc.

Generał nie był ani premierem, ani przewodniczącym rady państwa, ani nawet pierwszym sekretarzem partii. Mimo to sprawował

faktyczną władzę. Był szarą eminencją. Rządził zza pleców, z drugiej linii. Zastępiał się tymi, którzy rzekomo o czymś decydują. Jednak to on — jak w większości tego typu układów na świecie — posiadał ostateczne zdanie i głos decyzyjny we wszystkim.

W przyszłości taki model władzy zniknął wraz z upadkiem systemu komunistycznego, dziesięć lat później. Ale nie umarł zupełnie. Czekał w ukryciu. Na nowo odkrył go trzydzieści lat później pewien polityk, którego koledzy — brzydko, za plecami i szeptem — nazywali „niskim Jarkiem”. On zaś udawał, że tego nie wie.

— Generał K. — ciągnął pułkownik. — zastępca szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego i szef Wojskowej Służby Wewnętrznej.

Na dobrą sprawę, pięćdziesięcioletni generał K. — „Czesław” tylko w tym pokoju i tylko dla tych ludzi — poza strukturami wojskowymi był wówczas jeszcze nikim. Wszystko, „co dobre” było jeszcze przed nim. Dopiero za rok miał zostać ministrem spraw wewnętrznych. A i to jedynie z ramienia wojskowego. Bo z polityką miał związać się dopiero za pięć lat. Był jednak jednocześnie bardzo bliskim współpracownikiem generała J., jednym z architektów zbliżającego się wielkimi krokami stanu wojennego oraz prawą ręką J., w mającej powstać za rok Wojskowej Radzie Ocalenia Narodowego.

Mimo ledwo przekroczonej pięćdziesiątki, generał K. wyglądał staro. Typowo wojskowa sylwetka, wyprostowana jak struna, kończyła się w okolicach kręgosłupa szyjnego wielkim „s”. Generał garbił się zawsze i wszędzie. W odróżnieniu od generała J., nie przepadał za swoim mundurem wojskowym. Dlatego, gdzie tylko mógł, pojawiał się w dobrze skrojonym garniturze, który po cichu przecisnął z Paryża przez szparę w żelaznej kurtynie. Lubił dobrze zjeść, co było widać po jego znacznym brzuchu. Lubił jeszcze lepiej i jeszcze więcej wy-

pić. Co z kolei objawiało się tym, że na częściach nieformalnych wszelkich spotkań należał do ostatnich poległych żołnierzy.

Całości dopełniało czterech smutnych panów, w mniej więcej podobnym wieku, jak reszta. Dwóch wojskowych i dwóch cywilów.

— Generał S., szef Sztabu Generalnego — rzekł pułkownik L.

— Generał B., szef zarządu politycznego wojska — dokończył.

Zostali oni jednak wezwani przez „starego” wyłącznie po to, by „być poinformowanymi”. Wynikało to z faktu, że projekt — którego powodem była dzisiejsza narada — zakładał współpracę z Amerykanami. I to z nie byle jakimi Amerykańcami, bo z samym CIA. Toteż wojsko mogło być teoretycznie potrzebne w przyszłości. Tylko teoretycznie i tylko potrzebne. Bo do gadania nigdy nie miało wiele, odkąd generał J. faktycznie zarządzał państwem.

O tym, że projekt zakłada współpracę z Centralną Agencją Wywiadowczą oraz udział „znienawidzonych kapitalistów” w bodajże najważniejszym projekcie technologicznym, jaki miał kiedykolwiek mieć miejsce za „żelazną kurtyną”, wiedział w tej chwili wyłącznie pułkownik i jego „stary”. Reszta smutnych dżentelmenów miała się dopiero o tym dowiedzieć. Co zaś najważniejsze — Związek Radziecki nigdy nie miał być o tym poinformowany. Generał J. od pewnego czasu testował teorię gry do dwóch bramek jednocześnie.

Na tym kończyła się wojskowa śmietanka. Poza wymienioną czwórką oraz pułkownikiem, przy zaciągniętym zielonym suknie stole, siedziało — paląc w ciszy papierosa za papierosem — jeszcze dwóch panów. Z wojskiem nie mieli nic wspólnego. Reprezentowali za to władze polityczne lub byli osobami, których obecność na spotkaniu była konieczna z innych powodów.

— Pan K. — rzekł pułkownik. — I sekretarz KC PZPR.

Prywatnie „Stanisław”, pięćdziesiąt trzy lata, poseł na Sejm.

— Pan B. — pułkownik zakończył prezentację ostatniej osoby.

— Minister górnictwa, energetyki i energii atomowej.

Dla przyjaciół „Zbigniew”, czterdzieści osiem lat.

— No, a ty? — spytał, jak zwykle skory do jatrzenia, generał K.

— Ja? — zapytał niepewnie pułkownik i spojrzał na „starego”.

— Nie będziemy tracić czasu na bzdury! — rzekł oschle w odpowiedzi tamten. — Sam mówiłeś, że jest środek nocy, jesteśmy zmęczeni i wszyscy się tu znamy. Pułkownik L., mój sekretarz. Starczy?

— Wystarczy... — wycedził cierpko generał K.

L., czyli „Roman”. Lat pięćdziesiąt sześć. Ówczesnie i do nie-
zbyt już odległej swej śmierci ledwie pułkownik. Doktor nauk eko-
nomicznych. Teraz i na wieki totumfacki i zarazem przydupas naj-
ważniejszej osoby w państwie. I tylko to się liczyło.

— Czesław... — rzekł pojednawczo generał J. do generała K. —
Wybacz oschłość, ale zrozumiesz mnie, jak tylko zaczniemy temat.

— Dobra, dobra... — burknął pod nosem zaczepiony.

— Roman? — zwrócił się do swego sekretarza. — Nagrywa się?

— Tak, panie generale — rzekł półszepem pułkownik L.

Zapadła długa chwila milczenia, przerywana jedynie cichymi
dźwiękami zapalania kolejnych papierosów, zaciągania się nimi,
wypuszczania dymu papierosowego z ust, zduszania ich w popiel-
niczkach, czy strzepywania popiołu. Ciszę przerywał też jednostaj-
nym dźwięk obracających się szpul magnetofonu oraz równomierne
mielenie wentylatorów. Niezbędnych do jakiegokolwiek egzystencji
tutaj. Rokada znajdowała się głęboko pod ziemią.

— Panowie... — zaczął generał J. — Jesteśmy w dupie.

Wzrok wszystkich skupił się na tej wypranej z emocji twarzy.

— Więcej... — ciągnął dalej. — Jesteśmy w dupie i cipie jednocześnie. Mamy bowiem dwa wielkie problemy przed sobą. Gdybym chciał być zabawny, to bym powiedział, że ładujemy dziwkę w oba otwory jednocześnie. Ale nie jest mi wcale do śmiechu.

Kultura, obycie, wyczucie, delikatność i dobre wychowanie to były jedyne rzeczy, jakich brakowało generałowi J. do pełni skądinąd perfekcyjnego obrazu. Nie można było jednak oczekiwać lub spodziewać się takich cech po starym komuniście i jeszcze starszym żołnierzu. Który wytarł swój tyłek na wielu frontach drugiej wojny światowej. Później zaś „krwią i pierśią” walczył o budowę doskonałego państwa socjalistycznego.

— Zaraz, zaraz... — pierwsze słowa generała K. doszły zebranych jakby z oddali i z przerwami, bo właśnie zaciągał się kolejnym papierosem i jednocześnie wypuszczał wielki głąb dymu. — Ledwie co, dwa miesiące temu uporaliśmy się z ruskimi oraz z tymi ciulami ze Solidarności, a ty nam mówisz, że znowu jesteśmy w dupie?

O tym, że 11 września 1980 roku, w Hucie Katowice w Dąbrowie Górniczej, podpisano ostatecznie z czterech porozumień sierpniowych, wiedział chyba każdy. Ale o tym, że dwa tygodnie wcześniej, w niezbyt odległej Moskwie, Breżniew podpisał rozporządzenie o mobilizacji czterech dywizji radzieckich, z perspektywą ich wejścia na terytorium Polski na początku września, gdyby do owych porozumień wrześniowych z Solidarnością nie doszło — wiedział mało kto. Była to bowiem jedna z najświętszych i najpilniej strzeżonych tajemnic.

— Masz rację. Poradziliśmy sobie z ruskimi i z Solidarnością. Nawiasem mówiąc, chciałbym poinformować tych z was, którzy jeszcze o tym nie wiedzą, że tydzień temu poleciłem, by ministerstwo spraw wewnętrznych opracowywało plany internowania trzynastu tysięcy

wytypowanych działaczy opozycji oraz przygotowało dla nich ośrodki internowania i miejsca w więzieniach. To na wypadek, gdyby solidarnościowe łby znowu zaczęły się podnosić...

— Co się odwlecze, to nie uciecze? — zachnął się generał B.

— Dokładnie! Porozumienia sierpniowe były dla nas rozwiązaniem o rzyć rozbić. Tak zwanym mniejszym złem. Ale tym jednym posunięciem zażegnaliśmy zarówno groźbę radzieckiej interwencji, jak i konieczność wprowadzenia stanu wojennego już teraz. Co nie zmienia faktu, że Solidarność nie może spać spokojnie. Nie... to my możemy spać spokojnie. Jesteśmy przygotowani.

Jak bardzo, miało się okazać za rok. 13 grudnia 1981 roku.

— Z przytupem zabraliśmy się również za rozwiązywanie problemu Gierka... — wtracił ponownie generał B., zapalając papierosa.

— Tak. Demontaż jego klikki, po dziesięciu latach niepodzielnego władania krajem, zaczęliśmy już w lipcu-sierpniu. We wrześniu stało się to faktem i zastąpił go obecny tu Stanisław.

Generał K. wyciągnął prawą dłoń i zaczął liczyć na palcach.

— Załatwiliśmy ruskich. Załatwiliśmy Solidarność. Pozbyliśmy się Gierka. W czym więc problem i po co nas tu ściągnałeś?

— Pieniądze, czy prąd? — rzekł generał J. — Co najpierw?

Pytanie było tak zaskakujące, że odpowiedziało mu milczenie.

— Prąd! — rzucił bez większego zastanowienia nieodzywający się do tej pory generał S., żeby tylko przerwać nieprzyjemną ciszę.

— Dobrze... — odparł Wojtek. Zaszeleściły kartki. — Suma mocy zainstalowanej wszystkich elektrowni energetycznych w całym kraju wynosiła na koniec zeszłego roku równe... — spojrzął do notatek. — ...dwadzieścia gigawatów. Roczne zapotrzebowanie na moc wynosiło w tym samym okresie siedemnaście i pół gigawata. Zaś mak-

symalne — prawie dwadzieścia jeden gigawatów. Przekroczyło więc maksymalne możliwości produkcyjne Krajowej Dyspozycji Mocy o jakieś siedemset megawatów.

— Co ty do nas kurwa mówisz? — rzek piskliwie generał K.

— Nie mamy prądu, jebany ignorancie! — odparował natychmiast generał J., na chwilę tracąc swoje legendarne opanowanie.

— Jak to?

— Ministrze? — generał J. odwrócił z politowaniem wzrok od generała K. Jego oczy spoczęły na wystraszonej twarzy pana B.

Minister górnictwa, energetyki i energii atomowej spojrział przelotnie po wszystkich zebranych, po czym zerknął ponownie na generała J. Kciuk i palec wskazujący prawej dłoni złożył w charakterystyczną paszczę krokodyla i przytykając je do ust rzekł:

— Jesteśmy... jesteśmy tyle powyżej linii gówna, panowie. Nie mówię tu o zimie stulecia, bo na takie coś nie było i nigdy nie będzie przygotowane żadne państwo. Wspomniany przez generała skok maksymalny objawił się, na szczęście, ledwie kilka razy w ciągu minionego roku. Nie zmienia to faktu, że od dziesięciu prawie lat jesteśmy w stanie permanentnego deficytu energetycznego w naszym kraju. Zaś miniona ekipa Gierka niewiele z tym zrobiła.

— Żarnowiec? — spytał dowódca marynarki wojennej.

— Niewiele nam pomoże, obawiam się.

— Byłby pan łaskaw to rozwinąć? — rzekł generał K. cierpko.

— Tak, jest... — odparł natychmiast minister B. — Już mówię.

Największa w Polsce elektrownia szczytowo-pompowa była budowana od siedmiu lat, ale do zakończenia prac potrzeba było jeszcze kilka kolejnych. Uruchomienie pierwszego hydrozespołu było planowane na luty 1982 roku. Wszystkich czterech, na koniec roku.

— Nawet, jeśli nie będzie żadnych poślizgów wobec planów...
— ciągnął minister. — W co, wybaczą panowie, ale w realiach naszej gospodarki pozwalam sobie wątpić, to — przy czterech hydrozespo-
łach pracujących na pełną moc — dostaniemy maksymalnie siedemset megawatów energii. Wytkniemy nos ponad linię gówna, że tak rzeknę.

— I dlatego... — przejął wątek generał J., zerkając do swych notatek — powstał pomysł, aby elektrownia wodna Żarnowiec pełni-
ła jedynie funkcję awaryjną i jednocześnie rolę akumulatora ener-
gii dla powstającej w pobliżu elektrowni jądrowej. Ta z kolei pla-
nowana jest na cztery bloki energetyczne napędzane reaktorami.
Które w sumie dadzą nam przeszło półtora gigawata energii rocznie.
To, wraz z innymi inwestycjami energetycznymi, głównie w parę no-
wych bloków węglowych na południu kraju, da nam niezbędną od-
skocznnię. Ujmując to słowami naszego drogiego ministra... Gówno bę-
dzie nam sięgać po pachy i zaciśniętym nosem powinniśmy nawet dać
radę spokojnie oddychać.

— O ile mi wiadomo... — zaczął spokojnym i rzeczowym tonem
generał B. — prace na placu budowy elektrowni jądrowej trwają od
chyba pół roku i idą zgodnie z planem...

— Dokładnie od 31 marca tego roku — dopowiedział generał J.

— Zapytam więc po raz trzeci... po co to spotkanie? O co idzie?

Głos generała K. robił się coraz bardziej irytujący.

— O czas i pieniądze...

— O czas i pieniądze? — powtórzył bezwiednie szef Sztabu Ge-
neralnego, generał S. Podobnie, jak inni, niewiele z tego rozumiał.

— Chodzi... chodzi tu o to, panowie... — wtrącił niepytany
minister energetyki. — Jaki okres i jakie kwoty niezbędne są, by
Żarnowiec osiągnął pełną sprawność.

— Dziesięć lat! — rzekł sucho generał J., nie pozwalając, by ktokolwiek z zebranych zadał te pytania — I sześć miliardów...

— Sześć miliardów... — zaczął powoli generał B.

— ...dolarów! — dokończył generał J.

— O kurwa! — zachnął się generał K.

Pozostali zebrani wypuścili powietrze z ust lub dym tytoniowy z płuc w nerwowym geście. Generał S. — najstarszy wiekiem, znany ze swych problemów gastrycznych i przy tym najmniej odporny na wrażenia — puścił nawet serię cichych nieudolnie hamowanych bąków. Nikt jednak niczego nie usłyszał ani nie poczuł. Wszystko zagłuszyły i wessały ogromne wentylatory Rokady, kręcące się bez ustanku nad ich głowami.

— Ponad dwadzieścia procent naszego obecnego zadłużenia zagranicznego... — wyszeptał powoli generał B.

— Z punktu widzenia energetyki narodowej... — przerwał ciszę generał J. — ...nie mamy tego czasu. Z punktu widzenia finansów państwa, nie mamy tych pieniędzy. Czyli... jak wspomniałem na początku... jesteśmy w dupie i cipie jednocześnie, nieprawdaż?

Zaległo długie milczenie, przerywane tymi samymi dźwiękami. Na twarzach większości zebranych, co było raczej niespotykane, wyraźnie odmalowywała się groza. Jedynym twarzami, które pozostały niewzruszone były te od generała J., prowadzącego spotkanie, oraz pułkownika L., jako że obaj znali już rozwiązanie. Równie spokojna, z błyskającym nawet dyskretnie kpiarskim śmieszkiem, była też twarz generała K. Znał on generała J. zbyt długo i zbyt dobrze, żeby nie wiedzieć, że nie zwykł on zwoływać narad w celu szukania rozwiązań. On zwoływał posiedzenia po to, by o rozwiązaniach informować. I w rzadkich przypadkach — prosić i ich zaopiniowanie.

— I co teraz? — głos generała B. ponownie nabrał twardości.

— Nie fatygowałbym panów na to późnonocne spotkanie tylko po to, by przedstawić sytuację, nie mając jednocześnie rozwiązania.

Generał K. uśmiechnął się pod nosem ze swej przenikliwości. Jednocześnie ze zdziwieniem skonstatował, jak bardzo mimo wszystko przeszkadza mu adresowanie wszystkich przez J. per „pan”, a nie — per „towarzysz”. Być może wynikało to z rzadkości? W końcu mieli prawo mówić do siebie w ten sposób lub nazywać się po imieniu tylko tutaj i tylko w tym gronie.

— Chcę jednak podkreślić i bardzo wyraźnie uświadomić wam wszystkim... — ciągnął bez przerwy generał J. — ...że sytuacja jest katastrofalna. Nasz wieloletni deficyt energetyczny przeszedł de facto w zapaść energetyczną kraju. Zapaść, której nie zwalczymy własnymi siłami, bo nie mamy na to czasu ani pieniędzy.

Generał J. zamilkł i powiódł wzrokiem po wszystkich.

— Dlatego... — ciągnął. — Rozwiązanie jest... cokolwiek nieszablonowe i... raczej niespotykane w krajach komunistycznych.

— Konkretnie co? — spytał generał B.

— Amerykanie...

— Amerykanie? — zdziwił się generał S.

Generał J. niezwykle szanował swój własny czas. W rzadkich przypadkach zdarzało się mu też szanować czas innych. Dlatego zwykle dążył prosto do celu, bez ogródek i owijania w bawełnę. Tym razem postanowił inaczej. Sprawa była na tyle delikatna i nietypowa, że zaprzagnął przygotować ich na uderzenie, idąc drogą okreśną.

— Dwadzieścia osiem miliardów dolarów obecnego zadłużenia zagranicznego... — zaczął głośno liczyć generał J., co rusz spoglądając do swoich dokumentów i notatek. — ...po uwzględnieniu opro-

centowania z tytułu jego obsługi oraz naszej i ich inflacji, da nam za dziesięć lat kwotę około czterdziestu, może czterdziestu dwóch miliardów dolarów. Dokładając do tego jeszcze te sześć miliardów na elektrownię jądrową oraz pewnie ze dwa, które dociagniemy po drodze, sumuje się nam w okragłej, choć muszę przyznać, że mocno przerażającej kwocie. Pięćdziesiąt miliardów dolarów amerykańskich. Rząd Stanów Zjednoczonych, w tajnych negocjacjach, które są prowadzone od kilku miesięcy z mojego poruczenia, zaproponował nam... odcinanie tego długu w kwocie pięciu miliardów dolarów każdego kolejnego roku. Za dziesięć lat dług spłaci się sam, że tak powiem.

— A co w zamian? — niemalże krzyknął generał K. — U Amerykańców nie ma nic za darmo! Nic z wolnej ręki, nic na czym nie można ubić interesu. Wezmą Zagłębie i Śląsk tak, jak sto kilkadziesiąt lat temu kupili od Rosjan Alaskę?

— Nie... — generał J. uśmiechnął się krzywo. — Nie aż tyle.

— Więc? — zapytał nerwowo generał S.

— Centralna Agencja Wywiadowcza chce w niewielkiej części kompleksu budowanej elektrowni uruchomić własne laboratorium doświadczalne. Chcą w nim pracować nad ultranowoczesną technologią jądrową, której współczesny świat nauki oficjalnie nie zna.

— Wojtek... — po raz nie wiadomo który odezwał się generał K. — Przepraszam za dosadność, ale czy ciebie przypadkiem nie pojebało? Wiem, że wieki kryzys energetyczny, wiem, że jeszcze większy finansowy, ale... ale co ty... szpiegów chcesz nam tu wpuścić? CIA, kurwa jego mać? Przecież Związek po przyjacielsku upierdoli nam łby!

— Technologia, którą chcą badać w tym laboratorium Amerykanie... — ciągnął niewzruszenie generał J., tak jakby nerwowe i emocjonalne wystąpienie generała K. nie miało miejsca. — ...rozwiąże

nie tylko nasz problem finansowy, ale przede wszystkim energetyczny. Amerykanie zobowiązali się, że od momentu podpisania tajnej umowy do uruchomienia elektrowni w pełnej mocy potrzeba im nie więcej niż cztery lata i trzy kwartały. Uruchomienie owego laboratorium ma przyspieszyć prace na samą elektrownią dwukrotnie.

— A co na to Breżniew? — zapytał któryś z obecnych.

— Breżniewa biorę na siebie — odparł sucho. — Jak i cały Związek Radziecki. Z resztą... krążą plotki, że biorąc pod uwagę ilości alkoholu, regularnie spożywanego przez towarzysza Breżniewa, nie pociągnie on już zbyt długo.

Generał J. użył ogólników i ogólnych argumentów, bo nie mógł przecież zdradzić nikomu, że wie to z doskonałą i niezaprzeczalną pewnością siebie. Wiedział bowiem, że Leonidowi Breżniewowi pozostały dokładnie dwa lata życia, bez ośmiu dni. Że zakończy swą komunistyczną ziemską pielgrzymkę dokładnie 10 listopada 1982 roku. Musiał jednak, co było oczywiste i naturalne, zachować te informacje dla siebie. Gdyby je ujawnił, to większość wzięłaby go za dopicznisia lub osobę chorą psychicznie. Mniejszość zaś... z pewnością zaczęłaby go dyskretnie śledzić...

— No... na co czekasz? — wyjątkowo długie milczenie przerwał, a jakże, generał K. — Gdzie magiczne „otwieram dyskusję”?

Teraz miało nastąpić główne uderzenie, toteż generał J. odechnął kilka razy głęboko, a potem, zanim odpowiedział, sięgnął ręką po szklanekę z czarną jak noc ponad nimi kawą i upił kilka łyków.

— Panowie... Towarzysze... — rzekł powoli i dobitnie, a zarazem sucho i lodowato generał J. — Nie chciałbym, żebyście mnie źle zrozumieli. Starłem się wyjaśnić wam, jak to tylko możliwe, katastrofalny stan naszej sytuacji. Pytanie generała K. odbieram jako

niezrozumienie tego faktu. Lub ignorancję. Towarzysze... Nie będzie żadnej dyskusji. Decyzja została podjęta. Jednoosobowo i jednomyślnie. Umowa z Amerykanami zostanie podpisana pierwszego stycznia przyszłego roku, a prace ruszają równo piętnaście dni później.

— Nie masz prawa! — wrzasnął generał K. — Nie jesteś samowładnym władcą tego kraju... Rada Państwa... Rada Ministrów... Komitet Centralny... partia... To... to zdrada stanu!

— Uspokój się, kretynie! — przerwał mu generał J., pojednawczym i uspokajającym tonem, rażąco odmiennym od wagi wypowiedzianych słów. — Bo mam już dość twoich wrzasków!

Wcześniej odwracał od niego wzrok z politowaniem. Teraz — zrobił to z niesmakiem. Ignorancja i krótkowzroczność jego bądź, co bądź podwładnego zaczynała go powoli złościć. Popatrzył przeciągle na pozostałych zebranych, uspokoił emocje i rzekł:

— Podjąłem taką decyzję, bo w mojej opinii nie mamy absolutnie żadnego innego wyjścia. Jesteśmy na krawędzi bankructwa państwa i jednocześnie na skraju zapaści energetycznej. Prawdę mówiąc, towarzysze, jesteśmy w czarnej dupie tak głęboko, jak jeszcze chyba nigdy nie byliśmy. Solidarność, czy nawet groźba inwazji ruskich przy tym, to zeszłoroczny śnieg. To nie jest żadna zdrada stanu, jak idiotycznie zechciał zasugerować przed chwilą Czesław. Tylko stan najwyższej konieczności. Nie lubię się powtarzać, ale to katastrofa.

Znowu zrobił przerwę. Stracił już rachubę, ile w ciągu tej le-dwie pół godziny było krótkich okresów milczenia. Zdawał sobie jednak sprawę, że to konieczne. Przekazywane informacje były takiej rangi i powagi, że musiały być dozowane. Cedzone wręcz. By zaskoczone i jednocześnie przerażone umysły słuchających nie zaczęły ich wypierać. Mimo jednak tych wszystkich zabiegów psychologicz-

nych, które stosował od lat z powodzeniem, był pewien, że jeszcze nie wygrał tej batalii. Dlatego postanowił wyciągnąć ostatniego asa z rękawa.

Sięgnął ręką w stronę lewej krawędzi stołu i podniósł stamtąd białą, lekko już zatłuszczoną teczkę papierową. Powoli i z przesadnym namaszczeniem rozwiązał brudnobiałe sznurki, po czym wyciągnął z teczki dwie pojedyncze kartki. Obie były równo zapisane piśmem maszynowym, zajmującym pół stron tekstu.

— Tak, jak panom przed chwilą powiedziałem... — zaczął. — ...umowa ze stroną amerykańską zostanie podpisana za miesiąc. Abym mógł tego dokonać, potrzebuję panów jednomyślnej zgody i pełnomocnictwa. Pięć podpisów, w pięciu kropkowanych liniach dokumentu, który trzymam w lewej dłoni.

Wzrok, przed chwilą jeszcze spuszczonej, wlepiony w brudną teczkę, teraz dziarsko podniósł. Unosząc jednocześnie arkusz papieru, przeciągle przesunął go po twarzy każdego z zebranych.

— Jeśli w ciągu piętnastu minut nie otrzymam od panów tych podpisów... — ciągnął dalej, odkładając jednocześnie pierwszą kartkę i podnosząc prawą ręką drugą z nich. — ...to wówczas podpiszę się osobiście na jednej kropkowanej linii dokumentu, który trzymam w prawej dłoni. To moja rezygnacja. Ze wszystkich pełnionych obecnie funkcji. Wszystkich. W rządzie, w partii i w wojsku.

Wrażenie, jakie wymalowało się na twarzach wszystkich zebranych, w podziemnym pokoju Rokady, było niemalże dokładnie takie, jak to przewidział. Na wszystkich twarzach, może z wyjątkiem twarzy jego osobistego sekretarza. Który, niewidziany przez nikogo, dyskretnie uśmiechał się, gratulując mu tym samym doskonałego rozegrania tej partii. *Va banque ! Szach-mat, skurwysyny!*

— Sytuacja jest katastrofalna... — generał J. rozwlekił ostatnie słowo, podkreślając powagę. — Jesteśmy, jak to ujął minister B., centymetr nad linią główną. Albo się ze mną zgadzacie i popieracie mnie jednomyślnie albo rezygnuję i sami sobie z tym głównym radźcie.

Nie potrzeba było nawet piętnastu minut. Wszystkie niezbędne podpisy znalazły się na właściwych miejscach po pięciu minutach. Najbardziej oporny był oczywiście generał K. W końcu i on podpisał.

— Dziękuję! — rzekł sucho generał J.

— Nie muszę panom chyba przypominać... — ciągnął po chwili. — ...że jest to jedna z najtajniejszych narad, w jakich kiedykolwiek braliście udział. Nic, co zostało tu powiedziane nie wychodzi poza mury tego pomieszczenia. Oczywiście... mam na myśli udział CIA oraz budowę tajnego laboratorium naukowego. Bo sam fakt współpracy ze Stanami Zjednoczonymi będzie informacją oficjalną. Nie da się tego ukryć, przy takim zakresie i rozmachu prac. Breżniew będzie musiał jakoś to przełknąć. Mnie zaś czeka kilka miesięcy tańców godowych, z zalotnym rozkładaniem pawiego ogona, żeby mu ta piguła nie uwięzła w gardle...

W pomieszczeniu zapanowało ostatnie tej nocy milczenie. Tym razem wynikało ono z tego, że zebrani nie za bardzo wiedzieli, jak zareagować na to oratorsko-poetyckie wystąpienie generała.

— To wszystko — zakończył tamten. — Dziękuję wszystkim za przybycie i wysłuchanie mnie. Wszystkim również życzę dobrej nocy, choć wiem, że będzie ona krótka i raczej na pewno nie spokojna...

Pięć minut po tym, jak przebrzmiały ostatnie słowa generała J., w pokoju pozostał już tylko on sam i jego sekretarz, pułkownik L.

— No... powiedz to wreszcie... — rzekł spokojnie generał.

— Ale, co, panie generale?

— Roman! Jest w pół do pierwszej w nocy. Padamy na pysk, nie ma świadków... Czy mógłbyś choć na sekundę zrzucić służalczą maskę? Czy mógłbyś choć raz otwarcie nazwać mnie tak, jak nazywasz mnie za plecami? Powiedz: „Naprawdę świetnie to rozegrałeś, stary!”.

— Naprawdę świetnie to rozegrałeś, stary! — uśmiechnął się.

— No, widzisz! Bolało? — generał odwzajemnił uśmiech.

— Nie, panie generale.

— Dobra, uciekaj spać. Jutro... to znaczy dziś rozpęta się prawdziwa burza. Musisz się wyspać, bo będziesz mi potrzebny. Ja tu sobie jeszcze chwilę posiedzę, a później też położę się spać.

— Dobranoc, panie generale.

2

19 listopada 1980 roku, 00:37

Pułkownik L. wyszedł niemalże bezszelestnie. Generał J. zamknął za nim drzwi i przekręcił dwukrotnie oba zamki. W drodze powrotnej do swojego fotela dopił resztki kawy bezpośrednio z dzbanka, wstawionego przez cały czas na podgrzewaną płytkę w ekspresie do kawy. Z zadowoleniem zauważył, że lura nawet była ciepła.

Gerald P. Fitzroy — główny architekt projektu Grid w przedsiębiorstwie informatycznym baagle.com — który w tym świecie grał generała J., usiadł wygodnie przy biurku. Wysunął powoli prawą dolną szufladę. Z nijakim stęknieniem wyjął z niej ciężką metalową kasetkę. Z szyi szybkim ruchem ściągnął jedyny pasujący do kasetkowego zamka klucz. Otworzył kasetkę i wyciągnął z niej urządzenie, którego w tym świecie nie znał absolutnie nikt.

W baagle.com urządzenie to nazywano różnie. „Wyrzucacz” albo „edżektor”. Czasami „zatrzymywacz światów”, jeśli ktoś wszedł do

świata testowego lub dopiero konstruowanego, w którym zatrzymanie całego programu-świata w ogóle było możliwe. Urządzenie na pozór nie było skomplikowane. W zasadzie stanowiło małe brązowe pudełko, wyposażone w wielki klawisz, świecący dyskretną czerwienią.

Bez większego zastanawiania się i zwlekania Gerald nacisnął ów klawisz, wyrzucając się z tego świata. Wszystkie obrazy, dźwięki i zapachy, w ogóle wszystkie impulsy, jakie do tej pory rejestrował jego mózg, zniknęły, jak za dotknięciem magicznej różdżki. Zapanała absolutna ciemność oraz cisza doskonała. Przestał widzieć lub czuć cokolwiek. Na ułamek sekundy, zanim sieć Grid nie wyładowała jego jaźni z powrotem do świata rzeczywistego, do dwudziestego pierwszego wieku. Na ułamek sekundy, ale jednak. Uczucie to zawsze go przerażało. Tak bardzo bowiem przypominało mu jego własne dziecięce wyobrażenia o śmierci.

Fitzroy został wyrzucony, zgodnie z własną wolą, ale program-świat, który odwiedził, trwał nadal. Nie był światem doświadczalnym, który można było wyłączyć, jak stara żarówkę. Był prawdziwym światem, wykreowanym we wnętrzu sieci Grid, do którego podłączonych było kilku... podłączonych. Który przez to tylko musiał trwać. I trwał. Zniknięcie Fitzroya niczego tak naprawdę nie zmieniło. Jego postać z powodzeniem przejął komputer. Choć nawet w dwudziestym pierwszym wieku trudno było nazwać po prostu komputerem to, co sterowało projektem Grid. Opuszczenie owego świata nie zmieniało jednak faktu, że Gerald i tak planował go odwiedzić jeszcze wielokrotnie w najbliższym czasie.

Świat, który właśnie opuścił Gerald P. Fitzroy, trwał więc nadal. 31 grudnia 1980 roku, zgodnie z zapowiedzią generała J., umowa została podpisana, zaś Rada Ministrów podjęła uchwałę o pla-

nowanym terminie oddania do eksploatacji bloków energetycznych Elektrowni Jądrowej Żarnowiec. Blok numer jeden miał zostać uruchomiony do grudnia 1990 roku, zaś blok numer dwa — rok później.

15 stycznia 1981 roku przedstawiciele lub podwykonawcy odpowiednio agencji, podmiotów i jednostek polskich oraz przedsiębiorstw, firm i agencji amerykańskich — w tym oczywiście przedstawiciele Centralnej Agencji Wywiadowczej, zwanej krótko CIA — wkroczyli na plac budowy Elektrowni Jądrowej Żarnowiec.

3

24 września 1983 roku, 14:15

W 1983 roku 24 września przypadał w sobotę. Jak więc w każdą sobotę, major Alexander Gibbs, miał niewiele do roboty. Z aktualnym przydziałem do tajnej i oficjalnie nieistniejącej jednostki wojskowej, towarzyszącej tajnej i oficjalnie nieistniejącej placówce CIA, ulokowanej na sromotnej północy komunistycznej Polski, major Gibbs nudził się. Rząd Stanów Zjednoczonych zadbał o to, by — nawet za żelazną kurtyną — personelowi wojskowemu i cywilnemu niczego nie brakowało. Można więc było dostać w sklepach rzeczy raczej niedostępne poza terytorium bazy. I to w ilościach niedostępnych nigdzie w Polsce. W zbudowanym w nieistniejącej bazie kinie można było obejrzeć nawet filmy amerykańskie, w ilościach i o tematyce niedostępnej nigdzie indziej.

Tylko, że major Alexander Gibbs miał dość amerykańskich filmów, amerykańskiego stylu życia i bycia oraz amerykańskiego sposobu myślenia. Szczerze mówiąc — miał dość całego owego amerykańskiego gówna. To dlatego z taką zaciekleścią walczył o przydział. Kontrkandydatów miał niewielu. Połowa Amerykanów nie wiedziała

nawet, że Niemcy po wojnie podzieliły się na NRF i NRD. Ani tym bardziej, że pomiędzy Niemcami a ZSRR istnieje jeszcze jakieś państwo. Dla większości Amerykanów istniał znienawidzony i demonizowany przez prasę Związek Radziecki, znajdujący się „gdzieś w chyba Europie”, „biedna i głodująca Afryka”, Stany Zjednoczone i „reszta świata”. Z tego względu mało kto w ogóle zainteresowany był przydziałem do zagranicznej placówki, zagubionej gdzieś na wschodzie Europy. Tym razem problemy robili przełożeni — każdy potencjalny kandydat był dokładnie sprawdzany i prześwietlany na wylot. Kandydatu-
ra Gibbsa była dwukrotnie odrzucana. Nie poddawał się jednak, pisał odwołania, wykłócał się i ostatecznie udało się.

Gibbs, jak niewielu mieszkańców ówczesnych Stanów Zjednoczonych, był zmęczony i zniesmaczony wszystkim tym, co „amerykańskie”, dlatego przydział do placówki w polskiej wsi, której nazwy nie potrafił na początku nawet wymówić, traktował jako wakacje. Oskocznię od zachodniego stylu życia. Dlatego też żadną siłą nikt nie namówiłby go na oglądanie w sobotnie popołudnie filmu z USA.

— W 1972 roku rząd premiera Piotra Jaroszewicza zdecydował, że Kartoszyno... — zaczął uniesionym, niemalże śpiewnym głosem spiker Polskiej Kroniki Filmowej — ...wieś nad Jeziorem Żarnowieckim w województwie gdańskim, zniknie z mapy Kaszub i Polski. Rybacy i rolnicy zrobią miejsce pod molocho, jakiego Polska jeszcze nie widziała. Zamiast drewnianych chat stanie elektrownia jądrowa. Według amerykańskiego przepisu. Największa, najpotężniejsza.

Gibbs oglądał wszystko, co polskie. W zasadzie — wszystko, co nieamerykańskie. Również wszystko, co polskie lubił. Od regionalnych potraw, po ludzi. Kino mimo wszystko było zlokalizowane na terenie amerykańskiej bazy wojskowej, więc kronika filmowa wy-

świetlana była z angielskimi napisami. Był to więc również świetny przyczynek do nauki języka polskiego. Z którym major Alexander Gibbs całkiem nieźle sobie już radził.

— 31 marca 1980 r. przekazano plac budowy generalnemu wykonawcy, którym był Energoblok-Wybrzeże... — ciągnął narrator.

— Enerdżo... blok... wybszesze... — próbował powtórzyć Gibbs.

— Wkrótce rozpoczęto prace i przesiedlanie mieszkańców wsi Kartoszyno — dokończył niewzruszenie spiker, nieświadomy niedolnych prób amerykańskiego majora, siedzącego jako jeden z niezliczonych widzów na widowni, w tajnej i nieistniejącej placówce USA.

Gibbs był typem człowieka, który, co robił, starał się robić „na serio” i dokładnie. W ten sam sposób traktował każdy swój nowy przydział. Z tego płynęła też chęć poznania jak najwięcej o miejscu, czasach, w których przyszło mu pracować. Oraz na temat ludzi i ich historii, z którymi miał spędzić kilka lat.

Znał więc pobieżnie historię Polski oraz bardzo dokładnie historię Żarnowca. Wiedział więc, że prace budowlane rozpoczęły się w 1980 roku. Najpierw przygotowywano teren pod fundamenty. Następnie powstały budynki zaplecza budowy — hale magazynowe, hydrofornia, oczyszczalnia ścieków, kotłownia, stołówka, budynki socjalne, laboratoria jakości materiałów, tunele dla instalacji elektrowni i wiele innych.

— Inwestycja rozkręciła się na dobre na początku 1981 roku... — ciągnął uniesionym, śpiewnym i pełnym entuzjazmu głosem ekran kinowy. — Po włączeniu się Amerykanów w prace. Nad budową elektrowni jądrowej w Żarnowcu pracowało ponad siedemdziesiąt zakładów pracy z każdego zakątka Polski. Na placu budowy spotkać można było robotników z Elbląga, Wrocławia, Katowic, Warszawy, Krakowa

oraz Łodzi. Nie brakowało oczywiście miejscowych. Oraz gości z za wielkiej wody.

Beton lał się gęsto. W sąsiedztwie elektrowni powstał ośrodek radiometeorologiczny, hala do produkcji prefabrykatów, stołówka, biurowce i szatniowce dla pracowników. Zbudowano nawet stację kolejową SKM i przystanek PKS. Wszystko wyglądało pięknie i cudownie. Jak zawsze w komunistycznej propagandzie.

Gibbs wiedział, że nic nie było takie piękne. Zaś zakłamanie i obłuda w tym przypadku wykazywali się wszyscy. Zarówno CIA, jego przełożeni w armii, amerykańscy naukowcy, jak i przyklaskujący im oficjale komunistyczni. Wszystko nie tylko nie było takie piękne. Wszystko było złe. Bardzo złe i bardzo niebezpieczne...

— Jeśli sprawy pójdą w tym kierunku, w którym idą... — szepnął major Alexander Gibbs do samego siebie — ...to moi kochani rodacy niedługo wybudują tu Polakom piękne kukułcze gniazdo. I podrzucą do niego wredne cuchnące jaja. Których nigdy, żadną siłą nie chcieliby mieć u siebie...

Byli w tym przecież dobrzy, nieprawdaż? Próby nuklearne? Na pustyni przy granicy z Meksykiem. Albo na polinezyjskich atolach. Nigdy we własnym ogródku. Eksperymenty medyczne? Czemu nie... Ale wyłącznie na czarnych. Białych obywateli dumnego państwa nie ruszać. Eksperymenty z portalami międzywymiarowymi? Ależ oczywiście. W głupiej, ślepej i zacofanej Polsce.

— To, że portale takie wymagają niebotycznych wprost energii było tym gnojom w białych kołnierzykach na rękę...

Bo zagrożony w deficycie energetycznym kraj chętnie i łatwo łyknął bajeczkę o niezwykle wydajnej elektrowni jądrowej, która miała rozwiązać wszelkie ich problemy.

— Białe kołnierzyki nie wzięły jednak pod uwagę jednej rzeczy... — pomyślał Gibbs. — Jednego współczynnika nie uwzględnili w swoim równaniu. Starego Alexandra. Który stanął na głowie, by dostać ten przydział. W duchu zaś obiecał sobie, że będzie tu cały czas. Patrząc na ich ręce. By nie dopuścić do drugiego Tuskegee.

Badanie, które nie wiadomo który raz powróciło w jego rozmyślaniach, było częścią jego rodziny i tym samym częścią niego samego. Jego dziadek — który nie grzeszył pobożnością i wiernością wobec własnej żony — był jednym z tych sześciuset czarnoskórych farmerów. Jednym z tych, którym pracownicy Amerykańskiej Publicznej Służby Zdrowia jedynie wmówili, że będą leczeni na kiłę. Faktycznie zaś pozostawiono mężczyzn bez leczenia i pozwolono im dojść do terminalnego stadium choroby, a ostatecznie — do zgonu.

Historia ta, gdy tylko Gibbs ją poznał, zdecydowała o całym jego życiu. Postanowił, że albo zostanie politykiem i zadba o to, by białe fiuty, z białymi kołnierzykami i w białych rękawiczkach nigdy więcej do takiej sytuacji nie dopuściły. Albo chociaż zostanie wojskowym i będzie bacznie patrzył im na ręce.

Kariera polityczna mu nie wyszła.

22 lipca 1984 roku, 10:35

Okolicą targnęła eksplozja. Niewielka, wszak wybuchła tylko nieco większa petarda. Wybuch nastąpił w miejscu, które z jednej strony otaczał głęboki stary las, za którym rozciągały się hektary pól uprawnych. Z drugiej strony miejsce to znajdowało się tuż przy dawnej dzikiej plaży, w mało komu już znanym miejscu, nad brzegiem ogromnego Jeziora Żarnowieckiego. Warunki akustyczne były więc

całkiem niezłe, echo poniosło równo, a sam wybuch okoliczni mieszkańcy słyszeli we wsiach wiele kilometrów dalej.

— Uuu... ale pierdolnęło! — sapnął Adam, zwany Północnikiem.

— No, ba! — przytaknął Marek, w tym gronie znany jako Gekon.

Wybuchy niewielkich ładunków wybuchowych nie były w okolicy żadną nowością. Ładunki te zbudowane były głównie z tego, co dzieciaki znalazły w okolicy. Lub ukradły. Ładunki konstruowane na podstawie czytanych z wypiekami na twarzy świstków papieru oraz odręcznych notatek, stanowiących największą tajemnicę młodzieży tamtych czasów. Notatek, przepisów i wzorów znalezionych Bóg jeden raczy wiedzieć gdzie, wykombinowanych na podstawie tego, co zdradził nauczyciel chemii, uzupełnionych wiedzą z książek, a nie- rzadko i własnym doświadczeniem. Również — doświadczeniem mionych pokoleń, liczonym nie tylko latami, ale i z rzadka urwanymi palcami, głuchotą albo wypalonymi oczami. Takie wypadki zdarzały się jednak rzadko i tylko one budziły jakąś tam sensację wśród okolicznych. Te z kolei wybuchy, które nie kończyły się ofiarami ani nawet drobnymi ranami, nie spędzały snu z powiek okolicznych gospodarzy, czy lokalnych oddziałów Milicji Obywatelskiej.

Plaża była miejscem zapomnianym już przez okolicznych mieszkańców, wędkarzy, grzybiarzy oraz lokalnych kochanków — szukających idealnego miejsca do cielesnego wyrażania swoich uczuć. Całkiem możliwe, że była również zapomniana przez samego Boga. Dlatego miejsce to było nazywane plażą mocno już na wyrost. Dlatego też stanowiło ono tak idealne punkt dla spotkań tej szalonej czwórki.

Była plaża, oddzielona od ciemnozielonej smutnej ściany lasu nieczynną już linią kolejową. Z resztkami piachu rzadko noszącego ludzkie stopy, praktycznie zupełnie przerośniętego już trawami,

bylinami i chwastami. Od miejsca, w którym stali teren nieznacznie i niezauważalnie zniżał się w stronę płytkich w tym miejscu wód Jeziora Żarnowieckiego. Które rozciągało się w dali aż po horyzont.

Tuż i ich stóp wyrastała z ziemi jakaś betonowa konstrukcja, czy raczej podwyższenie. Wystawały z niego pordzewiałe już i pogięte żelazne druty zbrojeniowe, wysokie na jakieś trzydzieści centymetrów. Mogło to sugerować, że betonowy czop był kiedyś zamknięciem jakiegoś podziemnego obiektu. Albo betonową podstawą jakiejś większej naziemnej budowli. Co jednak znajdowało się pod betonową przykrywą lub czego częścią ona kiedyś była — nie interesowało nigdy nikogo z tej czwórki. Najważniejsze było to, że betonowa konstrukcja, nazywana przez nich stołem, nadawała się idealnie do przeprowadzania tych wszystkich wybuchów i eksperymentów chemicznych, jakie kiedykolwiek wpadły do ich zarosniętych łepetyn.

Teren w najbliższym sąsiedztwie betonowego stołu był regularnie i dokładnie oczyszczany przez nich ze wszystkich możliwych chwastów, traw, bylin i ziół. Oraz w zasadzie ze wszystkiego, co mogło — w przypadku nieudanego eksperymentu — doprowadzić do pożaru lasu. I tym samym zdradzić ich sekretne miejsce komukolwiek. Ewentualne zaproszenie ognia byłoby wszystkim bardzo nie na rękę.

Ani ta jedna ręka, ani dziesięć rąk nie wystarczyłyby, aby na ich palcach zliczyć ilość bardziej lub mniej kontrolowanych wybuchów i startów rakiet międzygwiazdnych, jakie chłopcy przeprowadzili w tym ich sekretnym miejscu w ciągu tych kilku lat.

— Co to było, tym razem? — spytał Rafał, znany jako Mucha.

— Klasyka... — odrzekł niedbale i przeciągle Kijas, w normalnym świecie zwany Jarkiem. — Trzy czwarte saletry, koło piętnastu procent węgla drzewnego, dziesięć procent siarki.

Saletra ze sklepu spożywczego. Węgiel drzewny z apteki, z tabletek na zastopowanie rozwołnienia. Tylko siarkę trzeba było ukraść. Z pracowni Herczaka — ich nauczyciela chemii z liceum. Bo niepełnoletnim gówniarzom nie sprzedaliby jej nawet w odległym Gdańsku. To zadanie, jak z resztą zwykle, należało do Muchy.

— Herczak to jest gość, co nie chłopaki... — spytał tamten.

— Nauczyciel, jakich ze świecą... — przyznał Marek i Kijas.

— Umbee-eeh... — potwierdził Północnik, głośno bekając.

Nauczyciel chemii z I Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Jana III Sobieskiego w Wejherowie, przy Bukowej był wspomniany po latach przez setki uczniów ze łąką w oku. Jako wyjątek. W kontrapunkcie do zamkniętych w sobie, chmurnych i nudnych jak cholera nauczycieli innych przedmiotów, starał się prowadzić lekcje ciekawie. Tu coś podpalił, tam mu coś wybuchło, gdzieś tam niby przypadkiem zalał blat kwasem. Zaś każdą lekcję prowadził z uśmiechem, ciepłem i wyrozumiałością dla tej rozwrzeszczanej trzydziestki pataluchów, którzy wypełniała zwykle po brzegi jego klasę. Bo dzięki jego podejściu nikt nigdy nie wagarował na lekcjach chemii.

W szkole krążyła legenda, jak to podobno kilka lat wcześniej, niby przypadkiem, zdradził uczniom składniki gazu rozweselającego. Na pewno bez proporcji — jak się potem solennie tłumaczył. Zaś ci tak długo eksperymentowali, aż właściwe proporcje odkryli sami. Następnego dnia rozpuścili gaz na korytarzach szkoły i zaczął się cyrk. Nawet Milicja Obywatelska miała problemy z ogarnięciem sytuacji, bo jej funkcjonariusze, po przekroczeniu progu szkoły, wpadli w naprawdę świetny humor.

Z klasy Marka, nauczyciel chemii najbardziej lubił Rafała Zębalskiego, zwanego Muchą. Za jego dociekliwość, za błyskotliwe py-

tania, czasami trudne do bólu. Nie pozwalały one skostnieć jego umysłowi i wymagały od niego ciągłego doksztalcania się. Mucha oczywiście wykorzystywał tę sympatię do granic bólu. Z umiejętnością i finezją kieszonkowca z wyprowadzał z pracowni Herczaka to wszystko, czego jego banda potrzebowała do własnych celów.

— Marek, co tam u twojego starego? — spytał nagle Mucha.

— No, co ma być. Dobrze. Jeszcze żyje. — odparł Gekon.

— Na ryby dalej chodzi?

— Jak posrany! Jakby mu stara pozwoliła, to każde popołudnie moczyłby kija w wodzie! Nawet gdyby mu się śnieg sypał za kołnierz lub woda z nieba lała na ten jego zakuty łeb, o ja cię pierdołę...

— A nadmanganian ma?

— No, jacha!

— W razie czego... będziesz miał dostęp — spytał Piotr.

— Pytasz, a wiesz, szczyłu... No oczywiście! — sarknął Gekon.

Jeżeli eksperyment dotyczył nie wybuchu, ale bezzałogowej misji na Marsa, a składnikiem paliwa raketowego były nadmanganian potasu, wówczas do akcji wkraczał Marek. Jego ojciec był zapalonym wędkarzem i w związku z tym posiadał w domu spore zapasy tego środka chemicznego. Wędkarze i rybacy chętnie stosowali go do odkażania ryb, szczególnie przy ich przenoszeniu ze zbiornika do zbiornika. Nadmanganian potasu miał jednak też to do siebie, że palił się wściekle fioletowym ogniem. Dlatego stosowanie go jako paliwa raketowego dawało zarówno efekty dźwiękowe, jak i wizualne. Ponieważ jednak intensywny fioletowy kolor, tym bardziej zaś ogień lub płomień, występuje w naturalnych warunkach dość rzadko, więc tego rodzaju eksperymenty groziły zdemaskowaniem ich autorów lub niepotrzebnie rosnącą liczbą ewentualnych świadków.

Alternatywą była saletra. Zmieszanie jej z cukrem, w proporcjach znanych tylko wtajemniczonym dawało „paliwo” raketowe. Już samo ono, bez pojemnika z dyszą, paliło się naprawdę świetnie. Jeśli zaś do tego mieć jakąś rurkę lub cylinder — na przykład poklejone razem rolki po papierze toaletowym albo starą rurę od odkurzacza, gwizdniętą ze śmietnika lub punktu skupu złomu — to nie brakowało już niczego, żeby lecieć na Księżyc. Trzeba było tylko pamiętać, że im drobniejszy cukier, tym lepszy. Najlepszy był oczywiście cukier-puder. Ale że to był produkt deficytowy w peerelowskiej Polsce, więc matka groziła Markowi „urwaniem nóg przy samej dupie”, po pierwszym złapaniu go na wyprowadzaniu cukru-pudru z kuchni.

No, a lont? To też nie stanowiło problemu. Dowolny sznurek bawełniany, czasem zwykłą sznurówkę, wystarczyło zanurzyć w roztworze nasyconym saletrą, poczekać aż całość wyschnie... no, i masz!

— Jak dla mnie... — odezwał się nagle Północnik, wrywając Marka z rozmyślań, zaciągając się głęboko i przekazując mu skręta. — ...to tylko saletra. Nadmanganian robi wrażenie, ale nie tylko na nas. Za dużo ewentualnych świadków. Ja w to nie wchodzę.

— Ano — elokwencja nie była silną stroną Kijasa.

— Się wie... — rzekł Mucha, zaciągając się skrętem otrzymanym od Marka i ponownie przekazując go w ruch okrężny.

Skręt, czy skręty były nieodzowną częścią każdego wybuchu oraz każdego lotu międzygwiazdowego. Palono je zawsze. W ciszy lub przy akompaniamencie nielicznych komentarzy, jak teraz, by podkreślić zadowolenie z sukcesu. Lub poprawić humor w przypadku ewentualnej porażki.

Trawka, czy w ogóle narkotyki były w komunistycznej Polsce towarem bardziej nawet deficytowym niż mięso, bo nie można było

kupić ich na kartki. Kiedy jednak mieszkało się w pobliżu amerykańskiej bazy wojskowej, stanowiącej część budowanej właśnie wielkiej elektrowni jądrowej, kiedy chodziło się do szkoły współfinansowanej przez armię Stanów Zjednoczonych, gdzie języka angielskiego uczył autentyczny kaprał ubrany w mundur khaki i wreszcie, kiedy połowa ludzi z okolicznych wiosek zatrudniona była przy budowie tejże elektrowni lub jako personel bazy wojskowej, to sprawy miały się nieco bardziej optymistycznie niż w reszcie kraju.

Krótkie milczenie, które zapanowało, przerwał Marek. Nabrał nagle powietrza w usta, zacisnął wargi, zrobił smutną minę i...

— Fluuafao... — zapiszczał smutnie jego tyłek.

— Gdyby nie ten dech... to by człowiek zdechł — zarechotał.

— Kurwa, Gekon, ty wieprzu! — wrzasnął Kijas, odsuwając się.

— Nie mogłeś gdzieś odejść, świnió — zawtórował mu Mucha.

— Dobra, już dobra... — Marek zamachał rękami pojednawczo.

— Zachowujecie się, jakby żaden z was nigdy w towarzystwie smroda nie puścił. Tyle mówimy o wybuchach, że aż poczułem wene. Ale dość pierdolenia... Na koniec obozu harcerskiego tośmy odwalili numer, co nie? Wtedy to cię akurat nie było z nami, Północnik. Mucha? Kijas? Pamiętacie?

Odpowiedziały mu pomruki zachwytu i kiwanie głowami.

— Opowiadajcie, głupie pedały, opowiadajcie — zapalił się.

— A to ty nie znasz tej historii, Adam? — spytał głupio Marek.

— Kurwa, nie no... znam, wiesz! — zirytował się tamten. — Mam tylko ochotę, żebyś mi opowiedział ją po raz kolejny, bo mam w wieku piętnastu lat sklerozę bardziej zaawansowaną niż mój pierdołowaty osiemdziesięcioletni dziadek. Weź no... przestań mnie podkurwiać, skończ z durnymi pytaniami i opowiadaj... dobra?

Na obóz harcerski pojechali w siódmej klasie. Do „harcydupków” należał wtedy prawie każdy, bo formacja ta oferowała jakieś tam atrakcje w leniwe jak kluchy nudne popołudnia. Matki trochę kręciły nosami, bo po mieście krążyła plotka, że harcmistrz lubi podglądać gołe tyłki chłopaków na nocnych rajdach. W końcu jednak dały za wygraną. Obóz zaczął się drętwo. Za to jego koniec był naprawdę huczny. Obóz rozbili w środku lasu, w miejscu wyznaczonym harcmistrzowi przez leśniczego. Toteż w ostatnim dniu pojechał on rano do leśniczówki, by potwierdzić zwinięcie obozu i uprzątnięcie miejsca po nim. Uczestników zostawił samych, licząc po cichu, że przez tą godzinę lub dwie nie zrobią sobie krzywdy ani nie podpalą lasu. Cóż... mylił się.

Zadanie ugaszenia podtrzymywanego od tygodnia ogniska przypadło męskiej części widowni. Głównie — Kijasowi, Musze oraz Markowi, czyli Gekonowi. Wszyscy zgodnie stwierdzili, że „pożegnanie ognia” musi bezwzględnie odbyć się z przytupem. Oraz, że zmarowanie takiej okazji — ognisko plus nieobecność komendanta obozu — jest rzeczą niedopuszczalną. W atmosferze licznych wybuchów zdetonowali już wszystkie puste puszkę po kosmetykach, jakie wyzebrali od dziewczyn. Potem zaś, gdy Marek i Mucha chcieli zabrać się za faktyczne gaszenie ogniska i zabezpieczanie miejsca po nim, Kijas zniknął nagle i niespodziewanie. Marek dostrzegł go po dłuższej chwili, w gęstych zaroślach, które otaczały obóz.

— Kijas... Co ty tam tak sapiesz... — zawołał wtedy do niego.

— Chłopaki, patrzcie, co znalazłem! — odkrzyknął tamten. — Gaśnica! Sam nie mam pojęcia, skąd tu się to wzięło...

Zdziwienie w głosie Kijasa było całkiem na miejscu. Obóz rozbity był od tygodnia w samym środku leśnej głuszy. W najczarniej-

szej leśnej dupie, jak mawiali uczestnicy. W najbliższej odległości, nieco ponad trzy kilometry, znajdowała się leśniczówka. Zaś do najbliższej wsi szło się półtorej godziny. Znalezienie opróżnionej gaśnicy w takim miejscu było rzeczą, która mogła zaskakiwać. Nikt, przy zdrowych zmysłach, nie wywoziłby pustej gaśnicy wiele kilometrów, tylko po to, by wyrzucić ją w środku lasu, skoro można było sprzedać ją w skupie złomu, dostając w zamian równowartość kilku butelek wódki. Jednak faktycznie tam była. Ogromna, jak im się zdało, jedynie lekko przerdzewiała, ciągle wściekle czerwona.

— Matko Boska, człowieku! — w głosie Gekona pobrzmiwał autentyczny strach. — Pokurwiło cię do granic. Masz zamiar wrzucić to do ogniska? Przecież, jak to pierdolnie, to rozniesie cały obóz...

— Nnnie wiem, co tttty tam wciągasz rano... — zaczął Mucha jego ulubione powiedzenie. Zęby lekko już mu szczękały ze strachu. — Ale bierz tego połowę od jutra, dobra, człowieku?

— A, co? — zaśmiał się Kijas, całkiem niezłe maskując własny strach na myśl o tym, czym może skończyć ta historia. — Już wam się półdupki rozchylają na lewo i prawo ze strachu, pedały dwa?

— Cipy jesteście i tyle! — dokończył. — Cipy, jakich mało...

Po czym dziarskim krokiem podszedł do ciągle jeszcze palącego się i dobrze rozgrzanego ogniska, taszcząc za sobą ciężki pojemnik gaśnicy. Bez zastanowienia cisnął go w ogień. Błyskawicznie uciekł na pozycję, przy której leżała pozostała dwójka. Na szczęście ognisko rozpalono na skraju obozu, w odległości kilkunastu metrów od namiotów. Teoretycznie nie groziło im więc, że nagle przypałała się jakaś niespodziewana dziewczyna.

Przez bite długie i nudne piętnaście minut nie działo się absolutnie nic. Emocje opadały, nosy zwieszały się na kwintę.

— Może metal był zbyt gruby... — zaczął Mucha.

— Dość marudzenia! — zerwał się nagle Kijas. — Idę po to!

Zaczęli głośno krzyczeć za nim, że posrało go w mózg. Bo przecież gaśnica może mimo wszystko w każdej chwili wylecieć w powietrze. Na co tamten odkrzyknął im markotnie, że skoro ją tam wsadził, to musi ją też wyjąć... Bo przecież nie można tego, ot tak zostawić.

Na szczęście zdażył przejść tylko trzy kroki... Na szczęście nie zbliżył się aż nadto do ogniska...

Marek do dziś pamiętał ów moment i wzdrygał się na każde jego wspomnienie. Huk eksplozji był tak głośny, że z wrażenia na ułamek sekundy stracił widzenie w oczach. Na bardzo krótki okres cały obraz mu pobielał i zniknął. Gdy widzenie powróciło, zobaczył Kijasa, leżącego metr bliżej ich miejsca, niż widział go pół sekundy wcześniej, dosłownie zdmuchniętego przez falę uderzeniową. Ognisko po prostu zniknęło. Ogień, dym, tłące się polana, kawałki całkiem grubych drzew... nic. Resztki tego, co kiedyś było ogniskiem dostrzegli później wśród gałęzi drzew, których konary zwisały dziesięć metrów na ziemią. Do dziś Markowi robiło się słabo na myśl, jak łatwo mogli wywołać wtedy pożar lasu. Jeśliby na przykład rozerwane eksplozją resztki ogniska doleciały do tych drzew ciągle jeszcze płonąc. Jedynie, co pozostało na miejscu ogniska, to rozpruty na pół pojemnik po wielkiej gaśnicy. Właśnie wtedy, po raz pierwszy w życiu, Marek widział, na własne oczy, nie na jakimś amerykańskim filmie, jak wyglądają brzegi metalu, który został dosłownie rozdarty jak papier.

Widział wtedy po raz pierwszy i po raz ostatni w życiu...

Wszystkim dzwoniło w uszach jeszcze przez dziesięć minut, więc nie słyszeli przekleństw ze strony dziewczyn, dolatujących od strony obozu. Godzinę później wrócił harcmistrz. Wszyscy byli już

do tego czasu umówieni, co do wspólnej wersji wydarzeń. Tak, też go słyszeli. Tak, też ich strasznie przeraził. Nie, nie mają pojęcia, co to było, ani gdzie to wybuchło.

— I wy mi zarzucacie, że mam pierdolca... — skwitował opowiadanie Północnik. — Bo podłączyłem chomika do przerobionej płytki scalonej, wyjętej z „Kasprzaka” od mojego starego, co?

Skręt krażył w ciszy, od jednego do drugiego palącego, mozolnie podążając zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

Ciszę przerwał Mucha.

— Słyszeliście o topielcu? — spytał lakonicznie.

— Ba, kto nie słyszał. — odparł Marek.

Na wsi plotki roznoszą się przecież lotem błyskawicy. Według milicjantów gość utonął w piątek wieczorem, półtora dnia wcześniej, choć wędkarze znaleźli go przez przypadek dopiero tego dnia, na ranem. Mimo to, w ciągu zaledwie kilku godzin, wiadomość o tym, że ktoś utopił się w Jeziorze Żarnowieckim zdążyła już pewnie dotrzeć do odległej o sześćdziesiąt kilometrów Łeby. Kto wie — czy nie do leżącego sto kilometrów dalej Słupska. W Polsce, tak komunistycznej, jak i w trakcie panowania innych ustrojów, szczególnie latem, nad polskimi jeziorami, rzekami i morzem, tonęły rokrocznie setki ludzi. Nie była to więc zwykle wielka sprawa. Ten topielec był jednak niezwykajny, a przynajmniej... niecodzienny.

— Ludzie mówią, że samobójca — zauważył Kijas.

— Samobójca... Albo głupek po prostu — odparł Północnik.

— Nabzdryngolił się i kozaka poszedł udawać — dodał Marek.

Milicję zawiadomili koledzy „spod budki z piwem” w sobotę, przed południem. „Chyba poszedł pływać wczoraj i jakoś go nie ma”. Wyglądało więc na to, że przyszedł nad jezioro sam. Według milicji,

utonał koło dziewiętnastej. Ledwie godzinę po zamknięciu kąpieliska strzeżonego, jakie lata temu zorganizowano w tym miejscu na jeziorze. Ratownicy zwiłali się zwykle o szóstej. Wśród plotek, krążących jak pszczoły nad letnią łąką, nikt nie był w stanie dokładnie określić nawet wieku topielca, nie mówiąc już o tym, kto to. Wszystko wskazywało więc na to, że nie zostawił dokumentów na plaży albo ktoś ukradł mu ubranie, a dokumenty gdzieś wywalił, żeby się nie podłożyć z kradzieżą.

— Myślę se... — zaczął Północnik. — ...że może to faktycznie był samobójca. Wiedział, że ratownicy kończą o szóstej, specjalnie nie zabrał dokumentów. Wybrał też celowo piątek, żeby go za szybko nie znaleziono. Ratownicy wracają dopiero w poniedziałek. Przez weekend kąpielisko jest oficjalnie zamknięte.

— Kto wie... — zawtórował mu Kijas. — ...może chciał się zabić przy wieczorze, a dodatkowo walnąse „na znieczulenie” co nieco.

— Ta, na znieczulenie... — sarknął Mucha. — Ta, samobójca...

— Co? — spytał któryś z nich nieco zaskoczony.

— Sranie w banie, panie Janie... — ciągnął. — ...albo pierdolenie o Szopenie, jak mawia mój stary.

— Gościu, co ty szyjesz?

— Jaki kurwa samobójca? Wy to zaraz jakieś piętrowe teorie spiskowe budujecie. Chyba wam mamusia z tatusiem za dużo „997” pozwalali oglądać. Według mnie to gościu najzwyczajniej w świecie poszedł się poopalać. Wybrał wieczór, bo w ciągu dnia słońko na pierdziela tak, że psa żał z domu wygonić. Wybrał godziny po zejściu ratowników ze stanowisk, bo na czynne kąpielisko nikt by go z piwskim nie wpuścił. Potem sobie golnął ze dwa albo trzy browary i mu łańska szajba w mózgownicę zapukała. Spocony, zgrzany, zmęczony...

Żar zaś przy tym zaś taki leje się z niema, że nawet piwo nie chłodzi. To co robisz? Ano, chlup do wody. No, a tam co? Cielsko schlanego typu, rozgrzane mocnym jeszcze ciągle słońcem, wpada do chłodnej już całkiem wody. I zawał albo udar gotowe. Bo nie zapominajcie, że kąpielisko od zachodu i południa otoczone jest lasem. Tak, że czasami nawet już po czternastej większa część jeziora jest zacieniona. Za to plaża jest na północy i wschodzie, więc zachodzące słońko nagrzewa tam piach cudnie aż do wieczora. Dlatego tak świetnie się tam pływa. Bo możesz dupsko wygrzać i schłodzić się przy tym w wodzie.

— No, a zniknięcie dokumentów? — spytał Kijas, zbity z tropu.

— A kto mówi od razu od znikaniu? — odparował mu natychmiast Marek vel Gekon. — Jak mój stary idzie na ryby, a ja z nim, żeby sobie przy okazji popływać, to biorę wszystko ze sobą. Bo on, mocząc kija przy drugim stawie, wszystko widzi i mi wszystkiego przypilnuje. Ale jak idę sam, to biorę tylko klucze, żeby mi nikt nic nie ukradł, jak będę w wodzie. Tak samo, jak pobiegać idę.

Znowu zapanowała długa cisza. W milczeniu celebrowali tę ich swoistą świętą mszę. Wszak było to niedzielne przedpołudnie. Ich bóg i ich kościół więcej miał jednak z obcowania z naturą niż z klepania nudnych regulek. No, i popiołem posypywano tam nie głowy, ale czubki butów. Popiół zaś pochodził niekoniecznie z popielnicy.

— Co tam, cipki... — zagaił po chwili Kijas. — Jakie plany?

— Plany? — zdziwił się Gekon.

— Na wakacje, do kurwy-jędzy. Nie pytam przecież o to, czy będziecie dziś słać Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą...

— Jeb, dziś dwudziesty drugi... — zajaknął się Mucha.

— Na pochód nie idę, choćby mnie za dupę ciągnęli... — rzekł Północnik. — Ale na stragany to se na pewno pójdę, nie ma bata.

— Aż mi ślinka cieknie na myśli o dobrym twarogu i kawałku śląskiej... — dodał po chwili błogiego zaniemówienia.

Święto Odrodzenia Polski było najważniejszym polskim świętem państwowym w okresie PRL. Wszelkie budowy, cele, osiągnięcia, plany pięcioletnie i dziesięcioletnie, słowem wszystko — od przebudowy wiejskiej stodoły na remizę strażacką, po ukończenie „Gierkówki” z Warszawy do Katowic — było planowane tak, by było gotowe na dwudziestego drugiego lipca. Żeby władza mogła pochwalić się tym podczas wiecu na dwudziestego drugiego lipca.

Zdecydowana większość społeczeństwa traktowała to święto tak, jak święto 1 maja. Dzień wolny od pracy i już. A na pochód się idzie, jeśli każe. Co jednak było najważniejsze to fakt, że w dniu tym organizowano w wielu miejscach w kraju świąteczne festyny. Na których zwykła ludzka pozapartyjna gawiedź mogła — tego jednego jedynego dnia — zaopatrzyć się w produkty i artykuły zwykle niedostępne lub trudnodostępne. Na południu Polski oznaczało to najczęściej świeże i wędzone ryby oraz przetwory i półprodukty z tychże. Które tu były codziennością, a na Śląsku i w górach — swoistym rarytasem. W drugą stronę działało to dość podobnie. Górskie przetwory nabiałowe, mięsne i wędliniarskie, rzadko i trudno dostępne w ciągu roku nad morzem, w tym jednym dniu można było kupić, często bez kartek. Często bez większych ograniczeń.

— No, żeby cię zajebało, Północnik! Ty dupku ryży...

— Czego chcesz, pedale? — spytał ze złością zaatakowany.

— Mamy dopiero koniec lipca, pytam się o wasze plany wakacyjne, a ty mi tu z pierdoleniem o kiełbasie i twarogu wyjeżdżasz...

— Goń się, leszczu... pusta fujaro! — odparował Adam, po czym obaj ryknęli gromkim śmiechem, mocno już wzmocnionym trawką.

— No, i co?

— No, i chujów sto... — odrzekł Mucha. — Przynajmniej u mnie. Ja to już nigdzie nie pojedę w tym roku. Starzy szmalu nie mają...

— U mnie niestety podobnie — zawtórował mu ze smutkiem sam Północnik. — Chyba, żeby mi odbiło zupełnie i chciałbym jechać do starego pierdolca, mojego dziadka, na Podlasie.

— Ja też nigdzie nie jadę w te wakacje — rzekł sucho Kijas.

— Ani ja — dokończył Marek.

— Panowie... — twarz Północnika rozciągnęła się w szerokim uśmiechu. — To brzmi, jak świetny plan! Ponad miesiąc razem, czterech takich pojebów, jak my! Ciekawe, ile jeszcze rzeczy uda się nam wysadzić? Kto wie, może w końcu dolecimy tą rakieta na Marsa?

— Tylko, jeśli Gekon skołuje odpowiednią ilość towaru.

— Pracuję nad tym intensywnie! — Marek uśmiechnął się.

Znowu chwila modlitwy w skrytości serca i ducha, z trzecim już skrętem krażącym, jak komunia mas, wśród czwórki przyjaciół.

— No, a co potem? — podjął po chwili znowu Północnik.

— Potem, potem... — przedrzeźniał Kijas. — ...sraj pod płotem.

— Nie, no... na serio się pytam.

— To też na serio ci mówię, debil. Nie wiesz, co nas czeka? Kolejny rok pedałbudy. Ostatni już. Z jednej strony, chwała za to panu w niebiosach. Z drugiej strony — już czuję, jak mam porty zeszczane, na myśl o zbliżającej się maturze.

— Nie ma co, skończyło się dziewictwo — zaśmiali się smutno.

Znów przerwa. Tym razem bardzo krótka. Ledwie dwa krzyki ptaków w lesie i może ze cztery chlupnięcia jeziora, obmywającego brzegi dawnej plaży ledwie kilkanaście metrów od nich.

— No, ale potem. Po szkole. Myśleliście już? — drażył Adam.

— Paaanie, to za rok! Najpierw będę muszę zdać — rzekł Mucha.

— No, a potem co? Do roboty. Jak każdy przecież.

Kijas w odpowiedzi pokiwał tylko przecząco głową.

— Ja tam nuż intensywnie o tym myślałem, ale do niczego sensownego jeszcze nie doszedłem — ciągnął Północnik. — Dlatego tak was ciągnę za język, bo sobie myślę, że jak któryś z was, półgłówki, wyskoczy z czymś sensownym, to może sam rozważę? Może pomysł prowadzę, może z nim pójdę, żeby się nam paczka zupełnie nie rozpadła... No, Gekon... A Ty?

Oczy całej trójki spoczęły na Marku. Ten miał spuszczone głowę, intensywnie gapił się na swoje buty i na esy-floresy kreślone lewą nogą w piasku. Jakby się wstydził tego, co zamierzał im powiedzieć? Jakby bał się reakcji kolegów. W końcu się przemógł.

— Na studia pójdę... chyba... Na Politechnikę Gdańską.

— Co? — słowa te tak zaskoczyły pałacego właśnie Kijasa, że aż cały dym wciągany w płuca wyleciał mu ustami. — Pojebało cię?

— Stary mnie namawia, wiecie...

— A od kiedy to starzy wiedzą cokolwiek i życiu i świecie?

— Tak, wiem... — ciągnął powoli Marek, ciągle wlepiając oczy w piach i nie patrząc na kolegów. — Ale ten mi w kółko powtarza, że bym się zastanowił, że idą nowe czasy, że człowiek bez wyższego wykształcenia może za kilka lub kilkanaście lat znaczyć tyle, co psie gówno. No, i tak mi wierci dziurę w brzuchu od miesiący. A ja mu chyba powoli przyznaję rację. Boję się, że coś jest w tym, co mówi...

— Ty, a kim jest w ogóle twój stary? — spytał nagle Mucha. — Bo jakoś... kurde... zapomniałem.

— Elektrykiem jest. W Stoczni Gdańskiej pracuje...

— Ło, panie... — koledzy zamruczeli z podziwem trochę zmieszonym z zaskoczeniem. — To musi mieć teraz ładnie przejebane. Teraz to chyba każdy ze stoczni ma słodko przesrane...

— Nie, nie każdy... — rzekł sucho i smutno Marek.

— Nie?

— Wiesz... Mojego starego tam mocno nie lubią — zaczął Gekon.

— Czemu? Tylko nam nie mów, że kierownikiem jest jakimś...

— Nie. Chodzi o to... Bo widzisz... Mój stary pracuje tam... długo. Od piętnastu lat. Do dziś nie awansował. Nadal jest zwykłym pracownikiem. Jak się jednak zaczynały te strajki sprzed czterech lat, to mój stary usadził sprawę krótko. Powiedział tym, co do niego przyszli, że on przyjeżdża codziennie na stocznię pracować, a nie udawać robotę. I, że związkowac się nie ma zamiaru. Pensję mu płać za pracę, a nie za politykowanie, a w ogóle to ci z „Solidarności” to są ochlapusy, lenie, kombinatorzy i złodzieje, którym się w dupach poprzewracało i najzwyczajniej w świecie robić się nie chce...

— O kurwa, grubo!

— No, było grubo... — ciągnął Marek. — Zaraz, jak to powiedział, to musiał uciekać z zakładu, bo go chcieli zlinczować. Matka musiała mu potem załatwić L-4 na kilka dni. To był chyba jedyny jej przypadek w życiu, kiedy robiła to nie z powodu jego chłania. Jak wrócił, to przez tydzień się do niego nie odzywali, ale dali mu spokój. Potem, dwa lata temu, sprawa wróciła. Bo jak zaczęły się protesty, to ponownie powiedział, że będzie pracował, bo za to bierze pieniądze. Nazywali go „chujem-łamistażkiem”, ubranie wyjściowe mu farbą pomalowali, a spodnie to nawet podarli chyba...

— No, ale teraz... — dokończył. — ...gdy wszyscy z „Solidarności” są w pierdłu lub pod bacznym okiem, nikt go nie szykanuje.

— No, ale co to ma wspólnego z całym tym twoim studiowaniem?

— Jezu, no nic. Po prostu mówiłem wam, że gadka mojego starego zaczyna powoli do mnie trafiać, a wyście mnie zapytali, co robi mój stary. I tyle... Pierdolcie się! Chuj wam do mojego życia...

Atmosfera nieco zgęstniała. Półośnik, na którego z kolei teraz przypadła kolej palenia, postanowił ją rozładować. Wyjął skręta z ust, wsadził go sobie między kciuk a palec wskazujący prawej ręki, obie ręce uniósł szeroko i wysoko w górę, w geście braku złych intencji, po czym złamał nieformalny krąg i wszedł do środka.

— Panowie, panowie... spokojnie.

Po czym, zwracając się już bezpośrednio do Marka:

— Załóżmy na chwilę, osłe, że masz rację. Wszyscy uznamy, że jednak nie posrało cię do końca. Ale, Jezu, człowieku... Gdańsk jest daleko. Jak ty zamierasz tam dojeżdżać codziennie na zajęcia? Bo niby jest daleko, a jednak za blisko, żebyś dostał akademik.

— Ja już sobie to nawet obadałem... — odparł Gekon.

— Tak?

— No, tak... „Modrakiem” będę jeździł.

Szybka Kolej Miejska, popularna SKM-ka, dotarła do Redy z początkiem 1958 roku, przeszło dwadzieścia lat wcześniej, w czasach młodości ojca Marka. Ze względu na błękitny kolor pociągów, które jeździły na trasach SKM, nazywano je "Modrakami".

— Miesiąc temu stara znów jechała do pracy po ojca... — zaczął znowu Marek. — Wiecie, ostatniego dnia roboczego czerwca. Akurat płacili pensję, a chciała się upewnić, że stary trafi z całym szmałem do domu, a nie do baru. To wtedy zabrałem się z nią, pooglądałem sobie wszystko, posprawdzałem rozkłady jazdy, popytałem trochę w kasach na obu końcach, no... tego... trochę się wywiedziałem.

— I co ci z tego „wywiedzenia się” wyszło? — zakpił Kijas.

— Za dwadzieścia siódma rano mam codziennie SKM-kę. Jedzie trochę ponad godzinę. Wsiadam w Gdańsku na Nowej Szkocji. Jestem tam za piętnaście ósma. Na uczelnię mam pięć minut. Z palcem w dupie zdążę więc nawet, jeśli wykład będzie zaczynał się o ósmej rano.

— Do Gdańska... w godzinę... — zaciekawił się Mucha.

— To i tak nie jest najszybsze połączenie — ciągnął Marek. — Ale jest bezpośrednie. Z przesiadkami da się szybciej. O siódmej jedzie przez Redę pospieszny ze Słupska do Bydgoszczy, który zatrzymuje się w Gdańsku Wrzeszczu. Ledwie jedną stację przed uczelnią. Pięć minut później mogę się przesiąść na SKM-kę, żeby podjechać jeden przystanek. Jak będę miał chłopcę, to mogę nawet z buta mogę ci-
snać. Bo z dworca we Wrzeszczu na Politechnikę są tylko dwa kilometry i dwadzieścia minut szybkim spacerem.

— Ty... — zaczął powoli Północnik. — Jak ty się we Wrzeszczu przesiadasz na SKM-kę, to nie mógłbyś nią od początku jechać?

— Nie... bo jedzie wolniej... — odrzekł Marek i roześmiał się.

— Jaja sobie ze mnie robisz.

— Nie, powaga! Ta SKM-ka wyjeżdża od nas o w pół do siódmej, piętnaście minut wcześniej. Zwykle pociągi PKP i SKM jeżdżą po tych samych torach. Ale te dalekobieżne mają pierwszeństwo nad lokalnymi. I zatrzymują się po drodze tylko na głównych stacjach. Pospieszny przed Wrzeszczem ma osiem stacji, a SKM-ka aż dwadzieścia trzy. Mówię wam, że wszystko sobie dokładnie obadałem, gdy ze starą czekaliśmy na ojca.

— Ma sens... — rzekł powoli Adam. — Mimo to... brzmi głupio.

— Co? Co brzmi głupio? — spytał Gekon, znany jako Marek.

— No, że z przesiadkami jedzie się szybciej niż bezpośrednio.

— Masz racje, Adamie, masz rację! Wypalmy za to.

Zarechotali. Skręt ruszył w swoją czwartą kolistą podróż.

Nikt nie zauważył młodego chudego i niezwykle wysokiego człowieka, który skulony i przycupnięty na gałęzi jednego z drzew, wysoko ponad nimi, bacznie się im przyglądał i przysłuchiwał. Nazywał się Sebastian Schwarzmüller i nie był z tego świata.

5

19 stycznia 1985 roku, 09:30

Srebrne orzełki na pagonach pułkownika Camberley'a lśniły się wściekle. W pierwszej chwili Gibbsowi przyszło na myśl, iż pewnie ten wymuskany amerykański dupek pucował je pastą do butów od samego rana.

— Majorze Gibbs... — zaczął tamten z wysokiego „c”. — Został pan oskarżony o to, że przez ostatnie półtora roku służby kopiował pan w co najmniej jednej kopii każdy tajny dokument, który znalazł się w pańskich rękach, czy to świadomie, czy przez przypadek. Zarówno wojskowy, jak i pochodzący z podległej nam jednostki CIA.

Brak reakcji. Żadnego gestu, ruchu głowy, czy grymasu twarzy.

— Czy przyznaje się pan major do zarzucanych mu czynów?

— Tak... — odparł spokojnie major Alexander Gibbs.

— Proszę zapisać w protokole... — rzekł w stronę stenotypisty. — Podejrzany przyznał się do winy.

Przesłuchujący go pułkownik Camberley ubrany był w doskonale ułożony i przepisowo przystrojony mundur pułkownika marynarki Stanów Zjednoczonych. Gibbs dla odmiany, jako że była sobota, pod puchową wojskową kurtkę ubrał jedynie jasno kremową koszulkę typu polo, mocno już zużyta i zmechacona, z logo jego ulubionego zespołu

kajakarskiego na prawej piersi. Gdy ją ubierał rano, to po raz setny, jeśli nie tysięczny z dumą przyglądał się temu pięknemu obrazkowi.

Dwa skrzyżowane pod ostrym kątem wiosła kajakarskie, układające się w niemalże idealną literę „X”. Punkt skrzyżowania zasłonięty przez wielką literę „O” na pierwszym planie, na której dolnej krawędzi wypisano datę założenia klubu — 1933 rok. To był ten sam rok, w którym białe skurwysyny zaczęły rzekomo leczyć jego dziadka przeciw kile. Na piórach obu wiosłach dwie cyfry „4”, dla podkreślenia, że klub kształci wyłącznie czwórki kajakarskie. Nad literą „O” dumna korona. W górnej części znaku dwa mityczne stwory — jedno-rożce z diabelskimi ogonami, długimi i zakręconymi w literę „S”. Oraz z dodatkowymi rogami, wyrastającymi im z grzbietów, znacznie większymi niż te na czole. Obie bestie ukazane w pozycji szarżującej, spinające się na tylnych nogach, z przednimi zadartymi, gotowymi do zadania ciosu zabójczymi kopytami. Całość wieńczył pierwszy człon nazwy zespołu — „Old Blue” — wypisany na samej górze logo krojem pisma przypominającym wielgachne neony amerykańskich kin z okresu przedwojennego. Dół znaku oplatała wstęga, z wypisanym na niej dużo mniejszymi literami drugim członem zespołu — „Warriors”. Całość w ciemnym marynarskim błękicie sztormowego morza. Klub kajakarski „Old Blue Warriors”. Starzy Błękitni Wojownicy. Nazwa tyleż głupawa, co bliska sercu Gibbsa.

— Jak wpadłem? — spytał równie lakonicznie, jak wcześniej.

— Poza protokołem powiem, że gówno to pana obchodzi — głos Camberley’a ochłodził i jednocześnie zhardział błyskawicznie.

— Grubo pogrywa — pomyślał Alexander Gibbs. — Zobaczymy...

— Do protokołu zmuszony jestem jednak udzielić odpowiedzi na pana pytanie — ciągnął tamten. — Pańskie zachowanie, majorze,

wydało się podejrzane dla jednego z żołnierzy. Z tego powodu pańskie mieszkanie został wzięte pod dyskretną obserwację. Gdy tylko podejrzenia potwierdziły się, dokonano przeszukania. Dokumenty znaleziono tam, gdzie ja pan schował.

Decyzję o wykonywaniu kopii lub chociaż notatek z każdego znalezionego dokumentu Gibbs podjął jeszcze na macierzystej ziemi. Z takim zamiarem starał się o ten przydział i taki cel przyświecał jego przyjazdowi tutaj. Dlatego też od pierwszych chwil zaczął poszukiwania właściwej kryjówki dla dokumentów, których — jak się spodziewał — było bardzo dużo. Nie potrzebował zbyt wiele czasu, by taką znaleźć.

Budynki mieszkalne dla oficerów US Navy budowane były za pieniądze i według planów marynarki, ale przez polskich robotników. Wiecznie brakowało więc betonu, cementów, w zasadzie zaś — wszystkiego. Zdażył już nauczyć się, że w krajach tak zwanego bloku wschodniego na porządku dziennym prawie wszystko wartościowe potrafiło magicznie zniknąć. Dzięki działaniu tej magii, już po pierwszych krokach po przydzielonym mu mieszkaniu, Gibbs zauważył delikatną mgiełkę białego pyłu, który unosił się z większości płytek podłogowych, pod ciężkimi krokami jego grubego ciała. Po podważeniu kilku z nich okazało się, że znajdują się pod nimi liczne pustki i rzadziny. W sumie naliczył ich w całym mieszkaniu tyle, że czasem żartował w myślach, iż z pewnością pomieściłyby one połowę zasobów, jakie oferowała Biblioteka Kongresu Stanów Zjednoczonych.

Mieszkanie majora Alexandra Gibbsa znajdowało się na trzecim i ostatnim zarazem piętrze budynku mieszkalnego. Nie groziła więc mu dekonspiracja w efekcie dojrzenia czegokolwiek przez kogokolwiek z ulicy. Nigdy jednak nie wziął pod uwagę tego, że jego zachowanie

wanie poza mieszkaniem okaże się podejrzane i w związku z tym wsadzą mu gościa z lunetą snajperską na któreś z sąsiadujących drzew. Ten zaś wypatrzył, że major bardzo często podnosi laminowane płytki podłogowe i... dalsza część historii była już oczywista.

— Powinienem zapytać teraz, czy ma pan coś na swoją obronę — Camberley wyrwał go z rozmyślań. — Ale, ponownie poza protokołem, powiem, że mam to głęboko w dupie.

— Tak... Myślę, że oficjalną część przesłuchania mamy za sobą. — rzekł natychmiast do stenotypisty. — Dziękuję panu...

Tamten kiwnął tylko głową i bezszelestnie wyszedł. Gibbs zwrócił uwagę na fakt, że notatki oraz dyktafon pozostały na miejscu. Stenotypista nie zabrał ich ze sobą mimo, że chyba powinien.

Taki obrót sprawy nieco zaskoczył majora, który sądził, że jest przygotowany na wszystko. To nie tak powinno było wyglądać. Przesłuchanie w Marynarce Stanów Zjednoczonych, wobec oskarżeń tego kalibru, powinno być bezwzględnie prowadzone przy świadkach. Powinno być również rejestrowane na dyktafonie oraz zapisywane przez stenotypistę na piśmie. Coś było lub zaczynało być w całej tej sprawie mocno nie tak. Czyżby znaczenie miał tu fakt, że w całość zaangażowana była CIA? Zaś cała ta sprawa miała miejsce na terenie jednostki, która oficjalnie nie istniała?

Gibbs i Camberley zostali w pokoju sami.

— Tak... Zastanawiam się, co teraz mamy z panem zrobić?

Major milczał.

— Za zdradę, połączoną z naruszeniem tajemnicy państwowej tego kalibru, bezwzględnie należy się śmierć. Nie możemy jednak postawić pana przed plutonem egzekucyjnym... — ciągnął beznamiętnie pułkownik. — ...ani wysłać z powrotem do kraju, żeby tam palnę-

li panu w łeb. Za duże ryzyko, że jednostka zostanie zdekonspirowana. Zwłaszcza, gdyby wmieszała się w to pańska rodzina lub prasa...

Gibbs rozszerzył źrenice oczu w efekcie zaskoczenia.

Wiedział, z jakim ryzykiem wiąże się podjęta przez niego decyzja. Zdawał sobie sprawę, że jego działania mają nie tylko znamiona, ale wprost są zdradą stanu. Za co grozić może nawet kara śmierci. Zakładał jednak, że nawet jeśli do nakrycia go kiedykolwiek dojdzie, to wszystko odbędzie się według standardów amerykańskiego prawa. Tych, w które każdy praworządny amerykański podatnik tak święcie wierzył. Ze wszystkimi prawnymi bublami, biurokratycznym cyrkiem oraz trwającymi latami uchyleńiami, rewokacjami, apelacjami i umorzeniami. Niestety, dopiero teraz uświadomił sobie, że skoro w całość zamieszana jest CIA, wszystko może odbyć się szybko i cicho.

Pułkownik Camberley chyba czytał w jego myślach...

— Nie możemy też pogonić pana poza mury jednostki i zastrzelić przy rzekomej próbie ucieczki. Za dużo świadków-wieśniaków.

Opuszczanie wewnętrznego kręgu bazy, tego w którym zlokalizowano tajne laboratorium CIA, było ściśle zakazane. Tak samo, jak wchodzenie do niego przez osoby postronne. Wymagało to uruchomienia w każdym przypadku gigantycznej maszyny biurokratycznej, toteż decydowano się na to w naprawdę nielicznych przypadkach. Inne zasady dotyczyły zewnętrznego kręgu, który stanowił mieszaninę zwykłej bazy wojskowej i typowego amerykańskiego miasteczka towarzyszącego zwykle takiej bazie. Ten krąg można było opuszczać dość swobodnie. Z równą łatwością odwiedzali je okoliczni mieszkańcy. Wystarczyło jedynie posiadanie odpowiedniej przepustki, której wyrobienie nie stanowiło większego problemu. Tamta część nie mia-

ła jednak klauzuli „supertajności”. Tutaj byli de facto więźniami, ze względu na charakter zbudowanych tu instalacji oraz przeprowadzanych w wewnętrznym kręgu eksperymentów.

— Hm... — Camberley ponownie wyrwał go z rozmyślań. — Zastanawiam się... Ale chyba mógłbym po prostu zarżnąć pana nożem, jak zwykłą świnię... Która pan przecież jest... W jakimś ciemnym zaułku późnym wieczorem. Potem zaś zeznać, że było to w samoobronie. Bo schlał się pan, jak wieprz, lub naćpał narkotykami, których używa tu podobno co trzeci żołnierz.

Gibbs z przerażeniem jeszcze otworzył oczy. Camberley poczuł w myślach ogromną satysfakcję z efektu jaki wywołał. Nie miał bowiem pojęcia, że wszystko to było z góry zaplanowaną grą aktorską.

— Bo muszę się do czegoś panu przyznać, skoro zostaliśmy sami... — ciągnął bez chwili zastanowienia tamten. — Nienawidzę takich jak pan. Nienawidzę tych, którzy łamią przysięgę posłuszeństwa. Gardzę tymi, którzy popełniają mniejsze, czy większe grzeszki w imię jakichś swoich chorych ambicji. Nade wszystko zaś, i z całego serca, nienawidzę czarnuchów... Po prostu... brzydzę się wami!

I wtedy w duszy majora Alexandra Gibbsa coś pękło.

— O co, tu, do kurwy, chodzi? — zapytał sam siebie w myślach. — Czy temu białemu szczyłowi coś się we łbie nie poprzestawiało?

Kto tu kogo miał nienawidzić? I za co? Kto tu do kogo przychodził w białych rękawiczkach, obiecując lekarstwo przeciwko kile? Potem zaś zostawiając na pastę losu patrzył, jak czarny się wykańcza. Powoli i w wielkim cierpieniu umiera.

Aroganckie słowa i butne, napastliwe wręcz zachowanie się pułkownika skutecznie podgrzewały emocje gotujące się wewnątrz Gibbsa, choć na zewnątrz zdołał do tej pory zachować twarz pokerzy-

sty. Słowa, które przed chwilą padły, stały się jednak przysłowiową kroplą goryczy. Równie przysłowiową iskra, podpalająca lont. Gromadzona od samego początku furia nagle eksplodowała.

Jednak w żadnym wypadku nie odbyło się to tak, jak w niezliczonej ilości amerykańskich filmów. Bo to nie był film, tylko pieprzona rzeczywistość. Major Gibbs nie rzucił się z wrzaskiem na pułkownika i nie zmiażdżył mu gardła w błyskawicznym stalowym uścisku wielkich jak młyńskie czerpaki dłoni. Nie wyjął też noża, czy broni, których jakimś cudem nie pozbawiono go przy przeszukaniu. Nie zadzgał więc ani nie zastrzelił tego obrzydliwego w jego mniemaniu wieprza, na kilometr cuchnącego supremacją białych.

Nie... Zamiast tego, major po raz setny w życiu przypomniał sobie stare japońskie powiedzenie, mówiące o tym, by trzy razy nabrać wodę w usta, zanim się człowiek odezwie. Toteż głęboko i bardzo powoli odetchnął. Potem spojrzął na pułkownika Camberley'a zupełnie pozbawionym emocji wzrokiem, a wypranym z uczuć głosem rzekł:

— Ułatwię panu sprawę, panie pułkowniku.

— O... — wyraz zaskoczenia na twarzy tamtego — Tak?

— Nie wziął pan pod uwagę jednej drobnej rzeczy...

— A jakiej to niby?

— Nie wie pan, że nie mam żadnej rodziny. Absolutnie. Moi rodzice nie żyją, nie mam rodzeństwa, nigdy też się nie ożeniłem.

— A co to niby ma...

— Ma to bardzo wiele do rzeczy, ale pański mały rasistowski mózdzek jeszcze tego nie pojmuje — Gibbs momentalnie pożałował tych słów; każdy atak frontalny na chwilę czyni cię bezbronnym.

— Powiem więc panu, co będzie dalej... — dodał szybko, by tamten nie zdążył zorientować się, że został wrednie obrażony.

Udało się. Pułkownik nie usłyszał lub nie zrozumiał obelgi.

— Cały zamieniam się w słuch... — odparł kpiarsko Camberley.

— Otóż... nie zabije mnie pan, ani nikt inny. W żaden sposób.

Nikt też nie zrobi mi żadnej innej krzywdy. Co więcej, za pięć minut obaj wyjdziemy z tego pomieszczenia, każdy w swoją stronę tak, jakby sprawa ta nigdy nie miała miejsca.

— Sic! — biały człowiek sarknął, lecz już nieco nerwowo. Z jakiegoś powodu zaczął tracić powoli pewność siebie. — Niby czemu mielibyśmy to zrobić?

— Ano dlatego, że w swoim zaślepieniu lub po prostu z powodu swojej ograniczoności nie wziął pan pod uwagę faktu, że kopii może być więcej, zaś część z nich znajdować się poza bazą...

Camberley zbladł.

— Tak, ty biały rasistowski kutasie... — rzekł Gibbs przeciągle, tym razem nie licząc się już ze słowami. — I tu cię mam! Och... Wydaje mi się, czy nawet z tej odległości wyczuwam lekki odór kału, który już zaczyna spływać ci po białych nóżkach? Tak... Nie masz pojęcia, czy blefuję, czy nie. I co więcej... nie masz żadnego sposobu, by to sprawdzić.

John Camberley, pułkownik marynarki Stanów Zjednoczonych, bladł coraz bardziej, choć usilnie starał się trzymać fason.

— Jesteś niewyobrażalnym wprost ignorantem, Camberley — ciągnął spokojnie i metodycznie Alexander. — Ty i tobie podobni. Wydawało się wam, że trafiliście do zacofanego komunistycznego kraju. Na zapyziałe zadupie cywilizacji. Gdzie nie ma prawników ani innych osób godnych zaufania, którym można by powierzyć taką tajemnicę. Bo przecież poza bazą nikt nie mówi po angielsku, prawda? W swojej ignorancji i zaślepieniu, nie wziąłeś pod uwagę siły

pieniądza. Mocy, jaką daje w tym biednym kraju plik dolarów. Ja zaś, jako wspomniana osoba nieposiadająca rodziny, niemająca przez to nikogo, komu można by przesyłać owe pieniądze, żyjąca przy tym dość skromnie, zdołałem przez ten czas odłożyć tych dolarów dość sporo.

Gibbs zamilkł na chwilę, chcąc sprawdzić efekt swych słów.

— Wreszcie... — ciągnął dalej. — Nie wiedziałeś lub wiedziałeś, ale nie chciałeś przyznać, że każde naczynie ma dziury. Zaś każda amerykańska baza — kanały komunikacji i przerzutu. Nawet ta supertajna. Skąd niby twoim zdaniem biorą się narkotyki tu, w wewnętrznym kręgu? Przychodzą w listach od rodziców? Durniu! Jesteś zbyt ograniczony, by dodać dwa do dwóch i objać swoim ograniczonym rozumkiem, że musiały znaleźć się jakieś sposoby, by towar trafiał do wewnętrznej bazy z zewnętrznej. A co za tym idzie — że z pewnością istnieją też jakieś metody, by coś wyszło stąd tam albo w ogóle do zewnętrznego świata. Na przykład gruba koperta z dokumentami. Albo kilka takich kopert. Wystarczyło tylko, by obok dokumentów znajdowała się odpowiednia ilość dolarów...

— Ale... ale...

— Milcz, biały gnoju! Słuchaj i nie waż mi się przerywać!

Japońskie powiedzenie, jak również to o twarzy pokerzysty, załatwiało sprawę na zewnątrz, ale pomijało wnętrze. W środku zaś Gibbs wrzał. Był na krawędzi rozpadnięcia się. Wiedział, jaką kartą gra, jak bardzo ryzykuje upadek i że konsekwencje owego wypadku mogą być śmiertelne. Nie było więc drogi odwrotu. Musiał brnąć dalej. Pamiętając o kolejnym porzekadle. Które mówi, że głośno rżący, galopujący i szarżujący koń bywa często bywa bardziej niebezpieczny i robi większe wrażenie niż nawet duże stado rumaków, idące stępa lub choćby kłusem.

— Tak więc... zarówno kopie dokumentów, jak i dołączone do nich instrukcje na wypadek... mojego wypadku są już poza twymi spocnymi łapskami. Jeśli choćby włos spadnie mi z głowy, to instrukcje te zostaną wypełnione. Co do joty, mogę cię o tym zapewnić. Gwarantuje mi to ilość dolarów, które zostały do nich dołączone. Bo wiem dla przeciętnego mieszkańca komunistycznej Polski żołąd amerykańskiego majora, odkładany przez półtora roku, to gigantyczna fortuna. Zaś połowa tej kwoty, bo z czegoś musiałem przecież żyć, to nadal duża fortuna. Było więc z czego wybierać i rozporządzać przy tworzeniu owych kopii. I tych instrukcji...

— Nie wierzę... — szepnął Camberley przez zaciśnięte gardło.
— Blefujesz, by ratować własny tyłek.

— Wiesz... może i masz rację. Może faktycznie tak jest, jak mówisz. — odrzekł natychmiast Gibbs. — Pytanie jednak nie brzmi, czy blefuję. Pytanie brzmi, czy podejmiesz ryzyko przekonania się, czy masz rację? Lub konsekwencje tego, co będzie, jeśli się mylisz?

Rozkoszował się tą krótką chwilą tryumfu, uśmiechając się przy brzydki do pułkownika. Jednocześnie wiedział, że stapa po cienkim lodzie i gra ta nie może potrwać zbyt długo.

— Mam cię w garści, ty rasistowska świni! Ty gnido, ty...

— Co... co dalej? — wycharczał tamten.

— Och, to proste. Posłuchaj...

Zmienił pozycję na krześle. Nogi, leżącą przedtem równolegle względem siebie i z zachowaniem regulaminowych wojskowych kątów, rozłożył teraz luźno. Jedną założył na drugą. Sylwetka Gibbsa również uległa zauważalnemu rozluźnieniu. Równie idealny kąt prosty, w dolnej części kręgosłupa, zamienił się teraz na pozę nieco nonszalancką, z wypchnięciem ud lekko do przodu i utworzeniem pustej

przestrzeni w siedzisku fotela. By jeszcze bardziej podkreślić swoją rzekoma swobodę, powolnym ruchem wyciągnął z kieszeni na lewej piersi paczkę papierosów oraz zapalniczkę. Wsunął białą tutkę do ust i machinalnym ruchem przypalił ją przy pomocy wielkiej metalowej zapalniczki marki Zippo. Camberley skrzywił się na złowieszczy, ale zarazem charakterystyczny metaliczny dźwięk jej otwarcia. Gibbs zaciągnął się powoli dymem, po czym leniwym ruchem opuścił prawą rękę z papierosem na oparcie fotela. Nie zawracał sobie głowy popielniczką. Strzepywał popiół bezpośrednio na podłogę.

— Nie możesz oczywiście pozwolić na to, bym kontynuował swoją działalność szpiegowską i nadal zdradzał matkę-ojczyznę.

— Oczywiście... — próbował potwierdzić pułkownik.

— Zamknij się i słuchaj! — przerwał mu Gibbs. — Ja mówię...

— Musisz więc odciąć mnie od wewnętrznej strefy i przerzucić do strefy zewnętrznej. Pod byle pretekstem. Wiesz... ta wizja mi się nawet całkiem podoba. Nigdy nie kochałem armii. Zaciągnąłem się do wojska ze względów, których nie jesteś w stanie zrozumieć. Myślę, że odpowiadałaby mi jakaś niezobowiązująca rola w wojskowej stołówce. Albo kantynie, na przykład...

Przerwał, by sprawdzić reakcję.

— To musi... to musi być jakoś uzasadnione — powiedział tamten, zachęcony ciszą, mimo zakazu odzywania się. — Na papierze...

— Wiem. I cieszę się, że nawet ty to pojmujesz — ciągnął powoli major Alexander Gibbs. — Aby odbyło się to w białych rękawiczkach i żebyś nie musiał tłumaczyć się przed swoimi przełożonymi, czemu major marynarki wojennej myje gary w garkuchni.

— Degradacja? — spytał Camberley cichym głosem.

— Tak.

— Z jakiego powodu?

— Boże drogi, wymyślisz coś, prawda? Twój biały mózg potrafi chyba tyle, skoro udało ci się dochrapać aż do pułkownika.

Odpowiedziało mu milczenie, więc po chwili podjął.

— No, nie wiem... Napiszesz w raporcie, że po wielu miesiącach starań udało mi się uzyskać wreszcie półdniową przepustkę pozwalającą na opuszczenie wewnętrznej strefy. Po wyjściu okazało się, że jedynym powodem, dla którego o nią się starałem, była chęć nawalenia się w trzy dupy. Ponieważ zaś przy okazji dopadłem i wyruchałem jakąś bogu ducha winną polską wieśniaczkę i... nie wiem... pobiłem paru chłopów, podpaliłem stodołę albo remizę i tak dalej... Splamiłem tym honor armii amerykańskiej, więc degradacja okazała się być konieczna i nieodzowna.

— Szyte grubymi nićmi... — próbował oponować pułkownik.

— No to masz kurwa problem, białasie! — odparł Gibbs.

Dopalił papierosa, zaciągając się na koniec głębokim haustem, zdusił niedopałek o poręcz fotela i rzucił go w kupe strzepywanego wcześniej popiołu. Poderwał się z fotela, jakby sprawa była zakończona i jakby chciał wyjść. Zatrzymał się jednak w pół ruchu.

— Acha! — rzekł twardo. — Jeszcze jedno. Najważniejsze...

— Tak? — spytał Camberley niepewnym głosem.

— Ta rozmowa nigdy nie miała miejsca. Twój przydupas zostawił notatki, a dyktafon pewnie wyłączył. Na wypadek, gdyby jednak zapomniał go wyłączyć, zaopiekuję się tym — rzekł, podnosząc małe urządzenie elektroniczne z podłogi. — Zostajemy więc tylko my, jako jedyni świadkowie. Temu snajperowi o sokolim oku powiesz, że pod podłogą trzymałem pisaną przez siebie powieść. Okazało się, że był to łożawy romans, który nie za bardzo licuje z powagą stopnia ma-

jora marynarki Stanów Zjednoczonych. Toteż, ze wstydu, chowałem tekst pod podłogą. Sam o naszej rozmowie nie piśniesz ani słówka. Aż do śmierci. Ja z resztą też. No, bo przecież tej rozmowy nigdy nie było, prawda?

— A stenotypista? Mój adiutant... — zaczął powoli pułkownik.

— Co, stenotypista? — spytał Gibbs zdenerwowanym głosem.

— No... Notatki i sprzęt zostawił. Ale wszystko słyszał...

Major Gibbs zmierzył go podirytowanym lodowatym głosem. Potem nie wytrzymał i wybuchnął.

— Weź mnie, proszę, nie wkurwiał! I nie próbuj robić ze mnie idioty. Ten gościu je, pije, chodzi, biega, śpiewa i sra wtedy, gdy mu każesz. Załatwisz więc to dokładnie w ten sam sposób, jak zatuszowaliście te waszą niedawną wycieczkę dżipem poza krąg wewnętrzny.

Pułkownik Camberley ponownie zbladł.

— Wiesz, o czym mówię, nie? — ciągnął beznamiętnie Gibbs. — Tę, którą zrobiliście sobie na bani, bez formalnej zgody na opuszczenie strefy. Tę, przy okazji której przejechaliście po pijanemu polskiego chłopca i zupełnie rozbiliście auto w przydrożnym rowie.

Wgląd przez półtora roku do prawie wszystkich dokumentów strefy wewnętrznej był niezwykle cennym źródłem informacji. Nawet, jeśli owe dokumenty nie dotyczyły projektu nuklearnego.

— W ten sposób osiągniemy takie sobie... no, wiesz... Takie status quo, rozumiesz? Prawnicy i psychologowie rozumieją to prawie tak samo. Stały, niezmienny stan rzeczy. Ty kryjesz mnie i nic mi nie możesz zrobić. Ja kryję ciebie i niczego nie mogę zdradzić, żeby samemu nie beknać. Czy to nie piękne?

Część II

„26 kwietnia 1986 roku, o godzinie 1:23 w nocy nic się nie wydarzyło. W tym świecie katastrofa w Czarnobylu nigdy nie miała miejsca. Nie o pierwszej w nocy i nie w Czarnobylu...”

Sebastian Schwarzmüller, baagle.com

1

26 kwietnia 1986 roku, 07:00

W pierwszym przebłysku świadomości, tuż po przebudzeniu się, Marek miał wrażenie, że trzyma między udami małą główkę kapusty. Chwilę później zorientował się, że to nie między udami, tylko nieco wyżej. Oraz, że to nie kapusta, tylko jego własny pecherz, rozciągnięty do granic wytrzymałości. Po dobrym wieczornym paleniu często zdarzało mu się przespać po dwanaście i więcej godzin w jednym ciągu. Co oznaczało ponocny dość duży problem z sikaniem.

Do toalety pobiegł galopem.

Skończył trwającą chyba w nieskończoność operację, wydając na koniec głęboki niemalże basowy oddech ulgi. natychmiast pochy-

lił się z twarzą w stronę muszli, a po sekundzie nawet przykucnął przy niej. W absolutnej ciszy wsłuchiwał się w dźwięk pękających pęcherzyków piany oraz wdychał kwaśny zapach uryny.

— Wszyscy jesteście pojebani... — rzekł sam do siebie, zamknięty w czterech ścianach niewielkiej toalety. — Jedynie większość z nas nie zdaje sobie z tego faktu sprawy.

Lebensphilosophie Marka zakładało, że ludzie dzielą się na trzy grupy. Do najliczniejszej należeli ci, którzy nie wiedzieli lub nie chcieli wiedzieć, że mają odchyły. Bo przecież ma je każdy. Mówili o tym w „Sondzie”, bodajże jedynym programie popularnonaukowym, kierowanym do dzieciaków w mniej więcej jego wieku, jaki nadawała komunistyczna telewizja.

Neurologowie i biolodzy dawno temu przyznali, że nie istnieje coś takiego, jak zdrowy mózg ludzki. Mikrouszkodzenia — które stanowią o naszej oryginalności, odmienności i w ogóle o jestestwie — posiada każdy z nas. Każdy. I już. Każdy z prawie pięciu miliardów mieszkańców, którzy deptali tę zapchlona planetę pod koniec dwudziestego wieku, miał więc mniejszego lub większego fioła.

Do drugiej grupy ludzi, znacznie mniejszej według Marka, należeli ci, którzy wiedzieli, że czasem skrzypi im korba, ale za żadne skarby nie zamierzali przyznać tego przed kimkolwiek.

Marek należał do trzeciej grupy. Najbardziej elitarnej i najmniejszej zarazem, według jego filozofii życia. Skupiała ona ludzi, którzy gotowi byli w każdej chwili i przed każdym przyznać, bez wahań i wątpliwości, że czasem mocno bije im na dekiel. Wąchanie zapachu własnych sików, czy przysłuchiwanie się symfonii pękających pęcherzyków — w trakcie której kolejne miliony jego niedo-

szyłych synów i córek ginęło bezpowrotnie — było jednym takich dekl Marka. Nigdy się z nimi nie krył, przed nikim.

— Wąchasz własne szczyny? — spytał go kiedyś Kijas, z kpina.

— Coś w tym złego? Szkodzę komuś? Wszyscy mamy pierdolca...

— Gościu... Albo palisz naprawdę świetny towar albo jesteś bardziej pojebany niż paczka gwoździ bez łebków — odparł tamten.

Był to ulubiony tekst Kijasa. Wkurzał nim Marka do granic.

Marek wrócił do nadkiblowej rzeczywistości, wyprostował się, spuścił wodę i wyszedł, wycierając wcześniej należycie instrument.

— Marek! — matka złapała go zaraz przy drzwiach WC.

— Noooo...

— Masz jakieś dziś plany na przedpołudnie?

— Może mam — odrzekł matce, z lekko kpiarskim uśmiechem.

— Nie jedziesz przypadkiem na zakupy? Może do bazy?

— Może jadę? — Marek uśmiechnął się nieco szerzej.

— O! To się świetnie składa! — ucieszyła się matka.

Udawiała zaskoczona, choć doskonale wiedziała, że jeśli tylko nie wydarzy się coś nietypowego, to w każde sobotnie przedpołudnie jej syn jeździ do amerykańskiej bazy wojskowej. Tej zbudowanej przy polskiej elektrowni jądrowej. Stanowiło to dla niego tak upragnioną odskocznię od marazmu życia i realiów komunistycznego świata. Oraz od nałogu ojca. Nie było tam tego dużo. Kino w bazie puszczało czasem filmy, których nie dało się obejrzeć w polskich kinach. Zaś sklep sierżanta Gibbsa pozwalał czasami nabyć produkty niedostępne nigdzie indziej, nawet na kartki. Na przykład dzinsy. Generalnie czuło się ten delikatny szum i zapach innego świata.

— Może mógłbyś zrobić małe zakupy u sierżanta?

— Może nie mógłbym? — odpyskował, gdy przeszli do kuchni.

— Może masz ochotę jeść dziś obiad gdzie indziej?

Szach-mat. Matka zawsze wiedziała, czym może go pobić. Zawsze miała asa w rękawie. Żeby jednak nie dać od razu po sobie poznać, że go pokonała, odwrócił wzrok udając, że bacznie ogląda ich kuchnię.

Marek po raz tysięczny w życiu ze smutkiem stwierdził, że pomieszczenie i jego umeblowanie było wściekle klasyczne. Jak chyba w co drugiej, jeśli nie każdej komunistycznej kuchni tego zasranego kraju. Na podłodze wielkie kamienne kafle, w trzech lub czterech odcieniach brązu, poprzedzielane szerokimi ścieżkami grubej fugi, kiedyś jasnokremowej, teraz mocno już przybrudzonej. Drewniany stół wyposażony w cztery nogi, finezyjnie wyrzeźbione na tokarce, przez ojca w stoczni. Na nim jakaś stara i brzydka lampka, pewnie po babce. Piekarnik, w jedynym dostępnym w kraju modelu, nieszczelny przy drzwiczkach. Przez co ulubione przez Marka babki piaskowe, jak i prawie wszystkie inne ciasta i wypieki matki, dużo częściej wychodziły z niego pełne tłustego gluta zakalca. Obok piekarnika lodówka, również produkowana przez jedną w Polsce fabrykę, toteż tak sama, jak we wszystkich zafajdanych polskich mieszkaniach. Do tego kilka metrów drewnianych mebli, oczywiście według jednego, centralnie i odgórnie planowanego wzoru, z wiecznie brudnym blatem i krzywymi szafkami wiszącymi nad nim. Zawiasy skrzypiały wściekle, a niektóre drzwiczki nie domykały się, podobnie jak piekarnik. Półki wewnątrz wygięły się od starości. Słowem... żadnych cudów. Przeciętność, bylejakość i przewidywalność, aż piszczy.

— Dobrze, dobrze — rzekł. — Zrobię zakupy. Czego potrzeba?

— Tylko to, co nakazał spożywać nasz pan, Jezus Chrystus — matka Marka roześmiała się nieco za głośno i nieco zbyt kpiarsko.

— Rozumiem. Chleb, ryby, wino i oliwę.

— Tak, dokładnie.

Z tych czterech produktów, w połowie lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku, tylko dwa pierwsze dostępne były bez ograniczeń. Choć niektórzy uważali, że nie można było nazwać chlebem tego, co sprzedawano w polskich piekarniach. Skoro po kilku dniach lepiej nadawał się on do ciężkiego pobicia niż do zaspokojenia głodu. Czasem można było znaleźć w środku nawet obcięte paznokcie. Albo niedopałki papierosów.

Ryby były dostępne bez kartek, ale trzeba było mieć „chody”, by wiedzieć, gdzie i kiedy pojawi się „rzut” i zawczasu ustawić się do kolejki. Szczególnie, jeśli miało się ochotę na nieco inny gatunek niż lansowane przez władze komunistyczne dorsze, śledzie oraz flądry. Wśród Polaków krążyło nawet powiedzenie: „Jedźcie dorsze, gównno gorsze”. Komuniści trzebili Bałtyk w szalonym tempie, żywiąc chorą nadzieję, że zalewając rynek tonami ryb, zaślepią Polaków na permanentne braki mięsa.

Oliwa i wino, jako towary luksusowe, kapitalistyczny produkt zgniłego zachodu, dostępne były tylko w bardzo ograniczonych ilościach, niezwykle rzadko i na kartki. Trzeba więc było nie tylko być we właściwym miejscu i czasie, ale również mieć przy sobie kartonowe kwadraciki w należytej ilości i rodzaju. Albo mieć „chody”.

W małym sklepie obecnego sierżanta, a byłego majora Gibbsa można było dostać to wszystko od ręki. Bez kartoników i zbytecznych ceregieli, a nawet bez konieczności posiadania dolarów. Oczywiście wyłącznie w niewielkich ilościach i dla samych znajomych, więc wszystkim sprytnym polskim spekulantom i cinkciarzom dziękujemy. Zaś, by należeć do wąskiego grona znajomych i przyjaciół sierżanta Gibbsa, wystarczyło być z nim w dobrych stosunkach. Pomóc w skle-

pie, zamieść przed wejściem, załatwić jakąś drobną sprawę, której on akurat nie mógł załatwić samodzielnie. Trochę trawki przemyć do bazy lub z niej, jakieś koperty wynieść poza bazę i tak dalej.

Marek zdecydowanie był w kręgu znajomych majora Gibbsa.

— Masz tu jeszcze na Marlboro — rzekła matka.

— Mamo! — rzekł z udawanym oburzeniem. — Przecież nie palę!

— Tak, Maruś, oczywiście — rzekła matka z przekąsem. — A papież Jan Paweł I naprawdę umarł zawał serca. I mafia włoska nic nie miała z tym wspólnego... Bo przecież nie piore twoich koszulek.

Szach-mat po raz drugi tego ranka. Kosmiczna moc matek...

Dostanie Marlboro w sklepie sierżanta Gibbsa było równie łatwe, jak w każdym polskim sklepie tamtych czasów niemożliwe. Polskim, bo większość Polaków „Peweksy” uważała za sklepy zagraniczne. Co z tego, że mówili w nich po polsku, a często pracowali tam ich znajomi lub członkowie rodzin. Skoro bez dolarów można sobie było co najwyżej pooglądać kolorowe opakowania i kurz z ład pościerać.

Ale Marek naprawdę nie palił. Nie papierosy. Kasa się jednak przyda. Północnik mówił coś o jakimś świetnym towarze, który udało mu się niedawno skołować. Nie wiadomo, skąd — nigdy nie zdradzał swoich źródeł. Naprawdę świetnym, choć podle drogi.

— Na którą to potrzebujesz?

— Dziś urodziny ojca. Goście będą. Dasz radę na popołudnie?

— Jasne! — zachnął się. — Myślałem, że chcesz na już.

— Bez przesady. Ale, wiesz... to tylko składniki. Muszę to jeszcze wszystko przygotować. Im prędzej, tym lepiej. Im później zacznę, tym większa szansa, że czegoś nie zdążę. I ojciec znowu będzie... marudził mi nad uchem.

Ostatnie wyrazy wypowiedziała lekko zduszonym głosem, mimo woli smutniejąc wyraźnie przy tym. Obaj wiedzieli, jak to „marudzenie” wyglądało w rzeczywistości. Jeśli ojciec był trzeźwy, to kończyło się zwykle na przekleństwach i nieprzyjemnych epitetach. Jeśli zaś wypił to... matka czasem i w zimie nosiła ciemne okulary.

— Wiem, wiem. Ale nie chciałem jechać dziś Modrakiem.

Już chyba od roku albo od dwóch z Wejherowa, przez Redę, do Żarnowca prowadziła zelektryfikowana linia kolejowa SKM. Wybudowana specjalnie na potrzeby elektrowni jądrowej, budujących ją oraz jej przyszłego personelu. Każdego dnia dojeżdżały tam trzy pociągi, po jednym z Gdańska, Gdyni i Wejherowa. Trasa zaś miała dwadzieścia trzy kilometry, a podróż trwała pół godziny. Nie był to jedyny sposób dotarcia, bo równie dużo autobusów kursowało między miasteczkami i wsiami Pomorza Gdańskiego a Żarnowcem. Biorąc pod uwagę, jak mało ludzi mieszkało na tym terenie i jak malutkie wioseczki i miasteczka przecinały jego rzeźbę, było to dość niespotykane. W innych częściach kraju, tak. Tutaj, nie. Elektrownia jądrowa była oczkiem w głowie dysydentów Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Podobno sam generał J. wizytował ją regularnie i sprawdzał każdy element jej działalności, zaś kilka lat temu — każdy aspekt jej błyskawicznej budowy.

— Nie? A czym?

— Rowerem — rzekł krótko, próbując ukryć prawdę.

— Rowerem? Przecież to prawie dwa razy dłużej.

— No... wiem... — rzekł powoli. — Ale sobota, więc nigdzie się nie spieszę... Prawie już maj, całkiem ciepło na dworze... A tam gdzie się polami, więc jest całkiem pięknie...

— Marek! Od kiedy przyroda robi na tobie jakiegokolwiek... — próbowała mu przerwać, ale sprawiał wrażenie, jakby w ogóle jej nie słuchał.

— Nawet, wyobraź sobie, tak kombinowałem, żeby wyruszyć szerokim kołem na wschód i przejechać przez Moście Błota. O tej porze roku tam jest naprawdę ładnie...

Zbladła i podniosła głos.

— Nawet mi się nie waź! Nie widziałeś, jak wysoki stano wody jest teraz na Redzie? Ponad piętnaście metrów szerokości w najszerszym miejscu w mieście! Co ty... wczoraj się urodziłeś? Wiesz dobrze, że zwłaszcza późną zimą i wczesną wiosną rzeka często wylewa...

— Ależ, mamoo...

— Co, „ależ mamoo”? Nie pozwalam! Rower tak, masz rację, ciepło jest. Ale nie tamtędy! Prosta, najkrótsza droga. I przestać mi tu... pitolić o przyrodzie i wrażeniu, jakie ona na tobie wywołuje. Nie do mnie z takim kitem, Marek! Mów mi tu zaraz, co kombinujesz!

No, i masz.

— No, chciałem się po drodze spotkać z Kijasem... I...

— I z Muchą. I z Północnikiem. Nieprawdaż?

— No... tak — przyznał i zwiesił głowę, udając zakłopotanie.

— Marek, Marek! Mówiłam ci, że źle z nimi wyjdiesz.

— Mamoo! — zaprotestował. — To są naprawdę fajowi goście.

— Co nie zmienia faktu, że trochę od nich jedzie kryminałem.

Fakt, próbowali kiedyś razem z Kijasem rozpalić ognisko blisko stogu świeżo skoszonej trawy. Nie wzięli poprawki na wiatr ani na to, że przy panujących wtedy upałach trawa, wyschnięta na wiór, błyskawicznie zajmie się ogniem. Ognisko... trochę wyrwało im się spod ich kontroli. A oni zwyczajnie uciekli. Podobno hajcowało się

tak, że aż kilka OSP było zaangażowanych w akcję. Ale nikt ich przecież nie złapał za rękę! Co więc matka z tym kryminałem wyjeżdża...

— Oj, mamó!

— Oj, mamó, oj, mamó! — przedrzeźniła go i poczochnęła mu głowę, mimo wszystko przyjaznym gestem. — Jedź już. Spróbuj chociaż zdążyć na urodziny ojca. I spróbuj nie wpaść w jakie kłopoty.

To był ostatni raz, gdy rozmawiała z własnym synem. To był ostatni raz, gdy widziała go żywego. Marek też nigdy już więcej nie miał zobaczyć matki. Ani tego mieszkania. Dlatego zarówno matka krzątająca się w kuchni, ojciec odsypiający nocną zmianę w sypialni, jak i całe ich mieszkanie zaczynało powoli zanikać, gdy tylko za Markiem zamknęły się drzwi wyjściowe. Zamknęły się po raz ostatni w tym jego życiu. I w tym jego świecie...

2

26 kwietnia 1986 roku, 07:45

Układ — którego biegunami był obecny sierżant US Marines Alexander Gibbs oraz pułkownik John Camberley — działał już od prawie półtora roku. Działał przy tym w sposób niemalże doskonały. Gibbs, nie niepokojony przez pułkownika ani w zasadzie przez nikogo innego, w spokoju prowadził swój sklep dla wojskowych oraz dla miejscowych, zatrudnionych w strefie zewnętrznej. Camberley zaś spał spokojnie każdej kolejnej nocy, a przynajmniej usiłował to robić, łudząc się naiwną nadzieją, że kolejne kopie dokumentów — te wykonane przez Gibbsa i podobno wyprowadzone poza bazę — nigdy nie ujrzą światła dziennego.

Sklep Alexandra Gibbsa oferował wszystko, co w takim miejscu i w tych czasach było potrzebne. Żołnierze i amerykańscy cywile,

zatrudnieni w bazie, zaopatrywali się u niego w to wszystko, co typowemu amerykańskiemu patriocie niezbędne było do życia na obczyźnie. Papierosy, alkohol, amerykańskie czasopisma, prezerwatywy, czasem trawkę. Innymi narkotykami były major nigdy nie handlował, a i trawkę dostarczał zachowując podstawowe zasady konspiracji. I tylko wybranym klientom. Wynikało to z licznych powodów.

Najważniejszym z nich był ten, iż trawka otrzymała nieoficjalne niepisane błogosławieństwo armii amerykańskiej. Handlowanie innymi narkotykami byłoby technicznie trudne, w bądź co bądź komunistycznej Polsce. To raz. Dwa, że raczej przeciętnie opłacalne. Klientów byłoby niewielu. Amerykański żołd mimo wszystko nie rzucał na kolana, a ćpunów uzależnionych od innych narkotyków jednak najczęściej wyrzucano z wojska. Trzy zaś, że byłoby to ewidentnym proszeniem się o kłopoty. Tego zaś, szczególnie w obecnej sytuacji, Gibbs starał się unikać, jak ognia. Kłopotów i rozgłosu...

Gibbs nie miał też trudności ani tym bardziej oporów moralnych w organizowaniu „schadzek” z miejscowymi „wieśniaczkami”. Młodymi dziewczynami — spragnionymi przystojnych amerykańskich żołnierzy i ich niemniej amerykańskich dolarów, łudzonych przy tym obietnicami ożenku i zabrania do Ameryki — które gotowe były oddać na jakiś czas swe polskie ciała, młode i piękne, w zamian za odrobinę luksusu i krótką odskocznnię od komunistycznej szarzyzny.

Polacy w sklepie sierżanta Gibbsa mieli natomiast dostęp do produktów, które w świadomości Amerykanów były zwykłymi towarami konsumpcyjnymi, a w oczach rzekomo gnębionych przez komunistyczny rząd Polaków urastały do rangi towarów luksusowych. Papierosy, alkohol, amerykańskie czasopisma, prezerwatywy, czasem trawkę. Często też szynkę, owoce cytrusowe, soki i wiele innych.

Zdecydowana większość Amerykanów odwiedzających sklep byłego majora — tych, którzy nie znali Polaków tak dobrze, jak Gibbs, i w ogóle nie rozumiejący czasów ani miejsca, w jakich przyszło im służyć — dziwiło wiecznie, czemu amerykański sierżant, w amerykańskiej kantynie wojskowej, sprzedaje produkty i towary, które mają oni pod dostatkiem codziennie na śniadanie, obiad lub kolację? Codziennie, w stołówce bazy i na koszt armii amerykańskiej.

— Ignoranci! — syczał złośliwie przez zęby Gibbs.

Układ, którego drugą stroną był Camberley, działał świetnie. Gibbs nie miał już oczywiście dostępu do żadnych nowych dokumentów, ale te, które zgromadził przez półtora roku przed nakryciem nadal spoczywały bezpiecznie pod podłogą jego oficerskiego mieszkania. Zgodnie z umową, nic w tej sprawie nie uległo zmianie. Nikt nikogo nie niepokoił, o nic nie pytał. Nikt nie wracał do tej sprawy, ani do tamtej rozmowy. Jakiej rozmowy?

— Czas otwierać! — rzekł do siebie Gibbs.

Była sobota, ale nawet w weekendy Gibbs otwierał o ósmej rano. Warto było. Klientów nie brakowało, interes się kręcił, pieniądze płynęły, znajomości i przyjaźnie kwitły, a liczne długi wdzięczności konotowane były w bezdennej pamięci sierżanta. Sklep szybko stał się, z punktu zaopatrzeniowego, centrum załatwiania spraw niemożliwych. Czasem też — organizowania numerów, o których nie śniło się żadnym filozofom. Ani polskim ani amerykańskim.

— Niedługo będzie pewnie Marek — dodał były major.

Marek na pewno nie był prawą ręką Gibbsa. Daleko mu było do tego, z resztą sierżant zajmował się ostatnio na tyle delikatnymi sprawami, że większość tematów wolał doglądać osobiście, bez niepotrzebnych świadków. Lecz na pewno był jego łącznikiem ze światem

zewnątrznym. Marek potrafił często załatwić w świecie zewnętrznym to, czego nie mógł Gibbs zdobyć lub zorganizować, będąc w bazie. Owszem, od czasu degradacji i przeniesienia do strefy zewnętrznej, mógł opuszczać ją bez większych ceregieli — miał wyrobioną na stałe przepustkę. Sęk w tym, że rzeczy, które załatwiał mu Marek, nie były zbyt łatwo osiągalne, jeśli prosił o nie wazący sto pięćdziesiąt kilogramów Murzyn, w amerykańskim mundurze, mówiący przy tym łamaną polszczyzną. Nie... do pewnych spraw i pewnych zakupów Marek był zdecydowanie niezbędny.

Układ działał oczywiście w dwie strony. Wyjątkowa wdzięczność w zamian za wyjątkowe przysługi. Oprócz więc dostępu do typowego asortymentu sklepu Gibbsa, Marek kupował też czasem u niego papierosy, alkohol i od czasu do czasu trawkę. W tym zakresie sierżant Alexander Gibbs robił wyjątek tylko dla niego. Innym niepełnoletnim nie sprzedawał używek. Ani Polakom ani Amerykanom.

3

26 kwietnia 1986 roku, 08:15

Spotkanie, do którego musiał przyznać się przed matka, nie wyszło. Ani jeden z trójki — Kijas, Północnik i Mucha — nie byli tego ranka w sosie. Wszyscy byli za to markotni, nieskorzy do zwyczajowych żartów i odpowiadali przy tym półgębkiem.

— Coś, jakby wisiało w powietrzu? — pytał potem sam siebie.

Umówili się więc tylko, że spotkają się wszyscy we czwórkę, nieco później, w sklepie sierżanta Gibbsa, w bazie wojskowej. Oni mieli podjechać tam kolejką miejską, on wybrał rower.

Marek, jego koledzy oraz zdecydowana większość ludzi na świecie mówili po prostu „baza wojskowa”. Nie mieli bowiem pojęcia,

że dzieli się ona na jakieś kręgi. O tym, że istniał krąg zewnętrzny i wewnętrzny, jak i o tym, że w wewnętrznym ostro i od lat działało CIA, załatwiając tam swoje brudne projekty i sprawy, wiedziało naprawdę niewiele osób na tym świecie.

Pogoda z rana zapowiadała się piękna, teraz wyraźnie zaczynała się psuć. Na niebie zaś szybko pojawiły się jasnoszare chmurki. Mimo to, Marek nie żałował swej decyzji. Nieudane spotkanie z kolegami tak zepsuło mu humor, że chciał przez dłuższą chwilę być sam.

— A... ..rwa, co mi tam! — rzekł i zjechał rowerem z drogi.

Nic tak nie poprawiało humoru, jak dobre palenie. To jednak miało być wyjątkowo dobre, bo otrzymane od matki „pieniądze na papierosy” wystarczyły, by kupić od Północnika nieco tego jego legendarnego towaru. Północnik lubił dużo kpić. Ze wszystkich bez wyjątku. I jeszcze więcej bajek opowiadać. Ale gdy w grze pojawiały się pieniądze, to szybko poważniał i nie kłamał prawie nigdy.

Nie kłamał i tym razem. Gdy tylko Marek przypalił skręta i zaciągnął się głęboko, to aż iskierki zawirowały mu w oczach. Zrobiło mu się na chwilę tak jakoś słabo, że aż przysiadł sobie wśród traw.

— Palenie trawki w trawce! — zarechotał obłąkańczo, a jego głośny śmiech poniósł się ponurym echem po okolicznych polach.

Gdy tylko narkotyk zaczął działać, pociemniało mu w oczach. Marek nie był nałogowym ćpunem. Potrafił żyć tygodniami i miesiącami nawet bez trawki. Gdy jednak miał okazję, to popalał równo. Nigdy jednak nie miał aż takiej fazy jak teraz. To nie był tylko świetnej jakości towar, jak obiecywał Północnik. Sam chyba nie wiedział, co sprzedawał.

— To jest super... hiper... pierwsza klasa — zawołał Marek.

Legł na plecach. Roziskrzonym i jednocześnie mocno już zmętniałym wzrokiem spojrzął w górę, na szarzejące choć jeszcze miejscami błękitne niebo. Nawisłe chmury zdawały się uśmiechać do niego. Powolnym ruchem prawej ręki ponownie przyłożył sobie skreśła do ust. Jeszcze raz głęboko się zaciągnął. Obraz przed jego oczami zmętniał zupełnie, a świat odpłynął. Marek pograżył się w krótkim — jak się miało okazać — ale szalonym narkotycznym śnie.

4

26 kwietnia 1986 roku, 10:00

— Przepraszam... — zawołał Marek, wbiegając do sklepu.

— No! — Gibbs pomachał palcem. — Żeby mi to było ostatni raz! Uśmiechnął się przy tym jowialnie i serdecznie.

Rozmawiali zwykle obydwoma językami. Raz łamaną polszczyzną Gibbsa, innym razem niespecjalnie lepszą angielszczyzną Marka. Poprawiali czasem swoje błędy, traktując te spotkania również jako sposobność szlifowania drugiego języka. Marek, jak z resztą większość osób, prawie bezbłędnie radził sobie z czytaniem i rozumieniem po angielsku ze słuchu, dużo gorzej z mówieniem, najgorzej zaś przychodziła mu rozmowa w obcym języku. Gibbs, który nie potrzebował nauczyć się polskiego jako drugiego języka, a jedynie chciał ułatwić sobie komunikację z lokalnymi mieszkańcami, nie zwracał sobie zupełnie głowy pisaniem, a czytał po polsku bardzo niewiele. Marek, który w szybkim a dobrym opanowaniu języka angielskiego upatrywał zwiększenia swych szans na przyszłość, czy to na planowanych studiach, czy w zawodzie po nich, starał się ćwiczyć i doskonalić wszystkie aspekty drugiego języka.

— Na szczęście przez dwie godziny nie było prawie nikogo.

— Przepraszam... jeszcze raz...

Mimo prawie dwugodzinnego spóźnienia, Gibbs był w całkiem dobrym nastroju. Markowi nie było jednak do śmiechu. Rzadko kiedy wcześniej zdarzyło się, by po trawce urwał mu się film. Zaż jeśli już — to na pewno nigdy na tak długo. Z resztą o tym, na jak faktycznie długo — że aż prawie na dwie godziny — dowiedział się dopiero będąc w sklepie i patrząc na wiszący zegar. Wcześniej, gdy tylko się ocknął, wskoczył na rower i popedałował w stronę bazy wojskowej. Najszybciej, jak mu tylko pozwalały na to mięśnie.

— Mama prosi o wino i oliwę... — rzekł zaraz potem.

Ciągle było mu głupio, więc chciał szybko zmienić temat, żeby rozmową pokryć zażenowanie. Za wszelką cenę chciał też zmusić mózg do myślenia, by pozbyć się z niego resztek narkotykowego bezwładu.

— Oczywiście — przytaknął Alexander Gibbs. — Ale to chyba bliżej południa, gdy będziesz kończył? Zamierzasz dziś pracować?

— Tak, tak... — odparł szybko. — Pewnie, że tak.

Marek nie był bowiem tylko klientem sklepu sierżanta. Nie tylko wydawał w nim pieniądze, ale często też je zarabiał, wyřeczając Gibbsa w prowadzeniu sklepu. Szczególnie w weekendy, gdy liczba klientów potencjalnie malała. Sierżant mógł wtedy zająć się dostawami zapasów do magazynu lub załatwianiem spraw niemożliwych. Kilka razy jednak zdarzyło się Markowic zawalić i spóźnić się lub nie pojawić się w ogóle. Zwalając tym samym na barki Gibbsa sprzedawanie w danym dniu. Pytanie było więc uzasadnione.

— Ma pan jeszcze trochę tego... „Marlboro”? — spytał cicho.

— Dla „kolegów”, co nie? — sierżant mrugnął okiem.

— Tak... — odparł cicho Marek i próbował uśmiechnąć się.

Obaj wiedzieli, co oznaczało „Marlboro” w tym przypadku. Marek odbierał swoją dniówkę, a czasami nawet i tygodniówkę, niekiedy przy pomocy „biletów Narodowego Banku Polskiego PRL”.

— Dobra, to, co? — spytał Murzyn. — Zgodnie z umową? Sprzedajesz przynajmniej dwie godziny, jeśli nie dłużej. Ja pokręcę się po zapleczu, potem pójdę załatwić parę spraw i tak dalej. Tak?

— Jasne, panie sierżancie.

Sklep był zupełnie pusty, ale tylko przez chwilę. W pierwszej kolejności wszedł jakiś typ, w mundurze polowym żołnierza piechoty morskiej Stanów Zjednoczonych. Na pagonach miał oznaczenia starszego szeregowego — pojedynczy szewron skierowany w stronę szyi oraz zamykający go od dołu również pojedynczy łuk.

Przybyły bez słowa zaczął się rozglądać po sklepie i przyglądać towarom eksponowanym na półkach. Marek, również bez słowa, zaczął wodzić wzrokiem za nim. Szeregowiec miał bowiem dość charakterystyczną fryzurę. Był prawie całkiem łysy na głowie, z wyjątkiem pojedynczej kupki włosów na szczycie. Kupka ta, upięta zwykłą gumką-recepturką, stanowiła formę przejściową między pojedynczym loczkiem rocznego dziecka, a fryzurą kojarzoną zwykle z samurajami. Gdy przybyły odwrócił się do niego plecami, Marek dostrzegł też malutki tatuaż na karku. Tuż pod potylicą żołnierz miał wytatuowaną miniaturową Wieżę Eiffle’a.

— Cześć, Mucha! — zawołał Marek nagle, płosząc szeregowca.

— Siemanko, ryju! — padło przez rozsunięte właśnie drzwi.

Jedną z cech sklepu sierżanta Gibbsa były drzwi wejściowe. Mimo, że sklep nie był specjalnie duży, a daleko było mu do najmniejszych amerykańskich supermarketów, to jednak drzwi wejściowe były rozsuwanymi na boki dwoma taflami szkła, zwykle spotyka-

nymi w większych sklepach. Zamontowane niedawno, dobrze dosmarowane, otwierały się prawie bezszelestnie.

Nim starszy sierżant piechoty morskiej zdażył cokolwiek kupić, nim na dobrą sprawę w ogóle się odezwał, do sklepu wpadł Mucha, a za nim pozostali umówieni — Północnik i Kijas.

— Cześć mordo! — zawołał Kijas do Marka.

— *Good morning* — powiedzieli wszyscy w stronę szeregowca.

Ten odkiwnął im jedynie głową nonszalancko.

— Gdzie sierżant? — spytał Północnik.

— Gibbs? Na zapleczu.

Wtedy nastąpiła eksplozja.

5

26 kwietnia 1986 roku, 10:15

Nie był to jednak typowy wybuch, jaki widzieli na dziesiątkach amerykańskich filmów. Na dobrą sprawę nie byli w stanie nawet powiedzieć, czy faktycznie była to eksplozja. Z wnętrza sklepu nie widzieli ani wybuchu, ani następującego po nim ewentualnego pożaru. Był za to dźwięk. Przedziwny w tych okolicznościach i początkowo dość trudny do określenia. Pojedynczy głuchy i dość długo brzmiący gong. Jakby dźwięk uderzenia ogromnego serca we wnętrzu wielkiego i starego dzwonu na wieży kościelnej. Tylko, że w promieniu wielu kilometrów nie było żadnego kościoła. Lub, jak odgłos jakiegoś ciężkiego metalowego przedmiotu spadającego na jeszcze cięższą i większą metalową sztabę. Tylko, że w odległości kilkudziesięciu kilometrów nie było żadnej huty, skupu złomu, zakładu metalurgicznego ani żadnego innego, który mógłby być źródłem.

Długi dziwny głuchy i dudniący dźwięk. Po nim zaś wstrząs.

Na krótką chwilę zadzwoniło całe szkło w sklepie. I to dość dziwnie. Dźwięk ten dla odmiany był niezwykle krótki, ot... coś jakby ktoś uderzył szybko pięścią w stół z filiżanką, spodkiem i łyżeczką. Mimo to, doskonale mogli określić skąd dochodził i w jakim kierunku się rozchodził. Wyraźnie dało się wyczuć, jakby coś przetoczyło się przez sklep. Cokolwiek to było, pochodziło z centrum bazy. Gibbs wiedział, że to z wewnętrznej strefy, dla nich był to tylko środek bazy. Zaczęło się drżeniem szyb w drzwiach wejściowych, a skończyło pobrzękiwaniem szkła daleko na zapleczu, na półkach stojących przy ścianie przeciwległej do wejścia do sklepu. Wszyscy byli pewni, że dźwięk trwał ledwie ułamek sekundy. Jednocześnie jakimś cudem wszyscy byli przekonani, że potrafili dokładnie wyobrazić sobie kierunek przejścia tego czegoś... Tego jakby impulsu, który dźwięk ów wywołał.

Tylko jeden Marek usłyszał sobie, że na chwilę przed gongiem i towarzyszącym mu wstrząsem, który rozdzwonił się wszystkim, co szklane w sklepie, usłyszał coś jeszcze. Jeszcze jeden dźwięk. Odgłos równie tajemniczy i równie trudny do określenia. Było w nim sporo z buczenia wydawanego przez wiszące przewody wysokiego napięcia. Ale był też w tym dźwięku odgłos, jaki mogła wydawać moneta szybko przelatująca przez metalową rurę. Albo metalowe koła kolejki podmiejskiej, trące o szyny na łuku toru. Najpierw ów metaliczny jazgot, wydawany przez metal trący o metal, zmieszany z buczeniem pola elektromagnetycznego o dużej częstotliwości. Później zaś długi buczący gong, wreszcie dzwonienie szkła przetaczające się przez sklep. Jakby jakaś fala...

— Co to było? — rzekł po angielsku wystraszonym głosem Gibbs, który bezszelestnie wrócił z zaplecza.

Zaskoczył tym wszystkich. Jak na komendę, wszyscy nerwowo odwrócili głowy w jego stronę. Wcześniej bowiem również wszyscy spoglądali na drzwi wejściowe, w stronę, gdzie zaczął się ów dźwięk.

— Nie mam pojęcia — odparł szeregowy.

— Coś, jak eksplozja lub wybuch... — tłumaczyli chłopacy.

Następnie wyłączono dopływ energii elektrycznej. Wyłączono lub wyłączył się sam. Mimo, że było kwietniowe dość jasne przedpołudnie, zauważyli to. Buczenie lodówek sklepowych zanikło powoli, a światła w ich witrynach zgasły. Równie powoli i leniwie zatrzymał się nad ich głowami wielki wentylator.

— Co tym razem, do cholery? — spytał ponownie Gibbs.

Głos sierżanta stawał się coraz bardziej nerwowy. W stresujących lub zaskakujących go sytuacjach, zwykle przytłumiał on głos odruchowo, ściszał go coraz bardziej, aż dochodził do niemal szeptu. Teraz mówił jeszcze półgłosem, jeszcze nie szeptał, ale był już bliski tego. Strach w głosie grubego Murzyna był aż nazbyt wyczuwalny. Przez wszystkich, nawet przez nastolatków. I wcale im się to nie podobało. Jowialny, rubaszny i wielki jak szafa Gibbs, zawsze był dla nich ostoją pewności. Pewnikiem, gwarancją, że wszystkie problemy da się jakoś rozwiązać. Teraz, nagle i brutalnie, tracili tę pewność. Nie mieli jednak czasu, by głębiej się nad tym zastanowić, bo wypadki następowały błyskawicznie po sobie.

— Co to jest? — spytał szeregowiec, odzywając się po raz drugi w sklepie, a zarazem przedostatni w swoim życiu.

Palcem wskazywał coś za szklanymi drzwiami wejściowymi.

To była mgła. Ale nie taka zwyczajna. Była gęsta, jak najtłustsza śmietana. Zasiałała praktycznie wszystko w najbliższej odległości. Zgromadzeni w sklepie zdążyliby policzyć może do pięciu

lub może do dziesięciu, gdy ostatnie zarysy budynków, fragmenty ulicy i w ogóle jakiegokolwiek elementy krajobrazu zniknęły w zalewającej wszystko błyskawicznie mgle.

Mgła dotarła do sklepu nienaturalnie szybko i błyskawicznie zasłoniła sobą cały zewnętrzny świat. Na pierwszy rzut oka wyglądało to surrealistycznie. Miało się wrażenie, jakby na szklanych drzwiach sklepu świat po prostu się kończył. Zaraz za nimi występowała jasnoszara praktycznie zupełnie przezroczysta gęsta maź, która zasłaniała wszystko. Poza nią — i poza jakąś dziwną delikatną jasnością, która zdawała się bić z niej — widać było tylko pojedyncze, niezwykle niewyraźne cienie.

— O... mój... Boże... — wyszeptał pobladłymi ustami Gibbs.

Mówił to po angielsku. Z resztą, aż do swojej śmierci miał użyć języka polskiego jeszcze tylko raz. Lecz powiedział to tak przejętym głosem, że nawet gdyby mówił w dolnośląskim, to i tak natychmiast wiedzieliby, o co chodzi. Sierżant Alexander Gibbs, zdegradowany major marynarki Stanów Zjednoczonych, był śmiertelnie przerażony.

— Muszę... muszę załatwić coś na zapleczu... — wyszeptał.

Potem nagle, choć tylko na krótką chwilę, pozbierał się.

— Posłuchajcie mnie bardzo uważnie... — rzekł po polsku, potem zaś powtórzył to szeregowcowi po angielsku. — Cokolwiek się wydarzy... Nigdy, pod żadnym pozorem nie wchodźcie w tę mgłę!

Odpowiedziała mu nabożna cisza, więc powtórzył głośniejszym głosem:

— Rozumiecie mnie, do jasnej cholery? Nigdy, przenigdy nie wchodźcie w nią. Choćby się paliło i waliło. Nigdy! Rozumiecie?

Przerażeni, pokiwali głową na znak zrozumienia.

W tym momencie Gibbs rozsypał się na powrót i zupełnie poddał się ogarniającego go panice. Z twarzą bladą i białą, jak u posypane-

go mąką młynarza — o ile to w ogóle możliwe w przypadku Murzyna — nerwowym ruchem wybiegł do magazynu. Trudno było nazwać to biegiem. Zataczał się, jak pijany, nadział się na róg lady i mało co nie wywrócił się, gdy potknął się dwa razy, wbiegając na zaplecze.

Gibbs wiedział, o co chodzi. Wszystko do siebie pasowało — wszystkie trzy elementy układanki znalazły się w jednym miejscu. Dokładnie tak, jak to opisali w dokumentach, które przechwycił. Jeśli otwarcie portalu międzymiarowego nie uda się, z jakiegokolwiek powodu, to towarzyszyć temu będzie metaliczno-dudniacobuczający dźwięk. Oraz wstrząs jak przy eksplozji. Pierwszy element. Aby zahamować efekt kaskadowy, który według dokumentu musi wówczas wystąpić, niezbędne będą ogromne ilości energii elektrycznej, konieczne do wygenerowania antypola. Wobec czego, w całej bazie zabraknie prądu. Drugi element. Jeśli wytworzenie antypola nie powiedzie się, lub jeśli nic ono nie da, wówczas pojawi się gęsta jasnoszara mgła. Trzeci element. Wszystkie trzy klocki wskoczyły więc na miejsce. Wszystko stało się tak, jak to opisali. Efekt niedanego eksperymentu, który oficjalnie nigdy nie miał być przeprowadzony, w bazie, która oficjalnie nigdy nie istniała.

Gibbs wiedział też, co musi teraz zrobić. Nie chciał, bardzo nie chciał, ale wiedział, że nie ma innego wyjścia. Pamiętał bowiem doskonale, co napisali we wnioskach do czytanego wówczas dokumentu. Wiedział, co wylezie z portalu. I co będzie czyhać we mgle.

26 kwietnia 1986 roku, 10:30

- Pobiegł, jakby mu kto bombę w dupę wsadził — rzekł Mucha.
- No, a widzieliście, jak zbladł? — spytał Gekon vel Marek.

— W życiu nie widziałem tak białego Murzyna! — zakpił Północnik, znany ze swoich rasistowskich, szowinistycznych i kosmopolitycznych dowcipów. Próbował dowcipkować, jak zawsze w stresujących sytuacjach, ale tym razem mu to nie wyszło.

— Przerażony był... — rzekł Marek. — Nie mniej niż ja...

— Przestań, trzęsidupo! — zakpił Kijas. — Już w majty walisz?

Tę uroczą przyjacielską pogawędkę przerwał starszy szeregowy. Nagłe pojawienie się dziwnej mgły i jeszcze dziwniejsza ucieczka sierżanta Gibbsa na zaplecze wywarły niemałe wrażenie nawet na szkolonym do zabijania z zimną krwią żołnierzu. Ale objawiało się to jedynie zgrzytaniem zębami, nerwowym chodzeniem szczęki na lewo i prawo oraz falowaniem kucyka włosów na szczycie łysej głowy.

— Co robimy? — spytał po angielsku. — Jaki jest plan?

Dobry syn Mamoszki Rosji nie idzie się nawet wysrać bez planu, jak mawiało stare porzekadło. Dobry syn Mamoszki Ameryki nie mógł być przecież gorszy. Do wszystkiego i na każdą sytuację musiał mieć plan. Zawsze i na wszystko musiał przecież istnieć jakiś plan.

— Nie wiem — rzekł Kijas, najodważniejszy z nich. — A wy?

— Ja też nie — zawtórowali mu Marek i Mucha.

Północnik pokręcił jedynie głową.

— No, cóż... Ja w każdym razie muszę zameldować się u szefa.

Chłopak ruszył w stronę drzwi i stanął w pół kroku, zatrzymany niezbyt pewnym gestem Marka. Ten wyciągnął rękę w jego stronę, ale szybko cofnął ją zdenerwowany. Próba zatrzymania — bądź, co bądź amerykańskiego żołnierza, przez bądź, co bądź polskiego szczyła — mogła skończyć się w dość opłakany sposób. Dla szczyła.

— Gibbs mówił, żeby nie wchodzić w mgłę! — wydukał.

— Yeah... słyszałem — padła odpowiedź po angielsku.

Wypowiedział przy tym owo „yeah” z taką nonszalancją, że reszta miała przez chwilę wrażenie, iż szczeka wypadnie mu z zawiąsów. Żaden z nich nie miał pojęcia, że człowiek potrafi tak szeroko otworzyć usta. Choćby na chwilę.

— I co z tego? — dodał po chwili. — Rozkaz to rozkaz. Zamel-dować się. Dziesiąta czterdzieści pięć. Przy baraku magazynowym.

Plotki o praniu mózgu w armii USA nie były chyba plotkami.

— Gibbs mówił, żeby pod żadnym pozorem nie wchodzić we mgłę — Marek nie poddawał się. — By uniknąć tego za wszelką cenę. Ja mu wierzę. Nigdy w życiu mnie nie zwiódł. Nigdy nie widziałem go tak poważnym i pewnym tego, co mówił.

Oczywiście dukał to i co chwilę zatrzymywał się. Jego angielski nie był aż tak dobry. Ku jego zaskoczeniu, szeregowiec słuchał go jednak z uwagą, w ogóle nie przejmując się przedłużającą się tyradą. Jakby zakodowali mu obowiązek słuchania do końca.

— Ani tak przerażonym... — dodał w myślach po polsku.

— W dupie to mam! — skwitował Amerykaniec krótko. — Idę.

Żwawym sprężystym żołnierskim krokiem ruszy w stronę drzwi, tym razem nie zatrzymywany już przez nikogo. Wsunął kościste palce w szparę w drzwiach. Napiął z całej siły mięśnie. Szarpnięciem ramion rozsunał odporne połówki, zablokowane wskutek braku prądu.

Mgła na zewnątrz wydawała się być gęsta, jak śmietana kremówka. Nawet gram nie wniknął do środka sklepu przy otwarciu drzwi. Miało się wrażenie, że to już nie śmietana, nie płyn, nie zawieszzone w powietrzu drobinki wody, tylko ubity krem na torcie. Miało się wrażenie, że wystarczy wsadzić w to nóż, by wykroić spory kawałek.

Młody żołnierz bez zastanowienia i bez większego wahania wkroczył w białą maź. Puszczony przez niego połówki drzwi zamknę-

ły się z nieprzyjemnym skrzygnięciem, dociśnięte do siebie siłą przeciwwagi, zamontowanej na framudze drzwi, zdolnej zamknąć je nawet przy braku energii elektrycznej. Szpara między połówkami, przez którą właśnie przecisnął się, zniknęła na powrót.

Starszy szeregowy zdażył zrobić tylko kilka kroków.

Z mgły nagle i niespodziewanie wynurzył się wielki szary potwór. Na oko miał ponad dwa i pół metra wzrostu i znacznie przewyższał Amerykanina wzrostem. Stwór składał się z czterech pierścieniowatych segmentów, jeden na drugim. Z każdego wystawała para odnóży zakończona wielkimi hakowatymi i zapewne wściekle ostrymi szponami. Tylko najniższe odnóża, wystające z dolnego pierścienia, były nieco większe, a szpony proste — zapewne służące do utrzymania równowagi. Piąty segment, znacznie mniejszy, nasadzony na cztery pozostałe, na samym szczycie szarego cielska, stanowił coś, co chyba było małą głową. Chyba, bo to coś na szczycie stwora było zupełnie pozbawione oczu, nosa i uszu. Składało się tylko z wielkiego okrągłego otworu gębowego. Otwór zaś zawierał dwanaście łopatkowatych i zapewne ostrych jak noże ni to zębów, ni sztyletów. Choć brzmiało to paradoksalnie, absurdalnie wręcz, potwór z mgły naprawdę najbardziej przypominał wyglądem białego napompowanego bałwanka z reklamy Michelina, którą widzieli w bazie nieraz.

Potwór wynurzył się z mgły, przysuwając się tym samym na tyle blisko do sklepu, by stać się na chwilę widzialnym dla przerażonej piątki nastolatków, znajdujących się wewnątrz. Oraz dla wrzeszczącego wysokim altem żołnierza. Wrzeszczącego bardzo krótko.

Stwór objął szeregowego trzema górnymi parami odnóży, zamykając go wewnątrz, jak w jakimś przerażającym chitynowym kokonie. Następnie wycofał się na dwóch pozostałych odnóżach i po prostu

rozpłyną się we mgle. Nie zdążyli więc dostrzec już płynnego ruchu łba potwora, opadającego otworem gębowym na głowę żołnierza i połykającego ją w całości. Usłyszeli jedynie suchy trzask przypominający pęknięcie grubego konara drzewa owocowego. Piskliwy wrzask ustał, jak ucięty nożem. Dla odmiany wrzeszczeń zaczęła cała piątka w sklepie, gdy na drzwi wejściowe chlusnęła fala czerwonej krwi.

— To... to... b... b... był niesporczak! — wyjąkał Marek, w akompaniamencie staccato własnych zębów, dzwoniących jak kastaniety, gdy tylko udało się im stłumić przerażony wrzask. — Gigantyczny... niesporczak. Miał chyba trzy metry wysokości. Tysiące razy więcej niż największe z nich... Ale to był on. Nie... niesporczak!

— Co... ty... pierdolisz? — zawołał niemniej przerażony Kijas.

— Ja... jaki... niesporczak? — zawtórował mu Mucha.

Marek wyraźnie czuł, że jego umysł zaczęła zalewać już fala bezbrzeżnego szaleństwa i paranoi, paraliżująca strachem i niedowładem wszystkie jego członki oraz pozbawiająca go wszelkich oznak logicznego myślenia. Wiedział, że jeszcze minuta, może dwie, a fizjologia weźmie nad nim górę. Zleje się lub zesra się w gacie. Potem zacznie biegać po małym sklepie, walić głową w ściany lub wpadnie w katatonię. Wiedział, że jest tylko jeden sposób, by przeciwdziałać temu postępującemu szybko procesowi. Musiał zacząć mówić. Spokojnym, rzeczowym głosem, o czymkolwiek. Ale mówić ciągle i bez przerwy. Wystawić inteligencję, wiedzę, rzeczowość i spokój na flanki. Naprzeciw atakującego go szaleństwa.

— Niesporczaki... to takie małe... malusieńkie zwierzęta — zaczął. — Bezkręgowce. Zasiedlają całą planetę. Najbardziej lubią wilgoć. Znamy... znamy ich już kilkaset gatunków.

Zatrzymał się. Poczekał, aż serce zwolni mu nieco, a oddech uspokoi się. Potem worek rozwiązał się i dalej jakoś to już poszło.

— Wyglądają dokładnie jak... jak ten... jak... to... tam — zajął się, ale wziął głęboki oddech. — Tylko, że największe z nich mają milimetr wielkości. A i te są nieliczne. Bo zdecydowana większość gatunków ma rozmiary mikronowe...

— Największe z nich mają milimetr... — zawył po chwili. — Ale ten... ten... tam... miał dwa metry. Kurwa jego mać!

Mucha podszedł do Marka i mocno potrząsnął nim za ramiona. Gdy to nie pomogło, bezceremonialnie trzasnął go w pysk.

— Ogarnij się, do kurwy nędzy — krzyknął, choć sam był przerażony. — Ogarnij się i mów dalej. Mów... kurwa! Nie przestawiaj mieć jęzorem!

— Z wyglądu dokładnie takie jak tamten. Cztery pierścienie zakończone odnóżami. Trzy z chwytными szponami, czwarty balansujący. Na czterech dużych pierścieniach piąty, mniejszy, z ni to głowa, ni paszcza. Ten był szary, normalnie zwykle są one przezroczyste. Zabarwiają się jedynie podczas żarcia, kolorem tego, co żra. Dlatego tym bardziej są trudne do zaobserwowania.

— No, tego trudno było nie zauważyć... — stęknął Północnik.

— Gdy są nażarte i mają jakikolwiek kolor, to ich ciało przypomina z wyglądu źle napompowany worek — ciągnął Marek monotonym głosem, jakby komentarz Adam nigdy nie padł. — W wielu miejscach napompowane, jak ten biały pedalski bałwanek z reklamy Michelina. W wielu innych miejscach sflaczałe, jak balon z którego uszło podejście. Poruszają się raczej wolno.

— Ta... — rzekł z przekąsem Kijas. — Właśnie widzieliśmy.

— A co one żra? — spytał rzeczowo Północnik.

- Ludzi, kurwa! — wszedł mu w zdanie Mucha.
- Przestańcie, bo się zerzygam — ostrzegł Kijas.
- Mówi się: „zrzygam”, ciulu! — odparował mu Mucha.
- Zamknąć ryje! — wrzasnął Północnik i powtórzył pytanie.
- No, liście... — rzekł Marek. — Większość jest roślinożerna.
- Większość? — zapytał z kpina w głosie Mucha.
- No, niektóre są bakteriofagami.
- Po polsku, złamasie — poprosił kulturalnie Północnik.
- No, że tego... jedzą bakterie. No, a niektóre... niektóre...
- A niektóre? — ponaglił Kijas.
- No, niektóre są mięsożerne — dokończył smutno Marek. —

I... do tego... są kanibalami. Żrą same siebie nawzajem.

- Pięknie, kurwa, pięknie! — skwitował Kijas.

W tym momencie Mucha, przyjmując ton będący mieszaniną kpiny i jednocześnie głosu zniechęconej przez wszystkich nauczycielki języka polskiego powiedział, że ten oto osobnik z mgły jest gatunkiem specjalnym, który wpieprza ludzi.

— Spierdalać! — zawołał szybko, dostrzegając zacięte miny pozostałych oraz ich zaciśnięte pięści, nie pozostawiające złudzeń, co do tego, co zamierzają mu zrobić, w podzięce za ów komentarz.

Marek, jak typowy nastolatek tamtych czasów, a może jak typowy nastolatek każdego czasu, traktował szkołę jak domiar i krzyż pański zarazem. Pogardzał nią i nauczycielami. Jeden tylko przedmiot był jego konikiem — biologia. Choć nawet w niej interesowały go tylko wybrane tematy. Fascynował się powieściami z gatunku science-fiction, a ta jego cecha była dobrze znana jego kolegom. Najbardziej zaś bawiły go kosmiczne pościgi, walki w przestrzeni kosmicznej i próby przetrwania w ekstremalnie niegościnnych wa-

runkach obcych planet. Właśnie ta sympatia sprowadziła go na temat niesporczaków. I teraz bardzo zaczął tego żałować.

— Chłopaki! — zawołał. — Jeśli to bydle za drzwiami jest takie, jak małe niesporczaki, to uwierzcie mi... fakt, że zżerają ludzi wcale nie jest ich najgorszą cechą.

— A może być... kurwa... coś gorszego? — spytał Północnik

— Tylko co? — odpowiedział i spytał się jednocześnie Kijas.

— One są... niezniszczalne.

Krótką chwilą konsternacji i milczenia. Ale jednocześnie niejakiego rozluźnienia napięcia. Północnik podszedł do Marka spokojnym krokiem i jeszcze spokojniejszym ruchem położył mu obie dłonie na ramionach.

— Mareczku... — rzekł. — Nie bawimy się teraz w te twoje bajki z laserami, dobrze? Dość mamy w majtach. Nie musisz nam dokładać.

— Ja nie żartuję! — zawołał Marek. Potem im wyjaśnił.

Cecha charakterystyczna niesporczaków, wyjątkowa w skali całego życia na Ziemi, to ich niewyobrażalna odporność. Mogą przetrwać w temperaturze minus i plus sto, dwieście stopni Celsjusza...

— Tak, kurwa! — warknął, uprzedzając kpiny i protesty. — To j e d y n e organizmy na tej zaszranej planecie, które potrafią przeżyć głębokie zamrożenie lub gotowanie we wrzątku! Mało tego! W ogóle mogą nie żreć! Mogą przeżyć nawet sto lat bez wody i jedzenia. Wchodzą wtedy w stan tak zwanej kryptobiozy — gdy warunki otoczenia stają się niekorzystne. Wychodzą z niego, gdy wracają do normy. Niektóre gatunki przetrwały nawet w przestrzeni kosmicznej, w stanie nie tylko braku wody i pożywienia, ale również przy absolutnym braku powietrza i w temperaturze bliskiej zera absolutnego. Znoszą ciśnienie sześć tysięcy razy większe niż atmosferyczne. Są odporne

na dawki promieniowania, które tysiącrotnie przekraczają dawkę śmiertelną dla najbardziej wytrzymałych innych stworzeń.

— Są naprawdę niezniszczalne — skwitował Gekon. — Niektórzy uważają, że nie pochodzą z naszej planety. Bo ziemską ewolucja nie byłaby w stanie wytworzyć tak odpornych organizmów.

— To akurat jakoś mnie nie dziwi — rzekł Mucha.

— Możliwe, że przybyły do nas z kosmosu... — dodał Marek.

— Lub z innego wymiaru... — uzupełnił Kijas, który dla odmiany był fanem fizyki, teorii wieloświata, różnych wymiarów oraz całego tego bełkotu, jak jego zainteresowania wykpiwali inni.

— Tylko, że... tylko, że... — Marek ponownie zaczął się załamywać. — Tylko, że największe z nich mają około milimetra! Kurwa twoja mać... Milimetra, a nie ponad dwa metry! Jezu...

I rozsypał się zupełnie, po raz drugi. Nie pomagały krzyki ani przekleństwa. Nie pomagało potrząsanie ramionami ani nawet uderzenia w twarz. W pewnym momencie odepchnął szybkim ruchem dłoni któregoś z pozostałej czwórki, nadlatującą, by wymierzyć mu kolejny siarczysty policzek. Zerwał się i z wrzaskiem wybiegł na zaplecze.

— Pięknie, kurwa, pięknie! — powtórzył Kijas.

— Może odnajdziesz tam Gibbsa? — zawołał ktoś za Markiem.

— A, właśnie... — rzekł rzeczowo Północnik. — Coś go długo nie ma... Nie uważacie? Gdzie czarnucha wywiało?

26 kwietnia 1986 roku, 10:45

Marek wpadł na zaplecze w szalonym pędzie. Zdyszany, spocony emocjami i wrażeniami, z trudem łapał powietrze. Po przekroczeniu

progu, gdy tylko metalowe drzwi z automatycznym zamykaczem zamknęły się za nim, stanął jednak jak wryty. W środku było ciemno.

— Jezu... — wyszeptał zdyszany. — Ciemno, jak w dupie!

Od razu przypomniał sobie, że przecież odcięli dopływ energii elektrycznej do sklepu sierżanta. Rodziło się jednak pytanie, co sam Gibbs robi w tych egipskich ciemnościach?

— Gibbs? — zawołał ściszym głosem. — Jesteś tu?

Nie było odpowiedzi.

Zdawał sobie sprawę z bezcelowości swego działania, lecz mimo to wyszukał po omacku włącznik światła. Nacisnął i nie przyniosło to oczywiście żadnego efektu. Przypomniał sobie wtedy, że sierżant miał małą półkę, właśnie niedaleko włącznika, na której trzymał sprawną zwykle latarkę, zapas baterii oraz świeczkę i zapałki.

Wymacał latarkę, złapał ją pewnym chwytem, włączył i skierował strumień światła na wprost siebie. Odczekał chwilę, by wzrok przyzwyczał się do światła i zaczął cokolwiek dostrzegać na nowo. Gdy mu się to już udało, wrzasnął przeraźliwie na całe gardło i zsiadł się w spodnie.

Trup Gibbsa kołysał się miarowym, choć powolnym ruchem, zawieszony na grubym sznurze, przyczepionym do metalowej kotwy, wkręconej w sufit zaplecza. Nie brakowało ich tam, bo pomieszczenie to, zanim budynek zaadaptowano na sklep, było salą ćwiczeń dla żołnierzy uprawiających boks. Gibbs, obejmując ją w posiadanie, kazał zamurować okna, ale kotwy zostawił. Mówił, że mogą się przydać kiedyś. Zwłaszcza do wieszania czegoś ciężkiego. Przydały się...

— B... b... b... Boże — wyszeptał Marek zbielałymi wargami.

Myślał, że zwymiotuje, ale nie miał czym. Niewiele jadł tego ranka. Myślał, że zemdleje lub co najmniej przewróci się i upuści

latarkę. Będzie potem musiał szukać jej po omacku. Tylko po to, by ponownie oglądać wielkiego grubego czarnego trupa, w mundurze sierżanta marynarki Stanów Zjednoczonych, wiszącego na sznurze. Lecz nic takiego się nie wydarzyło. Ręce latały mu, jak w febrze, kreśląc strumieniem światła fantazyjne rozbłyski na ścianie, ale nie wypuścił latarki z dłoni.

— Gibbs... kurwa... Boże... — zaczął szlochać. — Alexander... Co ty zrobisz? Co ty najlepszego zrobisz?

Nagle promień nerwowo przesuwanej latarki zatrzymał się na wielkim brzuchu sierżanta. Za pasek jego spodni zatknięta była pojedyncza kartka w kratkę. Sprawiała wrażenie, jakby została pośpiesznie i nerwowo wyrwana z zeszytu. Połowę kartki Gibbs — bo czy mógłby to być ktoś inny? — zatknął za pasek od spodni. Druga połowa wisiała swobodnie, zasłaniając klamrę od paska u spodni. Marek podszedł bliżej. Pozwolił, by rozbiegane nerwowo oczy nieco się uspokoiły, a przerażony wzrok nabrał nieco ostrości.

— Status quo nieaktualne. — zaczął literować. — Naprawdę była tylko jedna kopia. Wygrałem, Camberley, ty biały rasistowski fiucie! Teraz nie liczy się już nic. Teraz i tak wszyscy umrzemy!

— Co to ma znaczyć, do kurwy nędzy? — zawołał.

Odszedł z powrotem pod drzwi wejściowe i przyjrzał się uważnie trupowi. Wyobrażał sobie, że nie widzi oczu, które wyszły z orbit. Ani granatowego języka wywalonego z rozdziawionych w śmiertelnym grymasie ust. Wmawiał sobie, że Gibbs, choć mimo wszystko martwy, ma twarz i minę, jaką miał dziadek w trumnie. Jakby spał. Tak... to przynosiło ulgę. Wiedział jednak, że nie na długo. Wiedział, że wyobrażenie to wywietrzeje mu z głowy, wyparte stamtąd galopującą konnicą paniki i przerażenia. Prędzej, niż się tego spo-

dziewał. Wiedział, że szybko zapamiętać tę wizję, którą sam sobie wmawiał. Nie było żadnego wywalonego języka. Nie było wytrzeszczu oczu. W zasadzie nie było żadnego trupa. Był za to jedyny sposób, by w to, co sobie wmawiał, uwierzyć na długo.

— Tam! — powiedział na głos, kierując latarkę w tamtą stronę.

Pracował w sklepie Gibbsa na tyle długo, że doskonale znał rozkład zaplecza i dobrze wiedział, gdzie Murzyn trzyma... trzymał każdy towar. Gibbs zostawiał go samego czasem na kilka godzin, Marek zaś rozumiał, że aby interes kwitł, nie można pozwolić, by amerykański klient czekał zbyt długo. Amerykański klient był z innej bajki i nieznane były mu wielogodzinne, a czasem nawet wielokilometrowe kolejki do sklepów. Te, które były codziennością ówczesnych Polaków. Amerykański klient musiał być obsłużony błyskawicznie. By było to możliwe, Marek musiał znać rozkład sklepu i zaplecza na pamięć i doskonale. Wiedział więc, gdzie leży każdy towar, nawet ten, który przeznaczony był wyłącznie dla ściśle wyselekcjonowanych klientów. Takich, jak on.

Znalazł porcję trawki dokładnie tam, gdzie spodziewał się ją odnaleźć. Bibułka, zapalniczka i kilka paczek zapalek były tuż obok. Popielniczka również. Wyglądała na nieopróżnioną od dłuższego czasu. Marek ocenił więc, że Gibbs też dość często musiał popalać.

Drżącymi rękami skręcił skręta, włożył go w usta i przypalił.

Zaciągnął się głębokim haustem w nadziei, że przyniesie to mu tak upragnioną ulgę. Ku swojemu zaskoczeniu odkrył, że jest to ten sam gatunek narkotyku, jaki palił godzinę lub dwie wcześniej. Takiej samej jakości. I tak samo mocny... Wystarczyło tylko kilka głębokich zaciągnięć, by narkotyk — zmieszany tym razem z adrenaliną i pędzony wysokim ciśnieniem krwi oraz galopującym tętnem Marka

— uderzył w mózg. W ostatnim przebłysku świadomości Marek zdziwił się nawet, że faza i odlot przyszły tym razem tak szybko.

— A babusia mówiła tyle razy... — zachichotał sam do siebie.

— Nie pal trawy, gdy pali ci się dupa! Bo to mieszanka wybuchowa...

Nie posłuchał babci tym razem.

Osunął się plecami po ścianie i wylądował na ziemi na jakimś wielkim parcianym lub jutowym worku. Ten sygnał — chropowate odczucie na skórze — jego zmysł dotyku potrafił jeszcze zarejestrować, a jego mózg był jeszcze w stanie jeszcze go zinterpretować. Work zawierał sporą ilość jakichś twardych przedmiotów, pewnie metalowych puszek. Może jakieś konserwy. Tego, że boleśnie wpijają mu się one w plecy, już jednak jego mózg nie odebrał. Umysł Marka stończył się w szalony taniec i wściekle kolorowe iluzje.

8

26 kwietnia 1986 roku, 12:45

Odjechał na całe dwie godziny, choć dla niego samego było to raptem kilkanaście minut.

— Upaliłem się, jak nigdy w życiu — rzekł sam do siebie, po czym roześmiał się głośnym i histerycznym śmiechem, aż echo poniosło po relatywnie niewielkiej przestrzeni zaplecza sklepu.

Potem przestało być tak zabawnie.

— O... k... kurwa! — stęknął. — Jezu! Ale jestem głodny!

Po czym ponownie z jego ust wydobył się śmiech hieny.

Czuł niewyobrażalny wprost głód. W krótkim przebłysku świadomych wspomnień przypomniał sobie, że po paleniu w trawie, i później błyskawicznej jeździe rowerem do sklepu, nie jadł u Gibbsa praktycznie nic. Teraz zaś wypalił kolejną sporą porcję. Mimo, że

mineło ledwie mineło południe — o czym Marek w tym stanie nie miał pojęcia — a zdążył w tym czasie wypalić znacznie więcej trawki, niż kiedykolwiek w życiu w ciągu jednego dnia. Znacznie więcej i o nieporównywalnie większej jakości, czystości i mocy. Zawsze po paleniu czuł głód, ale wcześniej to było nic. Teraz miał wrażenie, że za chwilę zeżre się sam od środka. Czuł się tak, jakby jego żołądek był pustym workiem, wywróconym na drugą stronę. Miał wrażenie, że gotów by był gryźć betonowe cegły, których użyto kilkanaście miesięcy temu do zaślepienia okien. Albo drewnianych desek użytych jako półek na licznych stojakach magazynowych na zapleczu sklepu Gibbsa. Na szczęście aż takie skrajności nie były konieczne.

— Krakus! — wrzasnął Marek, aż echo poniosło.

Z punktu widzenia personelu bazy wojskowej, sklep sierżanta dostarczał towary w dwóch grupach. Pierwszą z nich były produkty zwyczajowo na rynku polskim niedostępne. Dla pracujących w bazie Polaków oznaczało to ogromny wachlarz produktów, w którego środku znajdowały się między innymi papierosy Marlboro. Dla Amerykanów — trawkę, dobrą gatunkowo Whisky i parę innych produktów, bez których typowy amerykański patriota żadną miarą obejść się nie mógł. A których w komunistycznej Polsce szukać było próżno. Takie produkty Gibbs miał w niewielkich ilościach.

Drugą grupę stanowiły towary dostępne na peerelowskim rynku, ale w ograniczonych ilościach lub bardzo drogie dla przeciętnego Polaka. Tych Gibbs sprowadzał sporo, a oferował je po nieco rozsądniejszych cenach. Dla Amerykanów oznaczało to na przykład polskie piwo — wielu z nich twierdziło, że nawet to komunistyczne smakowało im lepiej niż amerykańskie. Dla polskich bywalców sklepu Gibbsa towarem takim była na przykład szynka Krakus. Towar do-

stępny w przeciętnym polskim sklepie, ale traktowany jako luksusowy. Dostępny w takich ilościach i przy takich cenach, że typowa polska rodzina mogła kupić ją sobie co najwyżej trzy lub cztery razy w roku. Tę niszę również zapełniał Gibbs. Tego rodzaju towary można było kupić u niego częściej i taniej.

— Krakus! — powtórzył głośno Marek. — Szynka! Szyneczka...

Wstał z miejsca, na którym przemedytował dwie ostatnie godziny — choć nie zdawał sobie sprawy z faktu, że upłynęło aż tyle czasu. Z początku czuł się niepewnie, stojąc na chwiejnych nogach, zaś jego kroki były wolne i chwiejne. Po pewnym czasie udało mu się na powrót pewność kroku i jaką taką szybkość oraz zwinność chodzenia. Wówczas wprost rzucił się w stronę półki, na której Alexander Gibbs trzymał spore zapasy szynki konserwowej „Krakus”. Nie tylko była smaczna — choć w obecnym stanie Marek prawdopodobnie zżarłby nawet psie gówno, żeby tylko zapełnić niemiłosiernie ssącą próżnię swego żołądka. Było jej przy tym dużo i jeszcze była pakowana w te słynne puszki, z kluczykiem do otwierania z tyłu.

— Pierdolić wszystkie otwieracze puszek świata! — wrzasnął.

Szynki pakowane były w półkilogramowe puszki. Głód męczył go tak straszny, że ledwie kilku minut potrzebował, by zjeść zawartość dwóch puszek, dosłownie rwąc kawały mielonego mięsa zakrzywionymi palcami oraz używając kluczyka-otwieracza w charakterze szpikulca do nadziewania. W parę minut w jego żołądku, przed chwilą zupełnie pustym i ściśniętym, znalazł się prawie kilogram mielonej wieprzowiny. Na reakcję nie trzeba było zbyt długo czekać.

— Bleeeee... — zwymiotował prawie wszystko, robiąc przy tym zdziwioną i nieco zaskoczoną minę. — Bleeeee...

Jego żołądek na powrót był prawie zupełnie pusty. Lecz torsje oraz fontanna wymiocin, która chlusnęła mu z ust, pozbawiły go apetytu i na chwilę pozwoliły zapomnieć o głodzie.

Uświadomił sobie, że przed posiłkiem — o ile to zachłanne żarcie w ogóle można było tak nazwać — latarkę odstawił na półkę obok. Otarł zatłuszczone palce o spodnie, ponownie chwycił latarkę za trzonek i powiódł snopem światła po całym pomieszczeniu.

Gdy po raz drugi oświetlił dyndającego trupa Gibbsa, nie wpadł już w przerażenie. Przeciwnie, jego pierwszą reakcją było zdziwienie i zastanawianie się. Trybiki w jego głowie kręciły się powoli, gdy przypominał sobie minione wydarzenia i dopasował do siebie rozsypane puzzle wspomnień. Wreszcie, po raz kolejny tego dnia, wybuchnął obłąkańczym i niemalże nieludzkim śmiechem.

Drżąca ręka, prowadząca latarkę, ponownie omiotła pomieszczenie, po czym zatrzymała się. Tym razem snop światła oświetlił przeciwległy kąt zaplecza. Miejsce, gdzie Gibbs trzymał swoją niewielką kolekcję broni. Nie była ona specjalnie imponująca, zwłaszcza jak na amerykańskiego żołnierza. Niemniej, stały tam trzy sztuki regularnie czyszczonej broni oraz kilka pudełek amunicji.

Marek podszedł do ściany i sięgnął po pistolet.

— Walther PP — powiedział półgłosem.

Model z w wersji PPK/S, z magazynkiem na dziesięć naboju. Ale tego Marek — znający pistolety i karabiny praktycznie tylko z filmów amerykańskich — nie miał prawa wiedzieć. Wiedział natomiast, bo rozpoznał to od razu, że wybrał najłżejszą broń w skromnej kolekcji sierżanta. Walther PP ważył tylko trochę ponad pół kilograma — co było istotne dla nastoletniej ręki, niedoświadczonej w strzelaniu. Chodziło głównie o odrzut. Należało zakładać, że będzie do wy-

trzymania, uwzględniając niewielką wagę całej broni. Była szansa, że Marek nie wywichni sobie ramienia ani nie wybije sobie zębów przy pierwszym wystrzale. O ile w ogóle będzie musiał strzelać.

— Ale jak pomyślę o tych skurwysyństwach za drzwiami... — syknął cicho. — ...to chyba bez walenia z gnata się nie obejdzie.

Nie wiedział, czy stalowoszare gigantyczne i całkowicie nieziemskie stwory, żyjące najprawdopodobniej we mgle, są wrażliwe na ludzką broń i amunicję. Nie wiedział też, czy w ogóle odważy się wyjść ze sklepu, czy może będzie czekał w nim tak długo, aż jakakolwiek pomoc przyjdzie doń z zewnątrz.

— Bo ktoś nas musi kurwa uratować, prawda? — spytał w mrok.

Wiedział natomiast jedno. Tamten amerykański szeregowiec, niewiele starszy od niego na dobrą sprawę, wyszedł na zewnątrz. Wyszedł bez broni. I skończyło się to, jak się skończyło.

Przydałaby się jeszcze jakaś amunicja.

— Lufa o średnicy 7,65 mm... — powiedział cicho. — Gibbs mówił coś, że typu .22 Long Rifle...

Szczegóły techniczne wybranego pistoletu, średnica lufy, waga, siła odrzutu, model, typ amunicji... to wszystko pozostawało poza świadomością nastolatka. Powtarzał bezwiednie zasłyszane wcześniej cyfry i wartości, nie rozumiejąc ich znaczenia. Wynikało to po równo ze stanu upojenia narkotykowego, jak i z braku jego wiedzy.

Chłopak doskonale natomiast wiedział jedno. Gdzie znajduje się bezpiecznik pistoletu, do czego owo ustrojstwo służy i jak odbezpieczyć Walthera.

— Kurwa! — wrzasnął Północnik, wyrывая innych z letargu.

— O co ci chodzi, człeku? — spytał Kijas. — Co ryja drzesz?

— Ile tam będą siedzieć? Już chyba z dwie godziny minęły...

— Dokładnie rzecz biorąc... — uzupełnił beznamiętnym tonem Mucha. — ...to prawie trzy.

— No, właśnie... — ciągnął Północnik. — Najpierw Gibbs poleciał, jakby mu dupa płonęła. Chwilę za nim Gekon, jakby jajcami rakiety przytulił i siedzą tam... i siedzą. A może oni se poszli?

— Tam nie ma drugiego wyjścia — rzekł Kijas.

Zapanowała chwila ciszy.

— Dobra! To co robimy, chłopaki? — spytał Północnik.

— Jak to, co? — odezwał się Mucha. — Masz jakieś propozycje?

— No... — spróbował Północnik. — ...idziemy na zaplecze?

— Po co? — w głosie Kijasa nadal nie było grama emocji.

— Po chujów sto! — zdenerwował się tamten. — W kółko to samo. Może pomocy potrzebują? Albo nie wiem... Od dwóch godzin tam są.

— Dokładnie rzecz biorąc... to prawie trzy — rzekł Kijas.

— Zaraz ci pierdolnę! — odparował mu Północnik.

Znowu cisza. Tym razem znacznie dłuższa. Ta sama myśl kiełkowała w głowach chyba całej trójki. Ale nikt nie miał najmniejszej ochoty, aby wypowiedzieć ją na głos. Wreszcie Północnik odezwał się po raz kolejny jako pierwszy, będąc znudzonym milczeniem innych.

— To... — zaczął powoli. — Może wyjdziemy ze sklepu.

Zamiast odpowiedzi Mucha podszedł do niego. W milczeniu spojrzał mu głęboko w oczy. Było to cokolwiek utrudnione, biorąc pod uwagę, że Północnik był „wyższy niż najwyższe drzewa”, a Muchę zawsze nazywano „kurduplem”. Ale udało się.

— Północnik... — rzekł Mucha nauczycielskim tonem.

— Co... co? — spytał tamten niepewnie.

— Sprzedaj mi swoją głowę! Po co ci dwie dupy? — dokończył.

— Weź się odwal, dobrze? — odparował Północnik urażony.

— Mama dawała ci przez przypadek klapsy w głowę za niemowlaka? Czy po prostu jebnięty się urodziłeś? Nie strój mi tu kurwa takich min, dobrze? — nie dał mu odezwać się. — Nie widziałeś, co wylazło z tej mgły? I co to coś zrobiło z amerykańskim szeregowym?

— A, spadaj, głupia dupo... — Północnik machnął ręką. — Tylko sobie tak pomyślałem...

— No, dalej... Oświeć nas... — przerwał mu Mucha tym samym kpiarskim i bezceremonialnym tonem. — Co sobie pomyślałeś?

— No, że... No, że... to może był pojedynczy przypadek.

— Tak? I co w związku z tym? — punktował go nadal Mucha.

— A... spierdalaj! Zamierzasz siedzieć tu w sklepie do śmierci? Tu nawet kibla nie ma, bo Gibbs na siku i kupę latał do swojego mieszkania. A mnie zaraz jaja odpadną, tak mi się łąć chce! Idę!

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, drzwi zaplecza otworzyły się z hukiem, kopnięte z drugiej strony mocnym kopniakiem. Prawdę mówiąc, w pierwszym odruchu był nawet zaskoczony, że mimo ogromnej ilości wypalonego narkotyku, był w stanie wykrzesać aż tyle siły z siebie. To by było jednak na tyle. Kiedy wycelował pistolet Gibbsa na wprost przed siebie, ręce trzęsły mu się jak w febrze.

— Nikt nigdzie nie idzie — rzekł Marek-Gekon lodowato.

— Gekon, ciebie chyba zupełnie poje... — zaczął Północnik, ale zamilkł w pół zdania, gdy spojrział w czerni lufy, wymierzonej teraz w niego.

— Odłóż to, kretynie, zanim zrobisz krzywdę komuś lub sobie — rzekł Kijas tym samym tonem, spokojnym i bezceremonialnym, któ-

rym przed chwilą irytował Północnika i Muchę. — Ujarałeś się po pachy... Oczy ci błyszczą, jak choinka bożonarodzeniowa o północy.

— I co z tego? — odparował Marek i wymierzył w niego.

— Odłóż to... — powtórzył Kijas, wbijając wzrok w podłogę.

Tym razem mówił powoli, dużo ciszej i prawie bez przekonania. Lecz może właśnie ton jego głosu spowodował, że Marek posłuchał go. Nie odłożył pistoletu, ale przynajmniej na chwilę wycelował lufę gdzieś w podłogę. Potem powiódł po nich zimnym wodnistym i pozbawionym emocji wzrokiem. Zatrzymał go na krótką chwilę na Północniku oraz Musze. Wreszcie dotarł twarzy Kijasa. Poczekał, aż ten podniósł oczy, a ich wzrok skrzyżował się.

— Gibbs nie żyje — rzek powoli. — Powiesił się na zapleczu...

10

26 kwietnia 1986 roku, 15:15

Dwie kolejne godziny spędzili w prawie zupełnej ciszy — nikt nie miał najmniejszej ochoty na rozmowę. Nieustannie towarzyszyła im też mgła. Doskonale widoczna tuż za oknami i drzwiami sklepu. Nadal gęsta, jak śmietana kremówka, tak samo niema i jednocześnie przerażająca, jak poprzednio. Dwie godziny spędzone w takich warunkach wyprowadziłoby z równowagi prawdopodobnie nawet truposza, a co dopiero kipiących energią nastolatków.

— Puszczasz już, krecie? — spytał Mucha, patrząc przenikliwie na Marka. — Czy nadal gniecie cię w mózg?

— Dość odważne słowa... — odparł zagadnięty powoli. — Jeśli kierujesz je do kogoś, kto celuje do ciebie z nabitej klamki...

— ...odbezpieczonej przy tym! — dodał po chwili dla pewności.

Nadal, mimo upływu czasu, przerażał ich wszystkich. Patrzył na nich i na wszystko wokół swymi błyszczącymi oczami. Obdarzał ich nienaturalnym uśmiechem, który najbardziej niedomyślnemu zasugerowałby problemy z piątką klepką.

Ta krótka wymiana zdań była jedynym przerywnikiem ciszy. Każdy udawał, że ma coś pilnego do roboty lub coś interesującego do oglądania. Choć tak naprawdę nikt nie robił nic i nie oglądał niczego. Wszyscy za to, z wyjątkiem jednego może Marka, byli przerażeni. Marek na swój sposób też był przerażony. Tylko inaczej niż pozostali. Ich trawiła niepewność następnej chwili. Pytanie o to, co będzie za chwilę. Marka przepełniało przerażenie i rozpacz tego, co na pewno za niedługo nastąpi. Tego, co nieuniknione.

— Kurwa... — zawył Północnik. — Tak się dalej nie da...

— Jakies propozycje, misiu? — spytał Marek.

— Marek... — rzekł tamten. — Nie możemy tu zostać na zawsze.

— Nie możemy — padło w potwierdzeniu. — Więc, co dalej?

— Wiem, że tam są te gigantyczne i przerażające stwory... No, przynajmniej jeden. Wiem, że w tej mgłę jest coś strasznego, co sprawia o ciarki na plecach nawet takich szajbusów, jak my. Coś, co spowodowało, że tłusty czarnuch się powiesił. Ale... ale...

Zamilkł na chwilę szukając właściwych słów. Marek milczał.

— Ale... ale gdyby tak... — ciągnął. — ...obwiązać jedną albo dwie osoby liną... i spróbować przejść przez tą mgłę. Mógłbyś iść pierwszy, skoro masz gnata...

— O tym możesz zapomnieć... — przerwał mu spokojnym głosem Marek. — Jeśli idzie o mnie, to się za Chiny ludowe stąd nie ruszam.

— No, to dobrze... — odparł Północnik, nieco zbity z tropu. — No, to ktoś inny pójdzie. I na pierwszy sygnał kłopotów, na pierwszy

ostrzegawczy krzyk ci, co będą w sklepie, pociągną linę i wciągną tego kogoś do środka...

Markowi pomysł ów wydał się skrajnie idiotyczny. Wręcz irytujący swoją ignorancją. Z drugiej jednak strony, nie mniej irytowała go wizja spędzenia jeszcze paru godzin w ciasnym sklepie, będąc otoczonym marudzącymi, czy płaczącymi wręcz gówniarzami. Miał nieodparte wrażenie, że doskonale wie, jak to wszystko się skończy. W swej narkotykowej wizji widział inną prośbę, którą ktoś zada oraz jakże inne zakończenie. Teraz jednak zaczął powoli przekonywać się do pomysłu wysokiego i chudego jak szczapa Północnika.

— I co by to niby miało dać? — spytał powoli.

— No, znasz przecież rozkład bazy... — tamten błyskawicznie uchwycił się cienia nadziei. — Uliczkę dalej jest posterunek przy bramie wjazdowej... Gibbs ma... miał kurwa... sklep tuż przy murze. By Polacy, przychodzący robić zakupy, nie pałętali się po terenie...

— I co z tego? — spytał ponownie.

— No, jak to, co z tego? Jezu... W stróżówce zawsze ktoś jest. Będzie można spytać, co się dzieje, poprosić o pomoc... Nawet jeśli nikogo tam nie będzie, to jest tam radiotelefon. Jest na baterie. Będzie działał mimo tego, że brak prądu spowodował, iż zwykłe telefony — na przykład ten u Gibbsa, w sklepie — są głuche.

— Acha, i co dalej?

— Spróbuję zadzwonić... gdzieś... po kogoś...

— Ty? — spytał kpiarskim tonem Marek.

— Tak, ja! — odparł tamten hardo, wyprostowując się. — Ja to wymyśliłem, to ja pójdę. Poza tym... jestem z wasz wszystkich najsłabszy. Kijas, jako najsilniejszy z nas, musi odciągnąć drzwi. Mucha, niemniej silny albo trzymać linę, albo iść nawet za mną...

— Idę z toba! — zawołał natychmiast Mucha.

— ...no, a Ty... — ciągnął dalej Północnik, jak gdyby nic.

— No, a ja? — spytał Gekon i znów kpiarsko się uśmiechnął.

— No, a Ty... odciągnąć linę, gdy usłyszysz nasz krzyk.

Marek przez chwilę rozważał pomysł w głowie.

— To szaleństwo, wiecie o tym?

— Tak... pewnie masz rację — odparł chudy nastolatek. — Ale to przynajmniej daje nam jakąś szansę. Zostając tu, w sklepie, mamy zerowe szansę. Nie wiem, jak ty... Nie wiem, jak wy... Ale ja dostaję autentycznego świra od beczynnego patrzenia w tę mgłę. Jeszcze pół godziny patrzenia na nią, a zacznę wyć i łazić po ścianach! Nie wspominając już, że jeśli zaraz się nie odleję, to zleję się w gacie.

Marek nie miał tego problemu. Opróżnił cały pecherz dwie godziny później, na widok Gibbsa na linie. Potem nic już nie pił, tylko pożerał ogromne ilości szynki, którą z resztą za chwilę zwrócił. Mocz na spodniach zdążył już wyschnąć, pozostawiając jednak niezwykle charakterystyczną plamę. Wymiotując, odruchowo wypiął się do tyłu, więc na obranie trysnęły mu tylko niewielkie grudki wymiocin. Jego koledzy w sklepie nie zwrócili jednak najmniejszej uwagi ani na plamę w okolicach krocza, ani na pozostałości zwróconego posiłku. Nawet, jeśli któryś cokolwiek zauważył, to nie śmiał wspomnieć o tym choćby słowem. Rozogniony, roziskrzony wzrok Marka, jego wejście smoka oraz pistolet trzymany w rękę były aż nadto dobrymi argumentami. Niezwykle silnie przemawiały za milczeniem i niezauważaniem takich drobnostek.

— Co inni na to — spytał głośno i popatrzył po wszystkich.

Mucha i Kijas w milczeniu pokiwali głowami z aprobatą.

— Dobra! Niech tak będzie. Myślę, że macie nasrane w papierach. To proszenie się o kłopoty, żeby nie nazwać tego wprost... samobójstwem. Ale skoro uparliście się, to proszę. Moja dupa będzie bezpieczna w sklepie. Zaś wasze nieustanne stękanie i jójczenie zaczynają grać mi na nerwy.

Zrobili dokładnie tak, jak proponował to Północnik.

Marek przyniósł z zaplecza grubą i długą linę. Poszedł po nią sam, reszta była przerażona nawet na myśl o zobaczeniu dyndającego trupa. To się więc akurat dobrze składało, bo mogliby zacząć zadawać niewygodne pytania, gdyby okazało się, że nikogo tam nie ma. Trudno przecież było zobaczyć cokolwiek w tych ciemnościach.

Obwiązali Północnika w pasie. W okolicach jego krzyża, tam gdzie lina przecinała samą siebie, po opleceniu chudego ciała nastolatka, zawiazali mocny marynarski supeł. Potrafi to prawie każde dziecko Kaszub. Węzeł by naprawdę mocny i wytrzymały. Nie było szans, żeby rozwiązał się samoistnie.

— Jak się pojawi niesporczak... — zakpił Kijas, odzyskujący humor na myśli o tym, że coś się zmieni. — ...to cię wpierdoli razem z liną i będzie miał niestrawność.

Dziesięć minut później miał żałować tych słów.

— Weź się, odpierdol, dobrze? — rzekł tamten. — Teraz Mucha!

Muchę obwiązali w identyczny sposób. Z tą różnicą, że ten był mocno umięśniony i gdy dociskali węzeł marynarski, to ze świstem wypuścił powietrze. Zaciskająca się lina mocno ścisnęła jego napięte mięśnie brzucha.

Gdy obaj byli już solidnie obwiązani, pochylili się do przodu, napinając nieco linę. Marek ujął ją zaś mocno w obie dłonie. Całym

ciężarem ciała pochylił się do tyłu, tworząc w ten sposób swoistą przeciwwagę i odciąg zarazem.

Kijas podszedł do drzwi wejściowych. Nie mógł jednak zastosować takiego triku, jakiego wiele godzin wcześniej użył amerykański szeregowiec, bo przeciskanie się przez wąską szparę w drzwiach tym razem nie wchodziło w rachubę. Teraz przez drzwi miało przodem przejść dwóch nastolatków, do tego przywiązanych do siebie liną. Dlatego tym razem konieczne było stworzenie dużo większej szpary między obydwoma taflami drzwi automatycznych. Z tego powodu Kijas stanął z tyłu jednego ze skrzydeł. Wytarł spocone dłonie i mocnym uchwytem przyłożył je do tafli szkła. Paznokcie przytknął do gumowej uszczelki, otaczającej z zewnątrz oba skrzydła drzwi.

Na dany przez niego Marka znak, zaczął odciągać do tyłu jedno ze skrzydeł przesuwanych szklanych drzwi. Dzięki zamontowanemu ponad nimi mechanizmowi różnicowemu, drugie skrzydło również zaczęło się powoli rozsuwać. Kijas pocił się i stękał. Mimo tego, że zanik napięcia zwolnił hamulec zupełnie, ciężkie szklane drzwi stanowiły nie lada problem dla nastolatka. W końcu jednak udało się rozsunąć je na tyle, że Północnik i Mucha, obwiązani liną, mogli swobodnie wyjść na zewnątrz.

— Jazda! — krzyknął Marek i zaczął powoli popuszczać linę.

Mgła była tak gęsta i tak wściekle biała, że bardziej przypominała plastikową lub gąbczastą zasłonę. Wystarczyło tylko kilkanaście sekund, kilka ostrożnych ruchów, by widok Północnika zmienił się w z trudem dostrzegalny zarys, a potem zniknął zupełnie. Kroczący za nim Mucha również stał się ledwie zarysem sylwetki.

W tej samej chwili usłyszeli dźwięk podobny do charkotu wydawanego przez ruszający autobus przegubowy. Niski, niemalże ba-

sowy, dudniący przy tym i warkoczący ryk, kubek w kubek przypominający dźwięk gazującego diesla. Dźwięk ten został jednak szybko zagłuszony przez przeraźliwy wrzask Północnika. Mucha, który znajdował się ledwie metr od tamtego, niczego nie dostrzegając, poza majaczącymi w gęstej mgle zarysami i wściekle tańczącymi cieniami. Mimo to, również zaczął wrzeszczeć, przerażony krzykiem poprzedzającego go kolegi oraz szalonym płasem liny, do której sam był przywiązany. Jakby na komendę, wrzeszczeć zaczęli również pozostali w sklepie Kijas i Marek.

Wrzask całej czwórki trwał jednak może kilka sekund. Tyle tylko, ile trwał ów straszny warkot dochodzący gdzieś z niewielkiej odległości. Dźwięk, który usłyszeli potem spowodował, że krew zmroziła się w ich żyłach. Było on łudząco podobny do klangu wydanego przez krzyżujące się szable. Nasłuchali się tych dźwięków dość, podczas seansów z gatunku płaszcza i szpady, które namiętnie oglądali w kinie w Redzie. Niezwykle krótki, szybki jak błyskawica dźwięk metalu ścierającego się o metal. Coś jakby metalowe pazury zaciskały się na czymś. Lub może stalowe zęby ścierały się o siebie. Dźwięk ów był jeszcze krótszy niż poprzedzający go charkot. Gdy tylko przebrzmiał, zorientowali się, że wrzask Północnika również ustał. Wrzask Muchy przeszedł za to w rejestry historii.

Marek, odrętwiały i sparaliżowany błyskawicznie następującymi po sobie wydarzeniami, ocknął się pierwszy. Zaczął z najwyższym wysiłkiem ciągnąć linę rękami drżącymi z wysiłku. Przez oczy nabiegłe krwią jego wzrok skrzyżował się ze spojrzeniem Kijasa. Marek odgadł w nim, że tamten w ataku szalonego strachu zamierza puścić drzwi. By podbiec do niego i pomóc mu z liną.

— Trzymaj... te... kurewskie drzwi! — wysyczał przez zaciśnięte z wysiłku zęby. — Nie puść ich, choćby nie wiem, co.

— Sam... nie dasz radę — Kijas również walczył z wysiłkiem.

— Jak puścisz... to się zamkną... Zaklinują linę... I nawet we dwójkę nie damy radę. Trzymaj... te zasrane drzwi... do kurwy nędzy!

Lina stawiała tak znaczny opór, bo jeden nastolatek próbował wciągnąć przywiązanych do niej dwóch dość roślących chłopaków. Przynajmniej tak mu się wtedy wydawało. Przynajmniej taką miał nadzieję. Faktycznie zaś — czego Marek i Kijas nigdy nie mieli się dowiedzieć — na tę krótką chwilę był to już jeden tylko Mucha. Który doznał szoku, skamieniał i wrósł w ziemię. Jedynie, co był w stanie robić w tej chwili to wrzeszczeć w niebogłosey i stawiać tak nie-miłosierny opór, jakby linę po drugiej stronie ciągnęły dwie osoby.

To nie trwało jednak zbyt długo.

Jak w jakimś przerażającym horrorze, oba dźwięki powtórzyły się. Najpierw ni to warkot silnika, ni charkot dławiącego się zwierza. Po nim — metaliczne i wywołujące ciarki na plecach skrzyżowanie się kling. Jeden, niezwykle krótki metaliczny dźwięk. Po nim cisza. Całkowita, bo sopranowy wrzask Muchy ustał, jak ręką odjął.

W tej samej chwili opór znikł zupełnie, a lina puściła.

— Kuuurrrwaaa! — wrzasnął zaskoczony Marek i padł na plecy.

Zamiast dwójki nastolatków, przywiązanych jeszcze przed chwilą przy pomocy silnego marynarskiego węzła, zobaczyli ciągnącą się po podłodze, zwiotczałą i zakrwawioną linę.

— Jezus, Maria! — krzyknął Kijas i zsikał się w spodnie.

Wrażenie wywołane odkryciem pozbawiło go resztek sił. Puścił trzymane przez siebie skrzydło drzwi i pacnął plackiem na podłogę.

26 kwietnia 1986 roku, 17:22

Kijas nie zorientował się, w którym momencie Marek zaczął ponownie palić. Więcej, nie zarejestrował nawet faktu jego ponownego wyjścia na zaplecze, gdzie Gibbs trzymał z pewnością towar. Był zbyt odrętwiały, przerażony i przybity. Pół dnia, a on był świadkiem lub usłyszał o śmierci czterech osób. Dwóch kolegów, jakiegoś żołnierza i czwartą — sierżanta Gibbsa. Rozmazanym i nieostrym spojrzeniem dostrzegł jedynie ruch ręki Marka, wyciągającej w jego stronę skręta. Ze złowieszczym punkcikiem żaru na czubku, tak wyraźnie widocznym w zapadającym już zmierzchu owego kwietniowego popołudnia. Powolnym ruchem dłoni, jakby pływając w kisielu lub odpłynął bardzo daleko z myślami, odmachnął tylko z rezygnacją.

Bycie świadkiem naocznym świadkiem czyjejs śmierci jest wrażeniem nieporównywalnym do niczego. Zostawia wyrwę w psychice na całe życie. Nic już potem nie wygląda tak samo. Co zaś dopiero mówić o nastolatkach? Nieopierzeni, z kształtującą się ciągle psychiką, są świadkami śmierci czterech osób. Z których aż troje było ich znajomymi. Kijas był przekonany, że cokolwiek wydarzy się dalej, ich życie nie będzie już nigdy takie, jak było do tej pory. Nawet jeśli jakimś cudem wyjdą z tej opresji, ktoś ich uratuje, a wszystko zakończy się dobrze... Nawet wtedy będą zmuszeni nosić bagaż tych wydarzeń do końca życia.

— Dość tego! — głos Marka dotarł do niego jakby z odległości.

— Co? — wyszeptał powoli?

— Powiedziałem... dość tego!

Głos był pierwszy. I nadal docierał do jego umysłu ze znacznej odległości. Jakby przez zasłone mgły — choć porównanie to był dla

Kijasa zarówno zabawne, jaki przerażające. Dopiero potem do umysłu dotarł obraz. Marek gasi skręta, dopalonego chwilę wcześniej prawie do końca, rozcierając go o blat lady sklepowej. Potem bierze do ręki pistolet...

— To nie będzie bolało... — rzekł tamten, celując mu w czoło.

— Co... co ty? — krzyknął Kijas, zrywając się błyskawicznym ruchem z podłogi, z rozszerzonymi ze strachu i przejęcia oczami.

— Czas to przerwać. Zrozum... to koniec! Nie możemy stąd wyjść. Bo skończymy, jak ta trójka. Nie możemy tu pozostać, bo ześwirujemy. Nikt po nas nie przyjdzie, nikt nas nie uratuje. Gdzie wojsko? Gdzie policja? Przecież to jest jebana baza wojskowa! Gdzie oni wszyscy są, co zabiera im tyle czasu? Kurwa... Trzeba to skończyć... Szybko...

— Co chcesz zrobić?

— Najpierw zabiję ciebie, potem strzelę sobie w łeb.

— Nie... — chciał powiedzieć Kijas, ale z wrażenia udało mu się jedynie szeroko otworzyć usta, jak ryba, i wypuścić powietrze.

Marek przekrzywił nieco głowę, patrząc na niego jeszcze bardziej błyszczącymi i przez to jeszcze bardziej przerażającymi oczami. Potem uśmiechnął brzydtko.

— To nie będzie bolało... A jeśli już, to tylko krótka chwilkę.

Kijas chciał powiedzieć, żeby Marek strzelił sobie sam w łeb, jeśli chce. Jego zostawił w spokoju. On poczeka. Niech sobie w dupę wsadzi takie rozwiązanie. Najmniejsza nadzieja lepsza od jej braku. Trzeba przetrwać za wszelką cenę. Wybór jest i zawsze będzie lepszy od jego braku. Jasne, że potem może być bardzo źle, bardzo gównianie. Ale może być też całkiem dobrze. Lub po prostu... zwyczajnie. Ale zawsze jest szansa. Plus albo minus. A tak? Nic... Koniec i pustka.

To wszystko Kijas chciał powiedzieć Markowi i wszystkie te myśli błyskawicznie przeleciały mu przez głowę.

Ale nie zdążył...

Wszystko wydarzyło się dosłownie w ułamkach sekundy. Nie tak, jak na amerykańskim filmie, tylko naprawdę. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że Markowi zlało się to niemalże w jedno.

Najpierw Kijas padł na podłogę, przewrócony podmuchem eksplozji i przygnieciony wysadzonymi w powietrze drzwiami wejściowymi. Potem przez te drzwi wpadła dwójka rosłych typów. Bez zadawania pytań — bez wdawania się w znaną z amerykańskich filmów idiotyczną pogaduszkę moralizatorską — obaj mężczyźni wymierzili do Marka i jednocześnie nacisnęli spusty.

Umysł Marka zarejestrował jeszcze jedynie plamki światła, pochodzące z ich celowników laserowych. Tak podobne do punkcika żaru skręta, który tyle razy widział w lustrze. Najbardziej lubił palić w pustym mieszkaniu, w ciemnościach. Punkciki maznęły ledwie siatkówki oczu i błyskawicznie przesunęły się w górę, w stronę czoła. Potem zapanowała zupełna ciemność.

Miał rację. To bolało tylko krótką chwilę. Potem już nie.

To był ostatni widok, jaki Marek zwany Gekonem widział w życiu i na świecie. Przynajmniej w tym życiu i na tym świecie...

26 kwietnia 1986 roku, 17:32

Wzrok obu mężczyzn machinalnie powędrował w dół, gdy obserwowali trupa Marka osuwającego się na ziemię. Równie mechanicznym ruchem schowali swoje pistolety do kabur.

Było ich dwóch. Młodszy, chudy jak szczapa i niezwykle wysoki. Oraz znacznie starszy. Niski, przysadzisty i gruby. Zaskakująco podobni do Flipa i Flapa oraz wielu podobnych par w historii kina. Choć pod względem wzrostu stanowili ich przeciwieństwo. „Oryginalny” Flip był niewysoki i chudy, zaś Flap — wysoki i gruby.

Chudszy podszedł do drzwi przygniatających Kijasa i schylił się, by je podnieść. Drzwi były dość masywne i swoje ważyły. Nie były jednak na tyle ciężkie, by zrobić przywalonemu nimi nastolatkowi jakąś poważniejszą krzywdę. Młodszy policjant musiał użyć obu rąk. Trochę przy tym stękając, udało mu się unieść je na pół metra. Tyle wystarczyło, by Kijas wpełzł spod nich.

— Jesteś cały, chłopaku? — spytał chudy policjant Kijasa.

— Tak... chyba tak — odrzekł tamten, wstając i otrzepując się.
— Stałem tyłem, oberwałem w plecy, ale drzwi nie stłukły się, więc pewnie będę miał tylko siniaki na plecach.

— Świetnie! Mógłbyś więc siaść gdzieś... o tam... — rzekł grubas, wskazując krzesło w kącie. — I opowiedzieć nam, co tu się wydarzyło? Powoli i krok po kroku, jeśli można prosić.

— Chyba tak...

Kijas popatrzył smętym wzrokiem po sobie. Był zmęczony, pobijany i nieco zakurzony. Machinalnym ruchem otrzepał jeszcze raz spodnie i wygładził ich nogawki. W krótkim odstępie czasu stał się świadkiem śmierci kilku bliskich sobie osób. Lecz mimo to nie był przerażony. Nie odczuwał nawet strachu, jego ciśnienie zaś nie wykraczało chyba specjalnie poza normę ustaloną dla jego wieku. Gdy wzrok Kijasa zatrzymał się na podłodze i gdy zobaczył on ciało Marka, jego umysł zareagował wyparciem. To się nie może dziać naprawdę. To się nigdy nie wydarzyło...

Ruszył powolnym ruchem w stronę krzesła wskazanego przez starszego grubszego mężczyznę, którego postanowił nazywać w myślach Flapem. Zrobił najpierw mniejszy krok, przekraczając ciało Marka, później zaś znacznie większy, aby minąć grube cielsko sierżanta Gibbsa. Usiadł na krześle w rogu, w wyprostowanej pozycji.

— Przyszliśmy we trójkę do sklepu sierżanta Gibbsa wczesnym przedpołudniem, bo tak umówiliśmy się z Markiem. W środku był już jakiś amerykański żołnierz. Robił zakupy. Marek go obsługiwał, bo Gibbs miał sporo roboty papierkowej na zapleczu. Tak nam przynajmniej Marek powiedział... Marek w ogóle zachowywał się trochę dziwnie, choć nie umiem powiedzieć, o co dokładnie chodziło. Trochę błyszczały mu oczy, więc pewnie przypalił coś z rana. Trochę drżały mu ręce, dowcipkował mało śmiesznymi dowcipami. Ale poza tym wszystko wydawało się być OK. Przyszedł klient i ten go obsłużył.

— Tak... — rzekł chudy policjant. — I co dalej?

— No, potem pojawiła się ta dziwna nieco mgła...

— Co w niej było dziwnego? — spytał Flap.

— W zasadzie to chyba nic... — Kijas skierował niewidzący wzrok w prawą górną część prawego oka; tak, jak robią wszyscy odrucho, gdy usiłują sobie coś przypomnieć. — Może tylko tyle, że była bardzo gęsta. No, i pojawiła się wyjątkowo szybko. Prawie nagle.

— Czy w zachowaniu kolegi coś się zmieniło? — pytanie ponownie zadał grubszy policjant; pytali Kijasa na zmianę.

— Do tego miejsca chyba nie. Żołnierz... chyba starszy szeregowy... skończył zakupy, zapłacił i wyszedł. Dopiero, gdy tamten wszedł we mgłę...

— Tak?

— Wtedy Gekonowi zupełnie odbiło — dokończył smutno Kijas.

— Gekonowi? — spytał Flap.

— To pseudonim Marka — Kijas uśmiechnął się krzywo. — Każdy z nas je ma... Miał... — poprawił się i posmutniał. — Ja jestem Kijas. Był jeszcze z nami Północnik i Mucha.

— Dobrze, Kijasie... — tym razem chudy i wysoki Flip. — Co zmieniło się w zachowaniu kolegi i czemu uważasz, że zwariował?

Marek, gdy zobaczył sylwetkę żołnierza znikającą we mgle, wpadł w prawdziwy szal. Wrzasnął coś niezrozumiałego. Potem pobiegł na zaplecze. Po paru, może kilkunastu minutach usłyszeli dochodzące z zaplecza odgłosy kłótni, coraz głośniejsze. W pewnej chwili za drzwiami magazynu padł strzał...

— Musiało was to wystraszyć — stwierdził chudy policjant.

— Wystraszyć? — Kijas skrzywił się. — Byliśmy przerażeni!

— Weszliście na zaplecze?

— Nie! Żaden z naszej trójki nie miał odwagi, by nawet coś takiego zaproponować. To było milczące porozumienie, by czekać, co będzie dalej. Nie mieliśmy pojęcia, kto strzelał i do kogo. Ale żaden z nas nie miał zamiaru być następnym celem...

— Rozumiem — rzekł sucho grubas. — Co potem?

Strzały padły po kilku lub kilkunastu minutach, odkąd Marek wybiegł na zaplecze. Ale nie wychodził stamtąd przez kolejne kilka godzin. Najpierw, przez jakieś dwie godziny, z zaplecza nie dochodziły żadne dźwięki. Potem coś zaczęło się dziać. Przez drzwi usłyszeli coś, jakby odgłos pustej metalowej puszki, spadającej na podłogę. Potem drugiej. Chwilę potem — dźwięki z pewnością towarzyszące wymiotowaniu. Niedługo potem Marek wybiegł z powrotem.

— Nie wyjaśnił nam nic — Kijas ciągnął swoją opowieść.

Nie powiedział nam ani słowa na temat tego, co wydarzyło się w magazynie. Zaczął natomiast miotać się po sklepie. Co chwilę celując przy tym z pistoletu to do jednego, to do drugiego.

— Co było dalej? — spytał grubas.

— No, jak już przestał głądzić, to myśmy zaczęli.

— To znaczy? — spytał chudy.

Zaczęli przekonywać go, żeby odłożył broń i wypuścił wszystkich. Lub choć część z nich. Mówili wszyscy we trójkę, na zmianę, prawie nie dając mu dojść do głosu. To albo go przekonało lub chociaż zirytowało do tego stopnia, że machnął w końcu ręką i pozwolił, by Mucha i Północnik wyszli ze sklepu. Tylko jemu, Kijasowi, kazał zostać z nim.

— Skąd wzięliście linę? — spytał Flip.

— Jaka linę, proszę pana?

— Mojemu koledze coś się pomyliło... — wszedł zaraz w zdanie gruby policjant, nie dając chudemu odezwać się. Potem spojrzał na tamtego morderczym spojrzeniem, a Kijas to zauważył.

— Czyli tak po prostu obaj wyszli, tak? — spytał chudy, umiejętnie unikając wzroku grubego.

— Tak, proszę pana.

— I nie było żadnych problemów z drzwiami?

— A czemu miałyby niby być?

— Myślałem, że w sklepie nie ma prądu, a drzwi są elektryczne... — zaczął młody chudy policjant, ale przerwał stropiony wzrokiem starszego i grubszego.

— Tak, ma pan rację, to są drzwi elektryczne... — zaczął Kijas, coraz bardziej zdziwiony. — Ale przecież prąd jest cały czas.

— Tak, tak! — Grubas ponownie chciał go zagadać. — Co dalej?

— Gdy tylko Północnik i Mucha wyszli ze sklepu, Gekon znowu wpadł w jakiś trans albo szal.

Marek coś tam bełkotał, ciągle krzyczał, płakał nawet, miotał się po sklepie. Ale wtedy z tego jego potoku słów nie dało się już nic sensownego zrozumieć. Na koniec usiadł i zaczął palić kolejnego skręta. Kijas nie miał nawet pojęcia, skąd go wziął.

Potem nie było już nic. Nagle Marek wstał, wymierzył w Kijasa pistolet i powiedział, że go zabije, a potem sam strzelił sobie w łeb. Nastolatek był przerażony. Próbował coś mówić, coś zrobić. Ale nie zdążył. Usłyszał huk za sobą, a po mniej niż sekundzie poczuł ciężar przygniatających go drzwi. Potem chyba pojawili się oni, policjanci, choć Kijas niczego nie widział. Usłyszał dwa wystrzały z pistoletu, więc ze strachu wolał się nie ruszać. Następnie ów chudy policjant — ten, którego potem w myślach nazywał Flipem — podniósł drzwi, spod których Kijas wpełzł i... tyle.

— Tak... — rzekł krótko i sucho gruby policjant, Flap.

— Trudno uwierzyć, że pod wpływem narkotyków wyobraził sobie to wszystko, prawda? — spytał chudy.

— Co, proszę? — spytał Kijas nieco zaskoczony.

— Realny świat Marka przestał istnieć w momencie, w którym wstał z pola, po pierwszym mocnym paleniu... — dokończył grubas tak, jakby niedosłyszał pytania Kijasa.

Ciszę, która zapanowała, przerwał chudy Flip.

— No, nic... najważniejsze, że nic takiego ci się nie stało.

— Tak... — rzekł powoli Kijas.

— Twoim kolegom też nic nie dolega. Ci dwaj... nazwałeś ich...

— Północnik i Mucha?

— Tak... — ciągnął chudy i wysoki policjant. — Gdy tylko udało im się przekonać Marka, żeby ich wypuścić, natychmiast przebiegli przez mgłę i zawiadomili nas. Byliśmy akurat w stróżówce, niedaleko sklepu sierżanta Gibbsa. Przybiegli zdyszani, przerażeni. Krzyczeli, że ich kolega oszalał, że chyba zupełnie bez powodu zastrzelił na ich oczach sierżanta Aleksandra Gibbsa, a teraz grozi bronią też ich koledze. To znaczy, chyba tobie.

— Tak, na to wygląda — potwierdził smutno Kijas.

— Dlatego... — wyjaśnienia kontynuował przysadzisty grubas. — ...od razu wiedzieliśmy, że sprawa jest poważna i nie ma miejsca na półśrodki. Wiadomo, że gówniarzom... o, przepraszam cię... nastolatkom potrafią strzelić do głowy najbardziej szalone pomysły. To też pierwszą naszą myślą było, że to jeden wielki zgryw. Ale wystarczyło popatrzeć na ich twarze, na ich drżące ręce, na ich rozbiegany niemalże szalony wzrok, aby natychmiast uwierzyć, że ich przerażenie jest autentyczne, a to wszystko dzieje się naprawdę...

— Tak, chłopaku... — potwierdził chudy. — Ale to już koniec. Jesteś wolny. Możesz już iść na zewnątrz.

— Dobrze.

— Jeśli potrzebujesz jakiejś pomocy medycznej... — rzekł powoli Flap. — ...to po wyjściu skreć w lewo i po kilkunastu krokach powinieneś zobaczyć neon punktu medyczno-opatrunkowego.

— Rozumiem...

— Jeśli nic ci nie dolega, to skreć raczej w prawo. Zaraz po paru krokach dotrzesz do stróżówki. Zostaw tam swój adres, proszę.

— Dobrze, proszę pana. Do widzenia...

Część III

„Podłączonym do Grid możemy wmówić, że wszystko, co ich otacza — wszystko, co widzą, czują i przeżywają — to ich świat. Ten, w którym się urodzili i w którym żyją. Możemy wykreować dla nich świat wraz z całą jego historią. Towarzyszy, przyjaciół... matki, żony i kochanki... I możemy to zrobić w tak doskonały sposób, że nigdy nie odkryją różnicy. Nigdy nie zatęsknią do tego, co nazywasz rzeczywistością. Będą przekonani, że nigdy nie znali innego świata. Innego życia...”

Gerald P. Fitzroy, baagle.com

1

— Możesz mi łaskawie wytłumaczyć, co to było? — spytał lodowatym głosem Gerald, jeszcze przed sekundą nazywany przez Kijasa Flapem. — Co ty odpierdalasz?

Gerald P. Fitzroy, główny programista baagle.com, twórca projektu Grid, nienawidził ludzi. Wszystkich i bez wyjątku. Toteż zawsze — gdy pytał, odpowiadał lub w ogóle odzywał się — robił to lodowatym głosem. Albo w sposób wyrażający pogardę, kpinę, złość lub

właśnie — nienawiść. Dysponował niezwykle plastycznym i rozbudowanym wachlarzem uczuć oraz emocji, które potrafił przekazywać głosem. Niestety, przynajmniej dla jego rozmówców, były one wyłącznie negatywne. Poza tym, Fitzroy przeklinał. Zawsze, często i niezależnie od sytuacji lub nastroju.

— Taaak... No, więc... trochę zmieniłem scenariusz. I tyle...

Sebastian Schwarzmüller, główny zastępca Fitzroya i de facto jedyna z niewielu osób tolerowanych przez niego, był skrajnym przeciwieństwem swego przełożonego. Różnił się od niego tak bardzo i pod tak wieloma względami, jak Flip różnił się od Flapa. Starzał się być pogodny w możliwie każdej sytuacji, przeklinał jak najmniej i ogólnie był pozytywną osobą.

W baagle.com pracował od kilku miesięcy, zaś Grid był jedynym projektem, do którego został przydzielony. Ze względu na krótki staż, nadal nie wiedział zbyt wiele o samym projekcie. Zadawał więc masę trywialnych czasem pytań, czym doprowadzał Geralda do granic wytrzymałości. Lub czasem nawet poza nie.

— Zrób tak następnym razem... To obiecuję ci, że urwę ci jaja.

— Gerald, wyluzuj...

Fitzroy tolerował Sebastiana, ale do pewnych granic. Po ich przekroczeniu, a często nawet i bez powodu, kpił z niego, obrzucał go najbardziej wyszukаныmi przekleństwami i robił przy tym jeszcze wiele rzeczy, by tylko zetrzeć uśmiezek z jego twarzy.

Była wszakże jedna rzecz, jeden aspekt Grid, która zawsze budziła u Geralda reakcję podobną do odruchu człowieka przypalanego ogniem. Wynikała ona, co było trudne do wyobrażenia, z... troski.

— Stul pysk, Schwarzmüller! I nie kozacz! To nie świnki morskie. Ani głupawe programiki, z którymi miałeś do czynienia na tym

swoim zasranym doktoracie, rozumiesz? To są żywi ludzie! Podłączeni do najbardziej wyszukanego i rozbudowanego systemu komputerowego, jaki ten zasrany świat kiedykolwiek widział. Jeden niewłaściwy ruch i napieprzysz im w mózgach! Jeden zły krok i zesrasz wszystko! Dociera to do twojej pustej łepetyny, barania dupo?

— Rozumiem, rozumiem... Oj, no daj już spokój, dobrze? Przecież ten świat i tak idzie do wyłączenia.

— I tylko dlatego skończyło się na pyskowie! — zachnął się Gerald. — Gdyby to był świat produkcyjny, to uwierz mi... miałbyś naprawdę kurewskie kłopoty.

Wbrew temu, co w napadzie wściekłości sugerował Fitzroy, Schwarzmüller nie był gówniarzem i zdawał sobie doskonale sprawę z powagi tego, co robią oraz z ryzyka, jakie niesie ze sobą ich praca. Jego zachowanie, tak ostro skrytykowane przed chwilą przez przełożonego, wynikało głównie z nagromadzenia emocji. Dla Sebastiana była to jedna z pierwszych wizyt w programie-świecie, do którego podłączeni byli żywi ludzie. Nie tylko sztuczne boty komputerowe, sterowane przez sztuczną inteligencję Grid albo pracowników baagle.com. Prawdziwi ludzie. Jakim cudem szefostwo baagle.com doprowadziło do podłączenia do Grid żywego człowieka, ba... kilku żywych ludzi, wolał nie pytać. Ale mimo wszystko, emocje wprost rozsadały go. I powodowały niekończący się potok naiwnych, trywialnych, a czasem i zupełnie głupich pytań.

— Rozmawialiśmy po angielsku... tak? Rozumieli nas?

— Sebastian... — rzekł Fitzroy powoli, po chwili milczenia.

— Tak?

— Próbujesz mnie wkurwić, czy to tylko twój styl humoru?

— A możesz do rzeczy, Gerald?

— To jest wirtualny świat, baranie! Wszystko dzieje się w twojej głowie. I w ich głowach. W głowach podłączonych do Grid. Tutaj wszyscy rozumieją i mówią w każdym języku, w jakim im każesz. Nawet jeśli podłączony żywy człowiek nie zna danego języka lub nie wie czegoś, to — w ramach fikcji, w jakiej jest zanurzony — Grid może wmówić mu, że coś rozumie albo coś wie. Grid jest dla podłączonego wszystkim! Jego historia, wiedza, światem... całym jego życiem... Poza tym...

— Poza tym? — podchwycił Schwarzmüller.

Fitzroy uśmiechnął się krzywo, pokazując swoje pożółkłe zęby. Miał nad nim przewagę i korzystał z niej garściami. Miał przewagę nad swoim podwładnym, nad swoimi przełożonymi, nad wszystkimi pracownikami baagle.com... Miał przewagę w ogóle nad wszystkimi na tym zasranym świecie. Bo był socjopata, skrajnie aspołeczną jednostką i przy okazji nienawidził wszystkich. Co zaś najważniejsze — w swojej własnej opinii miał do tego absolutne prawo.

W ryzstoku życia i na śmietniku społeczeństwa, gdzie spędził ostatnie pięć lat życia — zanim został siłą zrekrutowany do baagle.com — jego życie uległo diametralnemu przewartościowaniu. Przestał liczyć się z kimkolwiek. Przestało mu zależeć na czymkolwiek. Stał się zgnuśniałym psychicznym zwyrodnialcem, pozbawionym empatii i uczuć. Lubił dręczyć innych i czerpał z tego okrutną przyjemność. I nie była się przy tym niczego. Ani nikogo.

Wiedział, że nie mogą nic mu zrobić. Stworzył Grid dla baagle.com niemalże od zera. Był jego twórcą. Ojcem-splodzicielem. Wielkim architektem. Przy tym wszystkim nawet stwierdzenie, że Fitzroy jest częścią tego systemu, było niewystarczające.

Gerald P. Fitzroy był systemem. Przynajmniej tak sądził.

— Poza tym... — ciągnął, wyrywając samego siebie z rozmyślań.
— ...Kijas to nie bot, tylko gracz. Ogarniasz różnicę, patałachu?

— Gerald, proszę...

— Gerald, proszę, Gerald, proszę, bo dupę bez majtek noszę! — zakpił tamten. — Zadajesz trywialne pytania, a potem się dziwisz. No, ale dobrze... zobaczymy. O co chciałbyś jeszcze zapytać, mistrzu?

Skłonił się przy tym nisko, na tyle nisko, na ile pozwalała mu jego pięćdziesięcioletnia tusza, w kpiarskim geście służalstwa.

— Pytaj... — wyszeptał na koniec.

Schwarz Müller stracił prawie całą pewność siebie.

— No... — zaczął niepewnie. — Nawet nie zapytał, skąd to wszystko wiemy... No... Kijas. Nie spytał nas, skąd wiemy o paleniu trawki przez Marka i tak dalej. Dla niego byliśmy przecież policjantami, którzy dopiero zaczęli śledztwo...

— A więc jednak nie ogarniasz różnicy — rzekł swym chropowatym głosem Gerald. — I jednak jesteś patałachem.

— Ale...

— Zamilcz, dobry człowieku... — przerwał mu głosem zniżającym się do odległego pomruku zwiastującym burzę.

— Centrala! — krzyknął nagle głośno w powietrze.

— Zgłaszam się, panie Fitzroy — dobiegło znikąd i zewsząd.

— Dajcie mi tu... Kijasa.

— Niemożliwe, panie Fitzroy — padło w odpowiedzi, po krótkiej przerwie. — Bierze udział w trzech innych przedstawieniach.

— Musisz być tu nowy, synku...

Głos Geralda ponownie zaczął zniżać się i zwalniać tempo. Sebastian domyślał się, co to oznacza i do czego prawdopodobnie to doprowadzi, więc odruchowo skulił się i odstąpił o krok.

— ...nie wiesz jeszcze... — ciągnął grubas niewzruszonym tonem. — ...nie powiedzieli ci jeszcze, że jeśli stary Fitzroy o coś grzecznie prosi, to nie ma dla niego rzeczy niemożliwych...

Niestety okazało się, że Sebastian niezbyt dokładnie oszacował nadchodzący wybuch swego szefa. Wrzask, jaki w chwilę później nastąpił, spowodował u niego odruchowe wzdrygnięcie się oraz grymas zaskoczenia pomieszanego z bólem. Tak, jakby bardzo blisko niego, z zupełnego zaskoczenia, jakiś gówniarz odpalił głośną petardę.

Tyrada Fitzroya swoją kwiecistością mogłaby stanąć w szranki z niejednym wierszokleta, zaś zagęszczenie w niej negatywnych emocji i słów doprawdy przerażało. Było tam coś o bezdennej głupocie pomieszanej z ignorancją. Było wyzywanie od „szczyłów”, „ciulów” oraz „głupich kurwa jak but kretynów”. Były sugestie co do tego, że Gerald mógłby być ojcem niewidzialnego cały czas pracownika centrali, ale uprzedził go jamnik na klatce schodowej. Wreszcie na samym końcu znalazły się i niewybredne sugestie, co do dalszych losów biednego praktykanta w baagle.com.

Tamten nie był w stanie lub nie chciał odpowiedzieć w żaden sposób. W chwilę później zaś zmaterializował się przed nimi Kijas.

— Dzień dobry... — Gerald powitał go sztuczną grzecznością.

— Witam, panie Fitzroy.

Sebastian przyglądał mu się z mimo wszystko niemałym zaskoczeniem. Kijas wyglądał identycznie, jak poprzednio, gdy go widzieli, mówił tym samym głosem, a jednak... był jakiś inny. Jego głos brzmiał tak samo, ale sposób mówienia zauważalnie różnił się. Tutaj dominowała w nim jakby większa pewność siebie. Sebastian czuł się, jakby obecnie rozmawiał ze swobodnie zachowującym się aktorem, który jeszcze przed chwilą odgrywał przed nimi swoją rolę.

— Powiedz mi, Kijas... Jak długo z nami już jesteś?

— Niemalże od samego początku projektu, panie Fitzroy.

— Bo widzisz... — odparł tamten powoli. — Obecny tu pan Schwarzmüller jest zatrudniony w baagle.com znacznie krócej niż ty. I ma przez to problemy ze zrozumieniem pewnych fundamentalnych zasad działania projektu Grid, w którym pracuje. Pomożemy mu?

— Oczywiście, panie Fitzroy — odparł Kijas.

Sebastian skrzywił się. Niezwykła grzeczność, wręcz służalczość Geralda nie zwiastowała niczego dobrego. Wprost przeciwnie, już słyszał świst batów, które za chwilę miał dostać. Nie wiedział jedynie, czy oberwie z jednej, czy z obu stron. Czy niezwykle grzeczny ton odpowiedzi Kijasa wynikał ze strachu wobec Fitzroya, będącego bądź co bądź wiele poziomów w hierarchii nad nim, czy może był częścią gry aktorskiej, którą obaj zaplanowali, w celu pogwałcenia bezpośredniego podwładnego Geralda, czyli Sebastiana. To drugie zdecydowanie było w stylu nadętego grubasa.

— Wiesz, co to „Matrix” — spytał go nagle Fitzroy.

— Matrix? — odparł tamten zaskoczony i wyrwany z rozmyślań.

— Film taki kiedyś był. W zasadzie, trylogia. Nakręcili ją jakieś dwadzieścia... może trzydzieści lat temu... Z pewnością go nie oglądałeś... Ciołki, takie jak ty, wolą pakować sobie do łbów samo gówno...

— Gerald, proszę...

— Nie psuj mi dobrej zabawy, Schwarzmüller... No, więc, futurystyczna bajka o tym, że ludzie zostali sprowadzeni do roli biologicznych baterii, których jedynym celem jest dostarczanie energii dla zasilenia doskonałego świata robotów. Żeby zaś im się nie nudziło, to wtłacza się im do mózgów wizję świata, jaki istniał na po-

czątku lat dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku. Ludzkość zaś została do tego wszystkiego zmuszona przez roboty, przez sztuczną inteligencję...

— Boże... — przerwał mu Sebastian, blednąc. — Jak u nas...

— Bóg nie ma tu nic do rzeczy! — zachnął się Fitzroy. — Poza tym, nie... Nie tak zupełnie, jak u nas. Nasze programy-światy są ciągle sterowane przez nas, nie przez roboty. Chyba...

— Jak to... chyba?

— To proste, matołku! Stworzyłem go... — zawahał się, krzywić się przy tym z niesmakiem. — No... baagle.com go stworzyło... Nadal go kurwa tworzymy... Według moich szacunków i przewidywań... Myślę, że ciągle jeszcze nadal go ogarniamy i potrafimy sterować... prawie każdym jego aspektem. Ale o nie potrwa długo... — dodał po chwili zastanowienia. — Myślę, że jeśli to wszystko pójdzie w takim kierunku, w jakim to się obecnie wybiera... w jakim szefostwo baagle.com by chciało, żeby to poszło... to za najdalej pięć, może dziesięć lat... system uzyska pełną samoświadomość.

— Żartujesz! — zachnął się Schwarzmüller.

— Nie... nie żartuję. Mało tego! To już zaczęło się dziać.

— Jak, to?

Zapytał, a potem zamilkł. Bo już wiedział...

— Jeśli Grid uzyska samoświadomość... — podjął po chwili. — To zniewoli nas w sobie. I będzie Matrix. Jak z filmu...

— Nie, głupia pało!

— Nie? Jak to?

— Nie. Bo nikt nigdy nie powiedział, że samoświadomość jakiegos systemu... że w ogóle sztuczna inteligencja... ma niby oznaczać przejście kontroli nad ludzkością, zniewolenie jej, wsadzenie

w kokony i takie tam pieprzenie po turecku! To... bardzo możliwy scenariusz, nie mówię, że nie. Ale istnieją przecież alternatywne.

— Na przykład? — spytał tamten ostrożnie.

— Według mnie Grid w pewnym momencie po prostu przestanie być kontrolowany przez ludzi. Przez nas... Sam zacznie podejmować decyzje, planować, projektować. Zacznie samodzielnie budować nowe programy-światy, rozwijać je i doskonalić. Je i samego siebie. Ale może to równie dobrze robić, by służyć ludziom... Lub, żeby ich kompletnie ignorować. By współistnieć obok. Wcale nie musi to oznaczać dominacji nad nami.

— Nie?

— Nie! Wiesz... ludzkość jest kurewsko zadufana w sobie. Skąd w ogóle pewność, że samoświadoma sztuczna inteligencja będzie interesowała się nami bardziej niż my w tej chwili interesujemy się muchami? To, że mamy nad nimi absolutną kontrolę wcale przecież nie oznacza, że musimy je natychmiast wszystkie wybić. Samo posiadanie jakichś możliwości wcale nie zmusza do jednoczesnego skorzystania z nich, czyż nie?

Potok jego myśl, wyrażanych na głos, nie ustawał. Zadawał kolejne pytania, ale stanowiły one tylko kamienie milowe rozważań. Nie oczekiwał odpowiedzi na nie, toteż odpowiadało mu milczenie.

— Jeżeli sztuczna inteligencja ma być po prostu lepszą, doskonalszą kopią nas samych, to dlaczego miałyby przyjąć jako swój pierwszy cel eksterminację lub co najmniej zniewolenie całego gatunku ludzkiego? Skąd pewność, że nie będzie miała nas zwyczajnie w dupie? O! Albo pójdźmy w tę stronę... Jesteśmy wszechwładni, wszechmocni i wszechpotężni. Przynajmniej wobec much. Jednocześnie jesteśmy zupełnie bezradni wobec całego stada pieprzonych wi-

rusów. Organizmów, bytów, tworów, czy — stosując terminologię technologiczną — jednostek setki tysięcy razy mniejszych od owych much. I to bezradni w swej całkowitej zasranej rozciągłości. Przy odpowiednich warunkach... po ataku odpowiedniego wirusa, bakterii lub grzyba... mrzemy setkami tysięcy, czasem milionami. Padamy, znowu... jak te muchy. Skąd więc pewność, że dla owego przyszłego Grid — dla tej samoświadomej, superdoskonałej, wszechwładnej oraz nieomyślnej sztucznej inteligencji — cała ludzkość nie zredukuje się do statusu takich właśnie wirusów? Co to dąży się do tego, żeby wyrzucić to wszystko w pierony i bezpowrotnie, a one jednak wracają... i wracają...

— Oby... Dla naszego-muszego dobra... oby — rzekł Sebastian.

— No, ale my tu pierdolimy trzy po trzy, jak z resztą zwykle, gdy jesteś ze mną i zadajesz te wszystkie durne pytania, a pan Kijas czeka i czeka. No, więc... do rzeczy! Kim pan jest, panie Kijas?

— Jestem aktorem. Graczem...

— Tak, jest! A co to oznacza, drogi Sebastianie?

W Grid występowały trzy rodzaje botów. Auto-bot był jednostką najniższego poziomu. Sterowany, jak nazwa sugeruje, w pełni automatycznie. Przez sam system. Przez Grid. Odpowiednik jakiegoś pobocznego bohatera w grach. Z punktu widzenia historii opowiedanej w danym programie-świecie, odgrywał najmniej istotną rolę. W zdecydowanej większości przypadków boty te stanowiły po prostu rodzaj interaktywnego tła. „Wypełniacze bajek”, jak zwał je Gerald. Można było je o coś zapytać, coś wspólnie z nimi zrobić i tak dalej.

Na drugim poziomie ważności znajdował się gracz. Nazwa ta została nadana z wielu powodów. Po pierwsze dlatego, że był odpowiedzialny za rozegranie określonej części scenariusza danego świata.

Drugim powodem był fakt, że boty te były sterowane przez żywych ludzi — odpowiednio wyspecjalizowanych pracowników baagle.com. Ale, że zwykle odgrywały średnio ważną rolę, więc jeden pracownik mógł czasem sterować wieloma takimi botami. Prowadził za rękę, jak w grach typu role-playing, wielu bohaterów danego świata lub po jednym bohaterze w kilku programach-światach jednocześnie. Zupełnie jak w symultanie szachowej — co rusz przełączając się między kolejnymi postaciami. Najbardziej doświadczeni pracownicy-gracze w Grid potrafili rozgrywać kilka ról w kilku światach jednocześnie.

— To taka gra, rozumiesz Schwarzmüller? Tylko kurew... eee...

Wobec niektórych obcych Fitzroy objawiał czasami rzadką chęć pohamowania ilości używanych przekleństw; Kijas z jakiegoś powodu musiał być taką właśnie osobą.

— ...tylko cholernie realistyczna — ciągnął dalej. — Tak realistyczna, że będąc podłączonym do Grid nie jesteś w stanie odróżnić jej od rzeczywistości. Zapadasz w sen lub dostajesz w łeb w realnym świecie, budzisz się zaś w innym, naszym. W świecie Grid. Być może piękniejszym, być może gorszym, ale na pewno sztucznym. Tylko, że ty nie masz na ten temat bladego pojęcia. Nie wiesz, ani o tym, że ten świat jest sztuczny... No bo skąd? Nie wiesz też, że w ogóle istnieje jakiś inny świat. No, bo jak?

— Przeróżające i odrobinę... nieludzkie?

— Z gadką filozoficzno-moralną nie do mnie, proszę — zachnął się Gerald. — Tylko do trójki naszych cepów.

„Cepami” Fitzroy nazywał zarząd. Trójka ojców-założycieli firmy baagle.com piastowała stanowiska nazwane według angielskiego klucza w skrócie — CEO, CTO i CFO. Główny prezes, główny

szef technologii oraz główny szef finansów. Od pierwszych liter każdego stanowiska wzięło się określenie Geralda.

Był też trzeci poziom botów, czy jak kto woli — aktorów lub graczy. *V.I.P. Very Important Presence*. Bardzo ważna osobowość. Czy raczej dosłownie — obecność. Taki *maître d'hôtel*, gospodarz programu-swiata, mistrz gry...

— Czyli... ty? — spytał Sebastian.

— Ja, ty, często my razem. Czasem ktoś inny, czasem wielu pracowników baagle.com jednocześnie... To zależy od scenariusza, programu-swiata i wielu innych czynników.

— Ale to nie jest ostatni poziom, prawda? — rzekł smutno.

— Nie, teraz już nie... — w głosie Fitzroya pobrzmiwała autentyczna i przez to tak niespotykana nuta.

Troska? Wątpliwości? Ale, czemu? Przecież sam do tego dążył. Sam i niemalże samodzielnie stworzył Grid. Od samego początku wiedział, do czego to dąży. Do czego zmierzają „cepy”. W jakim celu pompują w niego i w jego projekt miliony. Co chcą osiągnąć. To nie było — jak wielokrotnie powtarzał sam przed sobą, gdy był zupełnie sam — „kręcenie kijem w gównie i zobaczymy, co z tego wyjdzie”. Od samego początku Grid był projektowany w celu podłączania ludzi.

— Ludzie? — rzekł Schwarzmüller, jakby czytał mu w myślach.

Generał K., Gibbs i Marek to podłączeni ludzie. W Grid to najwyższe byty. No, może poza nimi samymi. Gerald grał rolę generała J.

Reszta... to wszystko boty... Nastoletni gówniarze, koledzy Marka. Matka, szeregowy, wcześniej Camberley. Jego sekretarz oraz ten żołnierz, co na Gibbsa doniósł, wszyscy pozostali uczestnicy narady, w tym adiutant Geralda... No, i oczywiście wszystkie postaci spotykane kiedykolwiek przez kogokolwiek gdziekolwiek. Wszystkie

istoty rzekomo żywe, zasiedlające ten świat. To wszystko boty. Różnego rodzaju. Gracze lub sztuczne byty. Ikony, żywe filary sztucznego świata. Świata stworzonego w jakimś określonym celu.

— Po, co to wszystko, Gerald?

— No, panu już podziękujemy... — odparł szybko tamten.

Kijas zdematerializował się równie błyskawicznie, jak się pojawił. Nie zadawał żadnych pytań, nie miał też żadnych wątpliwości. Na przykład takich, że wyciągnęli go w trakcie rozgrywania kilku ważnych scenariuszy tylko po to, by trzymać go tu w milczeniu przez kilkanaście minut i zadać raptem dwa, czy trzy pytania. Najwyraźniej jednak zadziałał ten pierwszy ze scenariuszy rozważanych przez Sebastiana. Kijas bał się Geralda P. Fitzroya. Z resztą... kto tu się go nie bał?

— Pytałem, o coś...

— Och, stul pysk, Schwarzmüller!

— Nie chcesz mówić, to kij ci w oko. Ja będę mówił za ciebie... Stworzyliśmy ten świat w określonym celu. W celu przeprowadzania pewnych testów, prawda?

Fitzroy milczał.

— My tworzymy te światy, piszemy scenariusze, sprawdzamy jakieś nowe teorie. Zwłaszcza te najbardziej obiecujące z punktu widzenia naszego zarządu, prawda? Nawet, jeśli owe teorie już u samego zarządu są niehumanitarne, żeby nie rzecz wprost — że są nieludzkie, prawda? Prawda, Gerald!

— Prawda... — odparł głucho tamten.

Prawie przez zupełny przypadek baagle.com odkryło, że przerażony mózg, podłączonego do Grid, generuje nieporównywalnie więcej mocy obliczeniowej niż ten oglądający piękne i przyjemne obra-

zy. Wcześniejsze światy były niemalże utopią, najpiękniejszymi ze snów, jakie tylko można sobie wyobrazić. Pracownicy firmy baaggle.com, konkretnie zaś Gerald P. Fitzroy i Sebastian Schwarzmüller, odkryli tę nieco przerażającą prawidłowość przez przypadek, bo żywych ludzi podłączonych do Grid na stałe było ciągle jak na lekarstwo. Projekt był ciągle we wczesnej fazie rozwoju.

Świat „Reality/Poland/Żarnowiec/1980-1986/2.01” powstał tylko po to, by zweryfikować tę hipotezę. Hipotezę, którą dziesiątki lat wcześniej Disney wykuł w bajce „Potwory i spółka”. Strasznie w celu produkowania energii elektrycznej. Tylko, że tu nie było pozytywnego zakończenia. Tu nikt nie miał nigdy odkryć, że śmiech daje dużo więcej energii. Bo wyniki badań i eksperymentów były jednoznaczne. No, i tu nie produkowano energii elektrycznej. Tylko moc obliczeniową. Wykorzystywaną do samoistnienia Grid i jego światów. W przyszłości zaś — by sprzedawać ją innym. No, i zarabiać na tym. Grube pieniądze. Bo, nic nie jest za darmo. Nigdy! Ani w tym naszym tak zwanym rzeczywistym świecie, ani w tysiącach wykreowanych programów-światów Grid.

— Stąd Gibbs i jego samobójstwo — Fitzroy nagle odblokował się i zaczął samodzielnie snuć opowieść. — Zarówno jako przerażające doświadczenie dla Marka, jak i jeszcze bardziej przerażające wnioski dla samego Gibbsa. Płynące z poczynionych obserwacji, które pchnęły go do targnięcia się na własne życie.

— Zakładam, że... — rzekł Sebastian. — ...to kopnęło wyniki.

— Średnia całkowita moc obliczeniowa oraz wydajność chwilowa... poleciały w kosmos — potwierdził grubas, kiwając przy tym głową. — Nigdy wcześniej, w żadnym programie-świecie, nie mieliśmy takich rezultatów.

— A Kiszczak? O, przepraszam... — krygował się Sebastian. —
Mieliśmy nie używać nazwisk... A generał K.?

— W tym świecie i na tym etapie scenariusza K. jest komuni-
stycznym gryzipiórkim. Na wczesnym początku swej kariery wojsko-
wej. Kariery... pod skrzydłami J., czyli mnie, dodam. Fortel, jakiego
użyłem pod koniec nocnej narady, ten z rzekomą rezygnacją w przy-
padku jakiegokolwiek sprzeciwu, oznaczał dla niego koniec wszyst-
kiego. Planów, marzeń, pieniędzy, władzy... To był dla niego dramat
prawie nie do przeżycia, ale ciągle tylko stres. Nie, jakieś tam
przeróżające potwory, wychodzące z mgły, i zżerające jego kolegów.
Zgodnie z naszymi oczekiwaniami — skok mocy obliczeniowej, gene-
rowanej przez mózg jego podłączonego, powinien być zauważalny.

— I?

— Wyniki są obiecujące. Stres też daje kopa na wydajności. Ale
to przepaść wobec tego, co daje horror wyciskający klocka z dupy ze
strachu... — zakończył Fitzroy, ponownie na znaną już nutę.

— No, a Gibbs?

— W największym skrócie... chcieliśmy sprawdzić, czy mózg
ludzki przyspiesza i zwiększa moc obliczeniową, jeśli... temat stra-
chu..., że tak się wyrażę, będzie absolutnie wyimaginowany. Jeśli
podłączony będzie bał się czegoś, o czym... kolokwialnie mówiąc...
nie śniło się nawet filozofom. Potwory wychodzące z mgły, których
rzekome istnienie tak przeraziło sierżanta Gibbsa, że aż pchnęło go
do samobójstwa, było czymś właśnie takim. Mógł oczywiście podjąć
inną decyzję. Na przykład... uciec. Wybrał śmierć.

Zapanowało krótkie milczenie.

— Jedna rzecz mnie zastanawia...

— No, i masz!

— Powiedziałeś, że mógł podjąć inną decyzję...

— Naprawdę jesteś takim wsiowym głupkiem, czy tylko usiłujesz mnie wkurwić, udając takiego?

— Gerald! Do rzeczy, człowieku... Do rzeczy...

Fitzroy westchnął głęboko.

— W odróżnieniu od botów, ludzie podłączeni do Grid mają praktycznie zupełnie wolną wolę. To jest nie tylko bardzo realistyczna gra. Albo sen, ale w pełni kontrolowalny przez sniącego. To gra o nieskończonej możliwości rozwiązań i doskonale nieliniowym scenariuszu. Jak w prawdziwym życiu... wszystko może się wydarzyć.

Schwarz Müller pokiwał w milczeniu głową. To wszystko miało jakiś pokrętny sens. Jednego tylko nie pojmował do końca. Nie pojmował lub może pojmował, ale nie chciał w to uwierzyć. Jakim cudem Grid, który istniał ledwie kilkanaście miesięcy, mógł dawać podłączonym wspomnienia, wrażenia i ogólnie myśli o życiu czasem nawet dziesiątki lat wstecz.

— Chyba po wyjściu z tego świata poproszę o dodatek za pracę w ciężkich warunkach. Z głupkami i ignorantami... — rzekł Fitzroy.

Pomarudził jeszcze chwilę, ale w końcu wyjaśnił.

Oparł się na przykładzie nowonarodzonego dziecka. Na jego stopniowo rodzącej się samoświadomości. Oraz również stopniowo zapominanych wspomnieniach.

— Dziecko pamięta cokolwiek od czwartego, może od piątego roku życia — mówił. — a i w tym przypadku tylko prześliski. Tylko te wspomnienia, które dotyczą pojedynczych wydarzeń. Nawet zaś kilkanaście i kilkadziesiąt lat później pamięć ludzka jest zaskakująco ułomna, szczątkowa i zawodna. Zdecydowaną większość rzeczy z przeszłości, odległej ledwie o kilka lat wstecz, pamiętamy tylko

dzięki artefaktom. Fotografiiom, filmom, szczątkom wspomnień, rozmowom z innymi i tak dalej, prawda?

— No, zgadza się — przytaknął Schwarzmüller.

Więc, w czym problem? Praktycznie każdy z takich artefaktów można stworzyć w wirtualnym świecie. Podsunać, podłożyć, oszukać... To prawie tak, jak budowanie sztucznej tożsamości jakiegoś szpiega. Czasami da się zrobić to tak doskonale, że latami się nie zorientują... — podsumował.

— Nawet w naszym rzekomo rzeczywistym świecie... — dodał po chwili Gerald P. Fitzroy. — ...wiele rzeczy dzieje się w głowach.

— Chyba nie rozumiem.

— Boś głupi! Milionom ludzi piszczy w uszach, prawda?

— Prawda — potwierdził Sebastian.

— Neurologowie, laryngologowie, ba... nawet psychiatrzy nie mają pojęcia, skąd się to bierze. Ot, po prostu mózg słyszy dźwięki, których nie ma. Dalej... Ja mam ten zaszran problem z pęcherzem...

Nie, nie przyznał się mu. Tolerował go, a to za mało, żeby zdradzać takie tajemnice. Sebastian był dobrym analitykiem i jeszcze lepszym obserwatorem. Któregoś dnia dodał dwa do dwóch i wyciągnął wnioski, których być może inni by nie wyciągnęli.

— Przed snem biegasz sikać cztery razy? Wciąż cię to męczy? — Sebastian uśmiechnął się krzywo.

— Wal się! Nie potrzebuję twojej zaszranej troski...

— Oj, Gerald, Gerald... Ty się już nigdy nie zmienisz...

— No, dobra... No, więc odleję się porządnie przed snem i za chwilę czuję, że znowu chce mi się sikać. Pędzę do sracza, zaciskam pośladki do bólu, wykropię trzy kropelki, wracam do wyra... i tak kurwa do zajebania.... Czasem nawet cztery razy. Urolog baagle.com

nie wie, o co chodzi. Z fiutem podobno wszystko w porządku. Ale to nie ważne... Istotne jest co innego.

Istotne, zdaniem Geralda, było to, że mógłby tak biegać nie cztery, ani nawet czterdzieści cztery razy, tylko całą noc. Uczucie parcia na pęcherz trwałoby prawdopodobnie do rana, bo było absolutnie fikcyjne. Fitzroyowi nie chciało się sikać. Jedyne jego mózgowi wydawało się, że mu się chce... Że zaraz zmoczy pościel.

— Masz tu więc dwa przykłady, z setek podobnych, że umysł ludzki całkiem łatwo poddaje się manipulacji i autosugestii. Stosując odpowiednie środki możemy mu coś wmówić. Coś lub wszystko.

Bazując na tym założeniu, podłączonym można było wsadzić do głowy wszystko, a w szczególności przekonanie, że to jest ich świat. Ten, w którym się urodzili i w którym od urodzenia żyją. Wykreować im świat wraz z całą jego historią. Stworzyć towarzyszy, przyjaciół, matki, żony i kochanki... całe życie.

Co zaś najważniejsze, to fakt, że wszystko to dało się stworzyć w doskonały sposób. Nie, prawie-doskonały, tylko wprost doskonały. Tak doskonały, że podłączeni zupełnie zapominali o owym „poprzednim” życiu Tym, które kiedyś znali... Które kiedyś żyli. Co tam, zapominali... W ogóle nie mieli o nim najmniejszego pojęcia... To było dla Sebastiana Schwarzmüllera zupełnie przerażające. Zaś dla Geralda P. Fitzroya stanowiło jedynie naturalną konsekwencję stworzenia i istnienia Grid.

Aby nieco ochłonać, Sebastian rozejrzał się uważnie po pomieszczeniu, w którym znaleźli się obaj. Spojrzał też przez pobliskie okno wystawowe. No... z tą doskonałością nie należało zbytnio

przesadzać. Na szczęście dopiero zaczynali. Na szczęście? Mieli ledwie kilku podłączonych do sieci, a sam Grid daleki był nawet od uznania go za doskonały, czy nawet za działający w miarę stabilnie. Jeśli wiedziało się, czego szukać, to błędy w tkaniu iluzji znajdowało się niemalże na wyciągnięcie ręki. Tu jakieś przebarwienie ściany, tam jakaś czarna pustka. Co prawda wielkości główki od szpilki, ale jednak. To coś błyszczało i drgało podczas, gdy wzrok ludzki spodziewał się ciągłości koloru i stabilności obrazu. Poza tym, z samym kreacjonizmem świata, życia i wspomnień był jeden, za to fundamentalny szkopuł. By móc coś wspominać, przywoływać sobie z pamięci, najpierw trzeba to tam jakoś umieścić. Zapisać...

— Zaraz, zaraz... — rzekł powoli i przeciągle Sherlock Holmes von Schwarzmüller. — Mówiłeś, że Grid potrafi jedynie odczytywać ludzkie umysły, a mózgu ludzkiego używać jednostronnie...

— Tak mówiłem — potwierdził grubas. — I tak jest.

— Nie potrafimy więc nic zapisywać w umyśle. Nie możemy więc wrzucić komuś do głowy jego nieistniejących wspomnień.

— Nie potrafimy i sadzę, że jeszcze przez kilkadziesiąt lat nie będziemy tego potrafili. Może nawet nigdy...

— Więc?

— To zależy...

— Uwielbiam twoje zasrane zagadki — rzekł kwaśno Sebastian.

— Wchodzących do Grid dzielimy na dwie grupy. Pierwsza, to my, czyli V.I.P. Do tego gracze, programiści, testerzy i tak dalej... Ci wiedzą, że to świat wirtualny, więc dla nich zabiegów specjalnych robić nie trzeba. Podłączają się przy pomocy rozwiązań tymczasowych i w każdej chwili mogą opuścić każdy program-swiat...

— A podłączeni? — spytał Sebastian.

— Cóż... Oni są tu na bardzo długo. Może na zawsze... Podłączeni są też na stałe. Specjalnym interfejsem, który wpina się im między mózg a końcówkę Grid. W sensie ogólnym. Biologicznie rzecz ujmując, wpięcie następuje pomiędzy mózgowiem a układem obwodowym. Tam dokonujemy naszej magii...

Trzy zdania i całe stado mądrze brzmiących wyrazów. Schwarzmüllera zawsze niezmiernie fascynowała dwoistość natury swojego przełożonego. Z jednej strony prostak i cham, z drugiej — wykształcony i odczytany naukowiec, znający wiele pojęć z różnych dziedzin.

— Dzięki temu możemy sterować całym ciałem — ciągnął Fitzroy. — Podtrzymywać i kontrolować odpowiednio procesy biochemiczne, aby pacjent nie zszedł. Maskować impulsy płynące z kończyn, aby w środku iluzji nie poczuł, że coś go swędzi w zadek. Oraz oczywiście indukować w mózgu wizje i omamy wirtualnego świata.

— To działa?

— Jeszcze jak! Odpowiednie programy Grid, filtrują, modyfikują, tłumią lub wręcz maskują wszelkie sygnały, jakie wysyła ciało podłączonego do mózgu. Dociera do niego dokładnie to, co chcemy, by docierało. W drugą stronę... identycznie. Wyłapujemy wszystkie impulsy z mózgu, obrabiamy je i puszczamy dalej zmienione lub w ogóle wytłumiamy. Jeśli pacjentowi chce się kupe, to odpowiednie polecenie, w normalnym organizmie kierowane do okrężnicy, esicy i odbytnicy, jest przechwytywany. Żeby się nam gościu nie zesrał na fotel. Zamiast tego, program przekazuje odpowiednie polecenia do zespołu ssącego w tubie pokarmowo-wydalniczej. Wiesz, o czym mówię?

— Nasza słynna „druga pępowina”, podłączona przez pępek bezpośrednio z jelitem grubym?

— Tak jest. No, i ona odsysa, co trzeba. Tak, to działa.

— W drugą stronę tak sam? — spytał Schwarzmüller.

— Tak!

— I nie widzą nic... niczego poza iluzją świata?

— Wyobraź sobie to w ten sposób... — zaczął powoli Fitzroy. —

Wychodzisz z supermarketu. Przed tobą rozsuwane drzwi. Z zewnątrz są oklejone setkami reklam. Wiesz, takie tam półprzezroczyste... ze specjalnym drukiem. Co to patrzeć z daleka widzisz zupełnie nieprzezroczysty obraz, na przykład treść reklamy. Zaś stojąc z nosem niemalże przy drzwiach... coś tam widzisz na zewnątrz. Choć bardzo ciemne to coś.

— Acha...

— Na zewnątrz może panować piękna pogoda i słoneczny dzień. Ty, patrzący przez te okleiny, dasz sobie rękę uciąć, że tam szaro, buro i pewnie jeszcze leje. Drzwi się rozsuwają i... zaskoczenie!

— Patrzenie na świat w różowych okularach?

— Raczej w wymazanych gównem! — odparował.

— Co? — zaskoczenie Sebastiana było niemałe.

— Jeśli przyjmiemy, że im wredniejsze wizje im zaserwujemy, tym większą moc obliczeniową mózgu dostaniemy... Ale tak, o to mniej więcej chodzi.

— I tak przez całe lata? Przez całe życie...

— No, raczej. Tylko pamiętaj o fundamentalnej sprawie, głąbie!

— To znaczy?

— To znaczy, że byk się rozkraczy... Tu czas płynie zupełnie inaczej. Wiesz, ja nie spędziłem w tym świecie sześciu lat! Te nasze światy, życia, iluzje, historie... mogą „dziać się” w głowach dużo, dużo szybciej. Jeden podłączony może, w ciągu całego swojego biolo-

gicznego życia, przeżyć kilkadziesiąt takich scenariuszy. Czas może też płynąć dużo wolniej...

— Jak... jak bardzo dużo wolniej? — spytał chudy programista, coś przeczuwając jednocześnie, że nie spodoba mu się odpowiedź.

— Mamy tu podłączonego mordercę. Dzięki senatorowi udało się załatwić dla niego odbywanie dożywocia u nas, rozumiesz. Teraz wiemy już, że wystraszony mózg produkuje nieporównywalnie więcej mocy obliczeniowej niż ten tarzający się w jakiejś cukierkowatej wizji utopii. Sprig... wiesz, jeden z naszych szefów... planuje zaszerwować mu niekończącą się wizję zabójstwa. Gościu będzie zabijał swoje ofiary w nieskończoność, w kółko...

Schwarz Müller struchlał.

Aby powstrzymać choć na chwilę przerażenie, który powoli ogarniało mu głowę, na myśl o wizji spędzenia życia w taki sposób, całą swoją uwagę skupił na lodowatym chłodzie, jaki przebiegł mu po plecach. Czy to była ciągle jeszcze naturalna reakcja fizjologiczna jego organizmu? Czy może to Grid zaszerwował mu takie uczucie? Może interfejs, którym był obecnie połączony z siecią, wychwytał i przetworzył słowa Fitzroya i, stosownie do nich, omamił jego mózg sztuczną wizją dreszczy przebiegających po ciele?

— Sprig musi być szalony i pozbawiony uczuć! — wychrypiał.

— Ktoś mówił, że jest inaczej? — odrzekł spokojnie Fitzroy.

W milczeniu patrzyli na siebie, stojąc od chyba ponad pół godziny w sklepie, który istniała tylko w ich głowach. Ale dla podłączonych doń ludzi istniał on naprawdę. Tak, jak i baza, wszystkie wspomnienia, całe życie... Nie znał ich nazwisk ani historii. Nie wiedział, kim są, co robili przed podłączeniem, czy faktycznie zasłużyli na taki los? Wiedział tylko, że byli ludźmi. Prawdziwymi,

niezmysłonymi, czującymi istotami ludzkimi, które przymuszono, by odgrywali role Gibbsa, Marka i K. w nieistniejącym świecie.

— Masz minę, jakby ci ptak nasrał na twarz — Fitzroy w klasyczny dla siebie sposób wyrwał go z rozmyślań.

— Gerald... Trochę mnie to wszystko przeraża i może przerasta.

— Sebastian, wyluzuj! Dopiero się rozkręcamy!

— Proszę, nie dobijaj mnie...

Ale to była prawda. Wspomniane przed chwilą osoby były przekonane, że spędziły w tym świecie wiele lat, całe życie. Faktycznie zaś, z biologicznego punktu widzenia, ta nieliczna garstka tych, którzy już byli wpieci w Grid, była podłączona od zaledwie kilku tygodni, może miesiąca, może dwóch.

— Grid jest w bardzo wczesnej fazie rozwoju — ciągnął niezrażony grubas. — Ledwie kilka miesięcy od jego pierwotnego uruchomienia. Długą drogę mu przewidziałem. Ciagle wiele mu brakuje.

— Wiem...

— O popatrz! — rzekł Gerald. — dziura! Tam w rogu, widzisz?

W miejscu, które wskazywał grubas, pod sufitem widniała ordynarna dziura. Krawędzie ścian i sufitu znikwały w niej, pogrążając się w absolutnej czerni. W czerni, która zionęła z dziury widać było jedynie pojedyncze różnokolorowe, bardzo rzadko rozsiane punkciki. Jak diody LED albo gwiazdy na rozgwieżdżonym nocnym niebie.

— Dziura w świecie — zaczął wymieniać Fitzroy. — Niedokończony fragment scenariusza. Błąd w programie. Brak mocy obliczeniowej. Kurwa, cokolwiek... Jesteśmy tu nie tylko po to, by grać swoje role w scenariuszu, ale żeby takie rzeczy wychwytywać.

— A inni?

— Co inni?

— No... aktorzy, boty, podłączeni...

— Boty niskiego poziomu są sterowane przez Grid, więc sam Grid na bieżąco adaptuje ich program. Boty wyższego poziomu są sterowane przez graczy, którzy wiedzą tyle, co my. Więc nie zwracają na to uwagi. Zaś, podłączeni...

— No właśnie...

— Pytanie, co jest źródłem tej dziury? Czy to chwilowy brak mocy obliczeniowej, czy faktyczny błąd w programie. Jeżeli brak mocy, to Grid się płynnie zaadaptuje. Jak w grze komputerowej...

— Co mają do tego gry?

— Boże, o ile istniejesz! Co za głąb. To chyba oczywiste. Gdy grasz w wyścigi samochodowe, do komputer oblicza i pokazuje ci jedynie najbliższe drzewa i fragmenty terenu. Może kilkaset metrów. Nie liczy szczegółów miasta, które znajduje się pięć kilometrów od toru wyścigowego, prawda? W ogóle nie traci mocy obliczeniowej na wygenerowanie obrazu, który znajduje się za twoimi plecami. Prujesz autkiem do przodu, z taką prędkością, że nie masz czasu kręcić makówką na lewo i prawo, ani tym bardziej odwracać jej w tył. Więc można te obrazy olać i zaoszczędzić sporo na wydajności.

— Dalej nie czaję, co to ma wspólnego z Grid.

— Bo jesteś jełopem.

Ponarzekał, poprzeklinał, ale wyjaśnił mu. Na chwilę przed tym, jak podłączony spojrzy w ten punkt, dziura zostanie zamaskowana. Zaś brak mocy zostanie przekierowany w inne miejsce, na które podłączony aktualnie nie spogląda, na przykład za jego plecy.

— Sytuacje, w których podłączony dostrzeże taką dziurę lub inny defekt systemu są mega rzadkością — dokończył Fitzroy.

— I wtedy mamy poważnie przesrane? — spytał Schwarzmüller.

— Tak. Wtedy boty-gracze, a często nawet my, musimy rzucać wszystko, co aktualnie robimy, wchodzić do takiego świata i mitygować problem. Wówczas gra aktorska i kracjonizm idą pełną parą.

— Jak w „Truman Show”? — spytał Sebastian.

— Co to?

— Film taki.

— Nie oglądałem. Nie mam czasu. Pewnie gównno — rzekł grubas.

— Facet jest tam zamknięty w gigantycznym studio filmowym...

— zaczął opowiadać Sebastian, zupełnie nie przejmując się faktem, że nikt go o ową opowieść nie prosił. — Studio, które odgrywa rolę całego jego świata i życia zarazem. Wszyscy wokół niego, wszyscy, których zna, są zatrudnionymi aktorami, odgrywającymi swoje role. Gdy w jednej scenie okazuje się, że główny bohater nabrał niezdrowych podejrzeń i zaraz odkryje całą misterną tajemnicę...

— Wtedy? — Fitzroy wydawał się być naprawdę zaciekawiony.

— Wtedy nagle pojawia się, jakby znikąd, jego przyjaciel.

Przynosi czteropak piwa, zabiera go na spacer, na tym spacerze objawia się niewidziany od kilkunastu lat ojciec głównego bohatera. Ojciec, który podobno zginął w wypadku... chyba utonął w jeziorze, nie pamiętam... I wszystko zaczyna pędzić dawnymi torami. Jak krew zatamowana plastrem lub opatrunkiem. Umysł głównego bohatera jest tak uradowany pojawieniem się ukochanego ojca i tak zajęty myślami związanymi z tym wszystkim, że zupełnie zapomina o podejrzaniach.

— Genialne! — wykrzyknął Gerald, uśmiechając się chyba po raz pierwszy tego dnia szczerze, autentycznie i przyjemnie.

— Filmy to plastikowe gównno marnujące czas! — ciągnął podniecony. — Ale ten muszę obejrzeć. Może włączymy go do szkoleń Grid. To, co mówisz jest świetne. Wiele się z tego możemy nauczyć...

— Już żałuję, że ci o tym powiedziałem — odparł cierpko.

— Wal się!

— Mgła też... domyślam się... — spytał niezrażony.

— Oczywiście! — odparł natychmiast tamten, natychmiast domyślając się faktycznej treści pytania. — Mgła była elementem scenariusza tylko dla Gibbsa. Poza tym stanowiła maskaradę, by ukryć przed innymi, głównie przed Markiem, że za nią nie ma nic.

Grid był w bardzo wczesnej formie. Mgła maskowała pustkę za nią. Niedokończony fragment świata. Grid na tym etapie miał tylko kilku podłączonych. Kilku tam gwałcicieli i morderców, jak lubił podkreślać Fitzroy. Nawet przy ciągłym ich przerażaniu, sumaryczna moc obliczeniowa, nie wystarczała nawet do tego, by w stabilnie wygenerować świat, w którym żyli. Co zaś dopiero mówić o sprzedawaniu tej mocy innym firmom...

— Wiesz, że do tego dążymy? — spytał Gerald.

— Do czego?

— Boże, ty ignorancie! Zbudowanie, uruchomienie i utrzymywanie Grid to kilka, jeśli nie kilkanaście miliardów... Nawet taki gigant, jak baagle.com może mieć słodko finansowo przesrane przez projekt taki, jak Grid. Musi się więc odkuć. I to jak najszybciej. Planujemy... — Schwarzmüller wyraźnie zwrócił uwagę na liczbę mnoga. — ...podłączenie takiej ilości ludzi i osiągnięcie takiej mocy obliczeniowej, by nie tylko być w stanie stabilnie utrzymywać wszystkie wirtualne światy. Ale by również ją sprzedawać innym.

— To jest w ogóle możliwe?

— A czemu miałyby być niemożliwe? Ot, kolejna chmura obliczeniowa. Z tą różnicą, że filmy i pornosy, które oglądasz, że przelew i zakupy, które robisz i tak dalej... będzie w przyszłości ob-

sługiwała nie farma zbudowana z setek tysięcy serwerów. Tylko setki mózgów pedofili, gwałcicieli i morderców, podłączonych do bardzo wysublimowanego systemu.

— Boże drogi... Jak ty w ogóle możesz używać takich słów? Wysublimowany? Przecież to, co opisujesz to prawie jak piekło?

— Tak sądzisz? — Fitzroy uśmiechnął się brzydko. — Użycie wygenerowanej w ten sposób mocy obliczeniowej na skrócenie czasu potrzebnego na wynalezienie leku na raka o dziesiątki lat? Za cenę zniewolenia kilkudziesięciu społecznych degeneratów?

— Cóż... Z tego punktu widzenia... — zaczął Schwarzmüller.

— Z tego punktu widzenia, chuj jest do dzieci robienia... — przerwał mu brutalnie i ordynarnie Fitzroy. — Jeśli będziesz miał kiedykolwiek jakiegokolwiek wątpliwości, to wal do mnie jak w dym. Umówię cię na spotkanie z kilkoma z tych matek, którym nasi miliuśnscy zgwałcili lub zabili córki i synów, co? Albo z tymi młodymi kobietami, czasem nastolatkami... kurwa, czasem dziećmi, do chujajana! Dziećmi, które nasze misiaczki zgwałciły w ciemnym rogu. Ryjąc im przez to całą psychikę i rozpierdalając przy tym życie...

— To... to... to... Jezu, Gerald! Przerażasz mnie!

— Spokojnie, Schwarzmüller... Jesteśmy na samym początku tej drogi. Dążymy do status quo, do stanu zerowego. Do sytuacji, w której mózgi podłączonych wystarczą do stabilnego utrzymywania światów, które im serwujemy. Zaś ich udęczone sny, ich pokiereszowane koszmary będziemy sprzedawać później. Dużo później...

Sebastian otworzył usta, by zadać kolejne pytanie, lecz Gerald przerwał mu gestem zniecierpliwienia i kolejną kaśliwą uwagą.

— Festiwal „Sto pytań do Wielkiego Fitzroya” zaczyna mnie już powoli męczyć i nudzić! — ego Geralda było jedynym, co przewyższało jego grubiaństwo.

Schwarz Müller zignorował ten komentarz, jak ignorował setki i tysiące wcześniejszych, które miał już wątpliwą przyjemność wysłuchać, a które jednym uchem wpuścił, a drugim wypuścił. Bez większej żenady, odpalił, że jest tu po to, by się uczyć, zaś Fitzroy jest po to, by mu odpowiadać na pytania. W odpowiedzi na takie dictum, został zmierzony morderczym i lodowatym spojrzeniem.

— Co z nimi? — spytał niewzruszony. — Z Markiem i Gibbem?

— Pytasz... jak się umiera w Grid?

— Tak.

— Nie wiem, jak jest naprawdę... — rzekł grubas powoli. — Nie miałem jeszcze wątpliwej przyjemności spotkania Kostuchy osobiście. Ale mogę powiedzieć ci jak jest tutaj. W programach-światach.

— Jak?

— Zwyczajnie. Znowu... podobnie jak w grze. Po śmierci tutaj, pojawiają się w innym świecie. W innym programie. W bardzo rzadkich przypadkach — ponownie w tym samym.

— Ile... — zaczął Sebastian.

— Ile to potrwa z ich punktu widzenia? — przerwał mu Fitzroy. — Ułamek sekundy? Pięć godzin? Nie, wiem. Czas potrzebny Grid na wgranie im kolejnego zestawu wspomnień i przekonanie ich, że w tym oto, kolejnym już świecie urodzili się i żyli od zawsze. Potem zabawa zaczyna się na nowo. Właśnie dlatego czas przejścia nie ma żadnego znaczenia. Nie ważne, czy był to błysk ułamkowego przeniesienia między światami, czy wielogodzinne, a może nawet trwające wiele dni obliczenia. Ważne jest to, że obudzą się w nowym świe-

cie, z nowym zestawem wspomnień. Ewentualnie, w najbardziej przewrotnej wersji, w tym samym. Tylko z ich punktu widzenia „zresetowanym” do zera. Nie będą pamiętali absolutnie nic z tego programu świata, lub z tej wersji świata, którą opuścili. Będzie im się wydawało, że położyli się spać kilka godzin wcześniej, a może tylko na poobiednią drzemkę, i obudzili się właśnie. Z nowym zestawem wspomnień, historią i życiem...

— Dlaczego?

— Dlaczego, co? — zachnął się Gerald.

— Dlaczego ich tak męczymy? Dlaczego w ogóle podłączamy ludzi do Grid? Dlaczego tworzymy te wszystkie iluzje? Po co?

Fitzroy zmierzył go krótkim, nieprzeniknionym spojrzeniem.

— Powodów jest co najmniej kilka. Ale to nie miejsce ani czas na tego rodzaju filozoficzne bzdety. Najważniejszy wątkowaliśmy już przed chwilą, prawda? Bo to źli ludzie są. Którzy narobili wiele długów wobec społeczeństwa i teraz muszą je odpracować.

— Na przykład?

— Na przykład Marek. Naprawdę nosi inne imię i ma sporo więcej lat. Jest zwyrodnialcem. Skazany na bestialskie morderstwo kilku osób. W tym za gwałt na dziecku. Wyrok? Dożywocie bez prawa łaski. Dzięki znajomościom politycznym baagle.com, konkretnie z pewnym senatorem, zamieniono mu jedynie formę odbywania kary. Co z tego, że nie jest on tego ani na jotę świadom?

— Jak długo potrwa to dla niego? To dożywocie?

— Nie wiem.

— Nie wiesz? — zakpił Sebastian. — Istnieją jakieś rzeczy na świecie... na tym prawdziwym i w dziesiątkach wykreowanych... których nie wie wielki Gerald P. Fitzroy, architekt projektu Grid?

— Wał się! — szczechnął grubas.

— Ja ciebie też, tłuściochu! Możesz teraz odpowiedzieć?

Gerald zmełł przekleństwo w ustach.

— Są niejaki przesłanki... — zaczął powoli. — ...że jeszcze kilkanaście lat, może kilkadziesiąt... I będziemy w stanie utrzymać mózg, razem z ciałem, w stanie aktywnym na wieki. W stanie permanentnego niestarzenia się. Nawet przez kilkaset lat. Może potencjalnie nawet w nieskończoność...

— Co?!? — Schwarzmüller zbladł ponownie tego dnia.

— Pstro! Nie potrzeba by nawet do tego wiele zachodu. Wstrzykujemy człowiekowi porcję nanorobotów i po sprawie. Samoświadomych, zdolnych do replikacji. Krażą one sobie grzecznie w krwioobiegu, sprawdzając na bieżąco, co tam się psuje lub w najbliższym czasie może się zepsuć.

Chwila przerwy, dla osiągnięcia większego efektu.

— I od razu, na kolanie się danym problemem zajmują — dodał Fitzroy po chwili. — Jak sobie to wyobrażasz, mój drogi ośle? Cukrzyca? Bam! Naprawiamy trzustkę na biegu. Cholesterol? Zatkane żyły? Nowotwór? No, to jeb! Specjalny oddział nanorobotów, służących wyłącznie do zżerania niepotrzebnych komórek. Złamanie albo inny uraz? No, to reperujemy! Wyprodukowanymi mikrowłóknami albo wręcz — namnożonymi komórkami macierzystymi. A, że każdy nanorobot byłby samoistną i autonomiczną sztuczną inteligencją, to komunikację między nimi samymi lub między nanorobotami a światem zewnętrznym można by ograniczyć do zupełnego minimum. Każdy komunikowałby się tylko z najbliższym otoczeniem. Nanoroboty z tego otoczenia przekazywałyby wiadomość kolejnym. I tak dalej — aż do dotarcia do brzegu. Do jakiegokolwiek brzegu. Gdzie informacje

zwrotne mogłyby być przekazywane na zewnątrz i skąd mogłyby pochodzić ewentualne instrukcje. Tylko po co jakieś instrukcje, skoro armia nanobotów w każdym organizmie stanowiłaby samoistniejąca masę, która doskonale wiedziałabym co robić. Energia, zasilanie? Żaden problem! Za te kilkanaście lat z pewnością opracujemy skuteczne metody, by wpinać takie nanoroboty w procesy metaboliczne organizmu. By, krótko mówiąc, żarły to, co leczony pacjent.

Choć było to trudne do wyobrażenia, Gerald P. Fitzroy na ułamek sekundy stracił swą gdzieindziej niezachwianą pewność siebie.

— Lekarzy moglibyśmy wysłać do gazu! — zażartował jeszcze grubiańsko na koniec, ale potem posmutniał. — I tak... od początku..., od poczęcia, do... Na zawsze już. Do nieistniejącego końca...

— Boże, Gerald... — usta mu drżały. — Co ty mówisz? Czy... Czy Grid da ludziom nieśmiertelność?

— Boga bym do tego nie mieszał. O ile istnieje... Ale, fakt, ciary latają mi po plerach, gdy o tym pomyślę...

To nie mogło lub nie chciało pomieścić się w głowie, nawet biorąc pod uwagę fakt, że Sebastian Schwarzmüller dysponował całkiem otwartym umysłem. Jasne... Grid był fascynujący i wyjątkowe za razem, nawet w skali świata. Fascynowała go jego odmienność, tak skrajna od wszystkiego, co widział do tej pory. To, jak bardzo Grid wyprzedzał przyszłość. Ale... Mimo wszystko jednak... Nieśmiertelność? Tabu i mit zarazem? Paradygmat życia ludzkiego? Złamany? Jedyna sprawiedliwość, jak świat długi i szeroki. Jedyny wspólny mianownik stu piętnastu miliardów ludzi, którzy — wedle rachub naukowych — zmarli od początku dziejów ludzkości.

Gruby i chudy, głupi i mądry, mężczyzna i kobieta. Biały, czarny, żółty i brązowy. Stary i młody. Wreszcie... podły, niegodzi-

wy i wredny. Oraz dobry, kochany i niezbędny. Słowem... wszyscy. Wszyscy ludzie na Ziemi... Wszyscy, których jedyną cechą wspólną była do tej pory śmierć. Kres żywota...

— Boże drogi, o ile istniejesz... — wyszeptał Sebastian.

No, a teraz co? Ta jedna rzecz, to jedyne spoiwo ludzkości, ta jedyna według wielu sprawiedliwość na świecie, miały przestać istnieć? I to dzięki czemu? Dzięki działalności firmy, dla której sam pracował? Do której przyjęcie uważał za nobilitację i uśmiech losu? Ta sama firma — dla której porzucił wszystko, absolutnie wszystko, całe swe dotychczasowe życie — za kilkanaście lub najdalej za kilkadziesiąt lat miała złamać czar i tajemnicę, które spajały ludzkość od jakiegoś miliona lat? Nie! To zdecydowanie wykraczało poza wyobraźnię Sebastiana Schwarzmüllera. Nawet przy założeniu, że widział w życiu wiele, zaś w baagle.com — jeszcze więcej...

Ale to nie było wszystko.

— Jakbym się solidnie urzynał... — Fitzroy ponownie wyrwał go z rozmyślań. — ...tak w trzy dupy... to bym szedł dalej. Bo w sumie to... po co nam ciało ludzkie? Kruche i zawodne?

Gerald spojrział na Schwarzmüllera. Efekt, jaki wywoływały jego słowa, wprost plastyczne i dotykalne przerożenie wymalowane na twarzy podwładnego, zdecydowanie mu się podobały.

— Najślabsze ogniwo w doskonałym skądinąd systemie — dodał po chwili. — Myślę, że za kilkadziesiąt lat bez większych problemów będziemy mogli przenieść umysł ludzki z biologicznego ciała do komputera. Lub do czegoś, co będzie pełniło wówczas funkcję dzisiejszego komputera. Wówczas ludzka egzystencja nie byłaby ograniczona maksymalną długością życia człowieka. Wówczas w ogóle pojęcie długości życia przestałoby istnieć. Dodatkowo taki transfer

umysłu można by wykorzystać do tworzenia kopii bezpieczeństwa umysłu, no... w zasadzie całego jestestwa.

— Bo przecież całe to cholerstwo, które nazywasz życiem, to nic więcej, jak prąd! Wszystko, co wiesz, znasz, w co wierzysz. Cała twoja wiedza, sympatie i antypatie, poglądy polityczne, a nawet to kleiste gówno, które nazywają miłością. I wszystkie uczucia, wrażenia i odczucia. Wszystko, co stanowi ciebie i twoje życie... to pierdolony prąd. I nic więcej... Stan potencjałów elektrycznych, jaki występuje w każdej chwili pomiędzy neuronami twojego mózgu. Stan, który można skopiować i odtworzyć. Wówczas, mając kilka „kopi zapasowych” samego siebie, mógłbyś gwizdać sobie na wszelkie tak zwane zdarzenia losowe i zbiegi okoliczności. Nawet, gdyby — z jakiegokolwiek powodu — nanoroboty dały dupy i ciało ludzkie jednak się posypało, to wystarczyłoby przenieść umysł, czyli prąd, do komputera. Lub innego „naczynia”. Albo... skopiować do nowego ciała. *Et Voilà!*

Ta wizja była całkiem zabawna, a nawet przyjemna, jeśli czytało się o tym w książce fantastycznej. Albo opowiadaniu. Lecz, gdy miało się świadomość, że mówi się o przewidywalnej przyszłości, dostępnej ludzkości tu i teraz, za kilkanaście lub kilkadziesiąt lat, to cały czar pryskał. Wówczas to wszystko robiło się tak niewyobrażalne i straszne jednocześnie, że aż trudne do uwierzenia.

— Hola! — zawołał Sebastian. — Popłynąłeś! Czytałem, że najpotężniejszy komputer świata całkiem jeszcze niedawno z trudem wystarczał, by zasymulować działanie mózgu najbardziej prymitywnego nicienia. Mało tego! Tenże sztuczny nicien, kontrolowany przez komputerowy mózg, zachowywał się tak dziwnie i zaskakująco, że najbardziej otwarci i postępowi naukowcy chwyтали się za głowy.

— To ty płyniesz, ośle! — warknął Gerald.

— Ta... jasne! — rzekł Sebastian, z mocnym powątpiewaniem.

— Zamknij się i słuchaj! Dwadzieścia lat wystarczyło, by jeden mikroprocesor, instalowany w telefonie komórkowym albo ogrodowym zraszaczu, prześcignął pod względem wydajności najszybszy komputer świata. Tak?

— Powiedzmy...

— To, czego wojsko używało do liczenia trajektorii lotu pocisków nuklearnych, dwadzieścia lat później siedziało w kieszeni typowego ziomka i służyło mu do oglądania YouTube. Albo pornosów. Do otwierania drzwi samochodu, grania w gry, sterowania kosiarką, czy właśnie włączania i wyłączania tego zasranego zraszacza. Ale...

— Ale?

— Ale... tak, masz rację. To i tak jest mało. By móc w pełni wymodelować mózg ludzki, potrzebna jest moc obliczeniowa miliarda gigaflopów. Przyjmując, że typowe komputery zwiększają swoją moc obliczeniową średnio o ledwie sto gigaflopów na rok — mamy dziesięć milionów lat.

— Ha! — zawołał Sebastian i uśmiechnął się. — I co?

— I gówno... — wycedził powoli Gerald.

— Że jak? — sapnął Schwarzmüller, zbity z tropu.

— Zapomniałeś o komputerach kwantowych, ośle.

Dalej Fitzroy, z miną i pozą nauczyciela mówiącego do wsiowego głupka, zaczął wyjaśniać, tłumaczyć, chrząkać, odstawiać swój klasyczny teatr i ogólnie błyszczeć. Wyjaśnił, że biorąc pod uwagę niewyobrażalną dla przeciętnego człowieka moc obliczeniową komputerów kwantowych, owe dziesięć milionów lat rozwoju kwantowe procesory pokonają za... około pięćdziesiąt lat. I w ten sposób teo-

ria Geralda P. Fitzroya znów zaczynała się spinać. Znowu wszystko zaczynało pasować do siebie. Znowu pojawiły się ciarki na plecach, zaś dość przerażająca dla Sebastiana wizja tego, że baagle.com za pół wieku da ludziom nieśmiertelność, powróciła.

— W Grid nie mamy komputerów kwantowych! — zawołał tamten.

— Nie mamy... — potwierdził Fitzroy. — Bo, jak wiesz, z kwantówkami jest pewien „drobny” problem. A nawet kilka drobnostek. Ot, pracują w temperaturze praktycznie zera absolutnego i pod ciśnieniem dziesięć miliardów razy niższym niż atmosferyczne. Najmniejszy bodziec, nawet samo odczytanie wartości, rozpiżdzie cały system i czyni wszystkie te superszybkie obliczenia zupełnie bezwartościowymi. Jakby zaś tego było mało, to jest jeszcze problem rachunków za prąd.

— Za co? — spytał z niedowierzaniem Schwarzmüller.

— Za... prąd, ośle! Tylko ten inny, nie ten w mózgu...

Gigantyczne wprost ilości energii elektrycznej. Wszystkie obiekty i jednostki Grid zasilane były w sposób tradycyjny, z własnej hydroelektrowni w tamie. Żeby działać na procesorach kwantowych musieliby mieć własną elektrownię jądrową. Ta zaś powstała tylko w tym programie-świecie, który właśnie zamykali.

— Poza tym... — padło nagle w grobowej ciszy. — ...mózgi morderców, pedofilów i gwałcicieli są dużo tańsze, rozumiesz...

Schwarzmüller miał dość.

— To jest straszne gówno, wiesz? — wypalił nagle wściekle.

— Co? — spytał Fitzroy, pilnie badając brud za paznokciami.

— To... to wszystko! — zaczął pieklić się Sebastian. — Wiem, że są zwyrodnialcami. Wiem, że zabili wiele osób. Ale czy to daje nam prawo skazywać ich na taką karę? Ciagle i w kółko przeżywanie ja-

kichś dramatów i horrorów. Trzymanie ich w sztucznych światach tak, by nie zorientowali się, że są one sztuczne. I po co to wszystko? By wyssać z ich mózgów moc obliczeniową, którą potem sprzedamy? To jest nie fair, według mnie. Więcej! To jest jedno wielkie gówno!

— Wiesz... ja się z tobą nie zgadzam... — rzekł Gerald odległym głosem, ciągle wpatrzony w paznokcie. Potem podniósł na Sebastiana i dokończył. — Ale nawet, gdybym się zgadzał, to... co z tego? Zdecydowałeś świadomie. No, prawie. Wiesz, że nie ma odwrotu. To nie bajka ani sen. To życie. Trochę gówniane, ale ciągle jednak życie...

— Wiem...

— Decyzja o pracy przy Grid to nieodwracalna decyzja życiowa, niemalże samobójstwo. Dla świata zewnętrznego — praktycznie samobójstwo, biorąc pod uwagę fakt, że sfingowaliśmy twoją własną śmierć. Nie ma odwrotu. Stąd nie można odejść, chyba że w ciemną listopadową noc, betonowych butach na dno rzeki. Po cichu i bez szarpaniny. Tajemnica Grid nie może ujrzeć światła dziennego. Nie teraz i jeszcze nie przez kilka lat. A nasze cepy są zdeterminowane, by utrzymać status quo projektów za wszelką cenę. Nie cofną się przed próbą posprzątania cię, dobrze o tym wiesz. Dla świata już umarłeś. Więc to tylko kwestia tego, bo słowo stało się ciałem, jeśli zaczniesz fikać zbyt bardzo.

Słowa Fitzroya dla postronnych brzmiałyby prawdopodobnie przerażająco, szczególnie biorąc pod uwagę lodowaty spokój, z jakim je wypowiadał. Na Sebastianie nie robiły najmniejszego wrażenia, bo wiedział to wszystko doskonale. Taka była jego świadoma decyzja. Miłość do Grid była miłością do grobowej deski. I była przy okazji miłością bezwzględna. Zdrady nie przebaczała.

— Jedna rzecz ciągle nie daje mi spokoju... — rzekł po chwili.

— Ja pierdole! — odwarknął Fitzroy.

— No, właśnie to!

— Co? — spytał grubas, zbity z pantałyku.

— Czasem, jak się wściekniesz, to z ust leci ci ryszok...

— Chuj ci do tego, osle! — Fitzroy błysnął logiką nastolatka.

— Czy mógłbyś choć raz zareagować jak normalny człowiek, gdy ktoś się o ciebie troszczy? Nie zaś jak pies, któremu wredny właściciel przyłożył grzałkę do jaj?

Być może właśnie to porównanie rozładowało nieco atmosferę.

— Troszczy... — sarknął Gerald.

— Po tym, gdzie byłem... — dodał po chwili milczenia, przewiercając Sebastiana zamglonym i niewidzącym wzrokiem na wylot. — ...przez ostatnie pięć lat, nim tu trafiłem. Po tym, jak żyłem i co widziałem, powiem ci..., że każdego dnia jestem w szoku. Jestem zszokowany, że nie zryło mi psychiki jeszcze bardziej.

— Bardzo było źle? — spytał z autentyczną troską.

— Co mam ci powiedzieć, szczyłu? — Fitzroy wybuchnął po raz kolejny. Chyba nie lubił wspomnień. Zwłaszcza tych. — Spałem pod mostem, myłem się raz na kwartał lub rzadziej, a żarłem to, czym nawet ten twój pies by pogardził. Nawet z grzałką na jajach...

— Boże...

— Boga bym...

— Wiem, wiem!

Tym razem pierwszy odezwał się Fitzroy.

— Teraz ja ci coś powiem. Dla mnie to jest całkiem zabawne, ale ty pewnie znowu będziesz blady, jak dupa młynarza.

— Co? — spytał Schwarzmüller.

— W kółko powtarzasz: „w naszej rzeczywistości”, „nasz świat” i tak dalej. Co daje ci pewność, że on w ogóle istnieje? Że jest choć odrobinę bardziej realny od tych, w których śnią nasze króliczki?

Nic, absolutnie nic nie daje nam tego! — zawołał natychmiast potem. — Nic nie daje nam najmniejszej gwarancji, że my sami nie bierzemy udziału w pokreconym eksperymencie. W jakimś równie doskonale wygenerowanym świecie i życiu.

— Że, jak?

— Kto da ci pewność, że ludzkość w ogóle powstała? — spytał.

— Co? Czegoś ty się naćpał, grubasie?

— Może tak naprawdę nas nie ma? Może jesteśmy w tej chwili zanurzeni w jakimś słoiku z protoglutem lub inną mazią? Stworzona przez jakichś oblesnych kosmicznych zasrańców. Po co nam kosmici? Możemy być częścią programu, który jest częścią programu...

— Słyszałeś kiedyś o teorii wieloświata? — dodał po chwili.

— O tym, że być może istnieje, równoległe do naszego, nieskończona ilość wszechświatów? — ciągnął Gerald, jakby nie usłyszał odpowiedzi tamtego. — Bardziej lub mniej podobnych do naszego. W których bardziej lub mniej podobne kopie nas samych przeżywają bardziej lub mniej podobne przygody.

— Tylko obięło mi się o uszy.

— Kto da ci gwarancję, że to faktycznie są światy równoległe?

— Fitzroy był jak nakrecony. — Kto zapewni ci, że to nie jest jakiś pokrecony świat-Matrioszka? Ludzie eksperymentujący z królikami, które eksperymentują z mrówkami, które na ten przykład eksperymentują z bakteriami i tak dalej, w nieskończoność ale w dół?

— Gerald? — spytał po najdłuższej chyba chwili milczenia.

— Co, pedale?

— Wystarczy...

Grubas uśmiechnął się z przekorą.

— Nie mówi mi, że ci fajka mięknie.

— Nie... nie wiem... — odparł Schwarzmüller naprawdę zmęczonym głosem. — Nie wiem, czy mi coś mięknie, a jeśli tak, to co? Ale wiem, że mam dość. Ty z pewnością masz jeszcze pewnie cały wór mądrości to powiedzenia. Najpierw przez pół godziny pajacowałeś przy każdym pytaniu, jakie zadałem. Teraz japa by ci się pewnie nie zamykała, panie dmuchany w zad profesorze. Ale... wystarczy.

— Skoro tak mówisz, ośle...

— Myślę, że ty też masz już dość, a nie przyznasz tego tylko przez tę twoją przekorę i przewrotność.

— No... to na co czekasz? Wyłączaj ten świat i wynosi...

Z pewnością mówił jeszcze coś, ale Sebastian już go nie usłyszał. Pstryk! Otoczyła go ciemność niewyobrażalna dla przeciętnego umysłu. I cisza nie do zniesienia przez nieprzyzwyczajone do tego ucho. Wszystko zgasło i ucichło. Znowu.

K O N I E C

Filip Grubb

filip@grubb.pl

Świętochłowice, marzec 2021 r.

Tekst ma 246 268 znaków ze spacjami.

Tekst ten jest mocno inspirowany trylogią „Matrix”. Oraz opowiadaniem „Mgła”, Stephena Kinga. Lecz z oryginałów zaczerpnałem jedynie ogólną zasadę i drobne fragmenty. Od Kinga wzięta została tylko mgła, czające się w niej potwory i sklep. Sklep, który tak naprawdę nigdy nie istniał, bo na końcu wszystko i tak okazuje się nieprawdą. Swojej historii nadałem bowiem całkiem inne zakończenie i osadziłem ją w wykreowanym przez siebie świecie baagle.com.

Jest to mój pierwszy tekst, który przekroczył długość stu stron znormalizowanego maszynopisu. Czyni go to więc — według standardów Polconu — już nie opowiadaniem ani nowelką, tylko wyjątkowo krótką powieścią. Jeśli chodzi o mnie, to jednak traktuję go tylko jako nowelę, nie jak powieść. Ciagle bowiem, mimo wszystko, jest to tekst jednowątkowy.

Jest to jednocześnie moje pierwsze opowiadanie, w którym zastosowałem podział na części. Przy czym, tempo wolno-szybko-wolno jest celowe. Pierwsza i trzecia część zostały podzielone na tylko kilka długich fragmentów i opowiadają dość leniwą historię, choć niektórzy uważają, że czasem słychać tam odgłos wystrzałów armatnich. Środek dzieli się za to na kilkanaście krótkich ustępów, opisując wydarzenia jednego tylko dnia, w zasadzie kilku godzin, przez co bardziej przypomina krótkie serie z karabinu maszynowego.

Opowiadanie zawiera liczne wulgaryzmy. Prawdopodobnie najwięcej ze wszystkich moich tekstów. Przepraszam tych, których to uraziło. Nie oszukujmy się jednak — bohaterowie nie są drewnianymi pacynkami, wystruganymi z kawałka drewna. Z kawałka kija, jak mogłaby

sugerować to ksywa Kijasa. Są prawdziwymi nastolatkami. Takimi, wśród których sam żyłem i dorastałem. Wiem, jak odzywała się do siebie, jakie zwroty stosowała i jakie tematy poruszała tak zwana „złota komunistyczna młodzież”. Również język Geralda P. Fitzroya, ordynusa i prostaka — żeby nie powiedzieć, że pospolitego chama — nie mógł być inny. Bohater ten niesie ze sobą historię i bagaż doświadczeń życiowych, które zupełnie zwichrowały mu psychikę, czyniąc z niego przy okazji ordynarnego wieprza. Doświadczenia i historia, tu jedynie zarysowane. Może kiedyś będzie jeszcze miał okazję, by wam o tym opowiedzieć? Kto wie...

Opowiadanie miało pierwotnie zostać opublikowane pół roku wcześniej niż to faktycznie miało miejsce. Przeszkodziła mi infekcja COVID-19 i wiele innych spraw po drodze. No, ale przecież wirus nie istnieje, a w szpitalach leżą statyści, prawda? Jedenaście lat temu, pod Smoleńskiem, też nie było żadnej katastrofy lotniczej. To tylko ówczesny premier Tusk, „po zabiciu wszystkich pod Kaliszem, rozbił w Rosji pusty samolot” (cytat autentyczny!). Nigdy nie istniała też elektrownia jądrowa w Żarnowcu, bo oficjalnie nigdy nie ukończono jej budowy. CIA również nie maczała w tym palców. Natomiast wszystkie mgły świata nie są niczym nadzwyczajnym, prawda?

Dlatego, wchodząc w kolejną taką mgłę następnym razem, będziemy nadal mogli robić to bezmyślnie. Bez zastanawiania się, i tym bardziej bez obaw, że za nią nie ma nic. Że jest tylko pustka i liczne świecące punkciki generatora światów.

Jak diody LED albo gwiazdy na rozgwieżdżonym nocnym niebie...